

The background of the book cover is a repeating pattern of detailed, black and white illustrations of fish and handguns. The fish are shown in profile, swimming towards the right, with their scales and fins meticulously drawn. The handguns are also shown in profile, some pointing left and some right, interspersed among the fish. The overall style is reminiscent of a technical or scientific illustration.

David Vann

Legenda

o samobójstwie



David Vann

**Legenda
o samobójstwie**

Z angielskiego przełożyła
Dobromiła Jankowska



Tytuł oryginału *Legend of a Suicide*
Przekład **Dobromiła Jankowska**
Redakcja **Maria Wirchanowska**
Korekta **Marcin Grabski, Grzegorz Krzymianowski**
Projekt okładki i stron tytułowych **Tomasz Majewski**
Skład i łamanie **Dariusz Ziach**

Copyright © David Vann 2008, 2010
Copyright © for the Polish translation by Dobromiła Jankowska, 2018
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Pauza, 2018
Zdjęcie autora na okładce Copyright © Susanne Schleyer/autorenarchiv.de

ISBN 978-83-949414-2-0

Wydawnictwo Pauza
Warszawa 2018
Wydanie pierwsze

Wydawnictwo Pauza
ul. Meksykańska 8 m. 151,
03-948 Warszawa



Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Ichtiologia

Rhoda

Legenda o dobrych ludziach

Wyspa Sukkwan

 Część pierwsza

 Część druga

Ketchikan

Wyższy błękit

Podziękowania

Dla mojego ojca
JAMESA EDWINA VANNA
(1940–1980)

Ichtiologia

Matka urodziła mnie na wyspie Adak, niewielkim kawałku skały i śniegu w odległym archipelagu Aleutów, przy krawędzi Morza Beringa. Ojciec odbywał dwuletnią służbę w marynarce jako stomatolog; poprosił o przydział na Alasce, ponieważ lubił myślistwo i wędkowanie, ale podejmując tę decyzję, najwyraźniej nic nie wiedział o Adaku. Moja matka, gdyby wiedziała, własnoręcznie wykreśliłaby tę jego prośbę. Jeśli miała wystarczająco dużo informacji, nigdy nie podejmowała złych decyzji.

Dlatego też nie zgodziła się, by jej rozpalone dziecko z żółtaczką zabrano z podziemnego szpitala wojskowego na Adaku i umieszczono w samolocie przez ponad sześć godzin czekającym na pasie startowym. Miałem czterdziestostopniową gorączkę, która rosła, więc lekarze i ojciec zalecali przetransportowanie mnie na stały ląd, do prawdziwego szpitala (podczas naszego pobytu na Adaku nikt nie przeżył tam nawet lekkiego zawału serca – nikt), ale matka odmówiła. Była pewna, czuła to, co mój ojciec zawsze opisywał jako zwierzęcy, instynktowny strach, że gdy tylko wzniosę się w powietrze, umrę. Umieściła mnie więc w zwyczajnej białej wannie wypełnionej zimną wodą – i tam przetrwałem. Rozkwitłem wręcz. Koloryt mojej pomarańczowej, plamistej skóry stopniowo się wyrównał; nabrała odcienia zdrowego dziecięcego różu, kończyny się rozluźniły i zacząłem machać nogami. Wtedy matka wyjęła mnie z wody i w końcu oboje zasnęliśmy.

Kiedy ojciec odpracował wyrok w marynarce, przeprowadziliśmy się na Ketchikan, wyspę w południowo-wschodniej części Alaski, gdzie ojciec kupił gabinet dentystyczny, a trzy lata później łódź rybacką. Była to nowa siedmiometrowa motorówka Uniflite z kabiną z włókna szklanego. Pewnego późnego piątkowego popołudnia ojciec (wciąż w lekarskim fartuchu pod kurtką) zwodował łódź, podczas gdy my kibicowaliśmy mu z brzegu. Wślizgnął się na swoje miejsce w porcie, a następnego ranka stał na krawędzi pomostu, spoglądając dziewięć metrów w dół przez czyste, lodowate alaskańskie wody na Snow Goose, która siedziała jak biała fatamorgana na zaokrąglonych szarych kamieniach na dnie. Ojciec nazwał łódź śnieżną gęsią, marzył bowiem o tym, że swoim białym kadłubem pofrunie nad falami, tyle że po zwodowaniu zapomniał wcisnąć korki spustowe. W przeciwieństwie do mojej matki nigdy nie widział i nie słyszał tego, co działo się pod powierzchnią.

Tamtego lata, kiedy w drodze powrotnej do portu frunęliśmy nad falami (ojciec kazał podnieść i wyczyścić Snow Goose, dowód na to, że upór czasami rekompensuje brak wyobraźni), siedziałem na otwartym, ale osłoniętym tylnym pokładzie z połowem halibuta z całego dnia i wlatywałem z rybami w powietrze za każdym razem, gdy ojciec przepływał nad jedną falą i wgniatał się w kolejną. Halibuty leżały sobie płasko, jak szarozielone psy na białym pokładzie, a ich duże brązowe oczy

spoglądały na mnie z nadzieją, dopóki nie walnąłem w rybią głowę młotkiem. Moim zadaniem było uniemożliwić rybom wyskoczenie z łodzi. W tych szerokich, płaskich ciałach kryła się bowiem niesamowita siła i porządnym machnięciem ogona potrafiły unieść się na trzydzieści, a nawet sześćdziesiąt centymetrów, aż migwały ich białe brzuchy. Nawiazaliśmy nieme porozumienie: jeśli nie będą wyskakiwać, nie będę tłuc ich w głowę młotkiem. Czasami jednak, kiedy rejs robił się wyjątkowo szalony, aż wszystkich nas raz po raz wyrzucało w powietrze, a rybia krew i śluz pokrywały mnie całego, waliłem kilka razy na zapas, do czego przyznaję się ze wstydem. Inne halibuty z okrągłymi brązowymi oczami i długimi, krytycznymi pyskami widziały, co zrobiłem.

Kiedy cumowaliśmy po tych rejsach, matka wszystko dokładnie sprawdzała, korki spustowe też, a ojciec tylko patrzył. Bawiłem się, klęcząc na zniszczonych deskach pomostu, a raz zobaczyłem, jak z przewróconej zardzewiałej blaszanej puszki wypełza jakieś przerażające stworzenie. Na widok tych obrzydliwych barbarzyńskich nóg zawyłem, przechyliłem się do tyłu i wpadłem do wody. Szybko mnie wyłowiono i wrzucono pod gorący prysznic, ale nie zapomniałem tego widoku. Nikt wcześniej nie mówił mi o jaszczurkach – naprawdę nie wiedziałem o istnieniu gadów – ale zobaczywszy jedną po raz pierwszy, od razu wiedziałem, że to krok w złym kierunku.

Niedługo potem, miałem wtedy niecałe pięć lat, ojciec również zaczął wierzyć, że zawędrował w złym kierunku, wyruszył więc na poszukiwanie doświadczeń, których dotychczas – jak uważał – życie mu odmawiało. Moja matka była zaledwie drugą kobietą, z którą kiedykolwiek się spotykał, teraz do tej listy dodał jeszcze pomoc dentystyczną ze swojego gabinetu. Noce w naszym domu wkrótce wypełniły się lamentami o niewyobrażalnej dotąd treści i intensywności.

Ulotniłem się któregoś wieczoru, kiedy ojciec samotnie płakał w salonie, a matka tłukła rzeczy w ich wspólnej sypialni. Nie wydawała ludzkich dźwięków, ale potrafiłem nakreślić, jak porusza się po pokoju, wyobrażając sobie, co drewnianego właśnie pęka, szklanego się tłucze, gipsowego rozpada. Wymknąłem się w łagodny, wodnisty świat alaskańskiej nocy w deszczowym lesie, bezgłośnym, jeśli nie liczyć deszczu, i szedłem w piżamie drugą stroną ulicy, zaglądając w ciemne niskie okna salonów, podsłuchując pod drzwiami, aż pod którymiś usłyszałem mruczący dźwięk, do tej pory mi nieznanym.

Przeszedłem dokoła na tył domu, otworzyłem zewnętrzne siatkowe drzwi i przycisnąłem ucho do zimnego drewna. Tutaj dźwięk zdawał się niższy, coś jakby jęk, ledwie słyszalny.

Drzwi były zamknięte, ale podniosłem gumowy róg wycieraczki i – tak jak u nas – leżał pod nią klucz. Wszedłem do środka.

Odkryłem, że buczący dźwięk dochodzi z filtra pompy w akwarium z rybkami. W samotnym chodzeniu po cudzym domu było coś okropnego, przemknąłem więc ostrożnie po linoleum i usiadłem na wysokim kuchennym stołku. Obserwowałem, jak rybki w pomarańczowo-czarne paski wsysają i je wypluwają. W akwarium były również większe kamienie: kawałki lawy z ciemnymi jaskiniami i zagłębieniami, z których wyglądało wiele malutkich okrągłych oczu, lśniących jak folia aluminiowa. Niektóre rybki miały jaskrawe czerwono-niebieskie ciała, inne jaskrawopomarańczowe.

Przyszło mi do głowy, że mogą być głodne. Podeszedłem do lodówki, zobaczyłem

ogórki konserwowe w plasterkach, otworzyłem słoik i przyniosłem go, żeby pokazać rybkom. Na pokrywie akwarium, z tyłu, znalazłem szpary i wrzuciłem przez nie kawałki ogórka, najpierw jeden czy dwa, potem cały słoik, plasterek po plasterku, w końcu wlałem również wodę, aż akwarium napęczniało i krople zaczęły spływać po ściankach.

Gapiałem się na błyszczące i dryfujące z rybkami plasterki ogórków – niektóre tonęły, wirując. Podskakiwały powoli nad jaskraworóżowymi i niebieskimi kamieniami poniżej. Rybki w pomarańczowe paski najpierw pływały jak szalone, kiedy wlewałem wodę, ale teraz i one poruszały się wolniej. Odrobinę przechylały się na bok, kilka odpoczywało na kamieniach. Inne co parę chwil wyciągały długie przezroczyste pyszczki nad powierzchnię i zasysały powietrze. Ich boczne płetwy drżały lekko jak zwiewna koronka.

Kiedy plasterki ogórków już osiadły, kołysały się niczym śpiące rybki tuż nad różowym i błękitnym żwirkiem, a prawdziwe rybki kołysały się obok w milczeniu, jakby leżały na łące z morskiej trawy i zanurzonych liści lilii wodnych. To był piękny obraz i w tym momencie piękna nachyliłem się do przodu.

Przycisnąłem dłonie i twarz do szyby, wpatrując się w nieme czarne jądro jednego z tych srebrzystych oczu. Miałem wrażenie, że ja również się unoszę, delikatnie kołyszę, jakby w pustce, i w tym ułamku sekundy zdałem sobie sprawę, że naprawdę czuję to kołysanie, i postrzegając, że postrzegam siebie, zrozumiałem, że ja to ja. Wytrąciło mnie to z równowagi, potem zapomniałem, co mnie wytrąciło, straciłem zainteresowanie rybkami i kłapiąc stopami po linoleum, wyszedłem znowu na miękkie, ciemny deszcz.

Trzy lata później, kiedy z matką przeprowadziliśmy się do Kalifornii, dostałem własne akwarium i postanowiłem zostać ichtiologiem. Moi rodzice oczywiście się rozstali, zaskoczeni niemal tak samo tym, co zrobiłem ja, jak i tym, co sami przez cały czas robili. Związek między moim chuligańskim wybrykiem i ich nocnymi kłótniami pozostał dla nich tajemnicą.

Moje pierwsze akwarium było właściwie przezroczystym plastikowym pojemnikiem, w jakim zwykle trzyma się wkręty i śruby. Pływały w nim dwie złote rybki, które wygrałem na jarmarku, wsypałem też trochę żwiru, który matka kupiła po drodze do domu w Świecie Ryb Sala.

Pilnowałem tych chudych, białych rybek, ale pojemnik nie miał pokrywy i po tym, jak nasz kot Smokey wyjął je łapą i zjadł, a ja patrzyłem, nie mogąc się ruszyć, matka zabrała mnie do Sala i kupiła porządne czterdziestolitrowe akwarium z filtrem bąbelkowym, żwirkiem, plastikową rośliną o szerokich liściach, kawałkiem skały wulkanicznej z dziurą w środku, kilkoma złotymi rybkami, a nawet jedną z tych w pomarańczowo-czarne paski, które znałem z Ketchikan i wiedziałem już, że nazywają się bocje.

Patrzyliśmy na te rybki co wieczór, w każdy weekend czyściliśmy akwarium, przetrwaliśmy także kilka epidemii rybniej ospy: nagłego tajemniczego pojawienia się białych plamek na płetwach i ogonach, od których wszystkie rybki mogły umrzeć.

Pierwszych nieboszczyków chowaliśmy w skomplikowanych ceremoniach, w trakcie których matka klęczała obok mnie na ziemi, a ja wkładałem na siebie stare białe

prześcieradło. Rybki zawinięte były zawsze w wiele warstw papieru toaletowego, umieszczane w małych pudełkach i chowane piętnaście centymetrów pod ziemią, skąd nie mógł ich wykopać kot.

Później zaczęliśmy je po prostu spuszczać w toalecie i kupować nowe, ale nawet wtedy myślałem tylko o rybach. Zamiast o lekturach szkolne wypracowania pisałem o rybach. W podstawówce nauczyciele tego nie rozumieli, ale najwyraźniej wierzyli, że czytałem książki pod tytułem *Bocja wspaniała*, *Srebrna pirania*, *Mieniący się rekin* i *Hypostomus plecostomus albo glonojad*. W akwarium można było znaleźć całe ludzkie życie. Żółto-czarne skalary pływały sobie spokojnie, sam blask i szyk, a za nimi ciągnęły się wstęgi ich odchodów. Glonojady na dnie akwarium zjadały te odchody, wypluwały je z obrzydzeniem i posuwały się naprzód, wciąż głodne. A pięć minut po wrzuceniu do zbiornika dwóch nowo kupionych srebrnych płaskoboków zobaczyłem, co znaczy prawdziwa brutalność. Były to spore płaskie ryby, kształtem i blaskiem przypominające jednodolarowe monety, od których wzięty angielską nazwę „dolarówki”, a kiedy wylałem je z plastikowej torebki od Sala, podpłynęły z dwóch stron do mojego leniwego mieniącego się rekina z wyłupiastymi oczami. Mieniący się rekin tylko się tak nazywał – w rzeczywistości był po prostu długą, chudą złotą rybką o lśniącym ciele i dużych, wyłupiastych oczach. Płaskoboki okazały się prędkie i bezlitosne, potrafiły działać zespołowo. Jednym szybkim jak błyskawica ruchem podpłynęły do oczu rekina z dwóch stron i je wyssały. Nawet ich nie połąknęły, pozwoliły tylko, by okrągłe, przypominające białe gałki sennie opadły na kamienie, gdzie pochłonęły je glonojady.

Zemsta mojej matki była równie szybka. Srebrne płaskoboki zostały wyłowione i splukane w toalecie w ciągu kilku minut, a tamten wieczór spędziliśmy, wspólnie obserwując mieniącego się rekina, który ślepy obijał się o ściany akwarium; czekaliśmy, aż umrze.

Matka i ja spędziliśmy te lata w Kalifornii, prowadząc jasno zdefiniowane życie, tymczasem mój ojciec zapuszczał się coraz głębiej i głębiej w Alaskę, a wszystkiemu, co robił, brakowało logiki. Właściwie nigdy nie lubił stomatologii, teraz w dodatku uznał, że woli zostać rybakiem. I pewnie wolał – a na pewno szczerze w to wierzył – ale nie potrafił myśleć perspektywicznie. Sprzedał gabinet, zamówił piękną, drogą dwudziestometrową łódź rybacką z aluminium, która miała być gotowa przed sezonem na halibuta, i przekonał mojego wuja, by został załogą. Obaj od zawsze wędkowali dla sportu, ale żaden nie miał doświadczenia w połowach na profesjonalnej łodzi, a mieli ją obsługiwać tylko we dwóch. Obraz samotnego odkrywcy, którym widział siebie mój ojciec, zostałby zapewne naruszony, gdyby najpierw popracował na czyjejs łodzi albo zatrudnił kapitana.

Nazwał tamtą łódź Osprey. Snow Goose miała być ptakiem z białymi skrzydłami frunącym nad falami podczas jedno- czy dwudniowych wypadów na wędkowanie, z kolei Osprey była stworzeniem długodystansowym. Mające niemal dwumetrową rozpiętość skrzydeł rybołowy znane są bowiem z tego, że szybują wysoko nad dalekimi wodami, zataczając ogromne łuki i kręgi, często też szybują w samotności.

Osprey nie dokończono na czas, ojciec i wuj rozpoczęli więc sezon spóźnieni o półtora miesiąca. W pośpiechu splątali jedną z sieci na halibuta, którą zastawili, w

ten sposób blokując na ponad tydzień wielkie hydrauliczne koło wciągające ryby na pokład, no i oczywiście prawie nic nie złowili. Strata ponad stu tysięcy dolarów w tamtym roku na samych połowach nie zrobiła jednak na ojcu wrażenia, ponieważ zdążył już wejść w ostatni piękny, desperacki i daleki krąg swojego życia.

Wuj opowiadał o pewnym wieczorze na mostku, kiedy to mój ojciec, przegrawszy siedemnastą z rzędu partię remika, zamiast zrobić ponurą minę i wymamrotać nieszczerą gratulację, wygiął nagle plecy i szeroko rozłożył ręce. Stał na swoim kapitańskim krześle w niebieskawym blasku radaru i sonaru, wyciągnął brodę, przechylił coś, co wuj do dziś wspomina jako wyraźnie wygięty dziób, i głośno zaskrzeczał: „Sterburta o trzy stopnie!”. Wuj ustawił automatycznego pilota według polecenia i rankiem zaliczyli jeden z zaledwie trzech czy czterech udanych połowów.

Związek między przewidywaniami mojego ojca i namacalnym sukcesem urzeczywistniał się rzadko. Sklep z materiałami żelaznymi, w który również zainwestował, upadł tamtego roku, spadła także cena złota, zmniejszyła się cierpliwość urzędu skarbowego wobec unikania przez ojca płacenia podatków w krajach Ameryki Południowej (był wściekły, że musi płacić składki ubezpieczeniowe, które – o ironio – pomogły nam przetrwać po jego śmierci) oraz rozpadł się związek z dawną-recepcjonistką-potem-narzeczoną. Krótko mówiąc, to nie był dobry rok. Ja spędziłem z ojcem całe cztery dni w połowie stycznia.

Każdego wieczoru podczas tych krótkich wakacji, kiedy leżałem w śpiworze na hotelowej podłodze u stóp dużego łóżka, słyszałem, jak ojciec przewraca się i wierci do późnej nocy. Wyczuwałem, z pewnością, którą czasem miewają dzieci, że nie będzie już moim ojcem zbyt długo. Kolejne ruchy pojawiały się cyklami i stopniowo się wokół niego zamykały. Szaleńczo skopywał pościel, jęcząc z frustracji, ze złości i z rozpaczy, aż wydymała się i szeleściła niczym przybrzeżny wiatr, następnie całkiem zrezygnowany i załamany chował twarz w poduszkę i szlochał. Później cykl rozpoczynał się na nowo. Musiał myśleć, że już śpię – tak zakładałem – bo z tego, co wiem, nigdy nie pozwolił sobie na płacz w czyjejkolwiek obecności. Jednak któreś nocy się do mnie odezwał.

– Po prostu nie wiem – powiedział na głos. – Roy, śpisz?

– Nie.

– Boże, po prostu nie wiem.

To była nasza ostatnia rozmowa. Ja również nie wiedziałem, chciałem tylko skulić się w swoim śpiworze. Ojciec miewał potworne migreny – nie pomagały żadne środki przeciwbólowe, ulotność w głosie, który stawał się coraz mniej wyrazisty, i różne inne tajemnicze związane z tym smutkiem przypadłości, których nie chciałem oglądać ani słuchać. Wiedziałem, jak wszyscy, dokąd zmierza, ale nie wiedziałem dlaczego. I nie chciałem wiedzieć.

Następnego roku ojciec zapuszczał się na Osprey coraz dalej i dalej, na tuńczyka u wybrzeży Meksyku, a potem na kraby królewskie na Morzu Beringa. Zaczął łowić na wędkę z szerokiej, wysokiej rufy i pewnego dnia złowił kilka dużych łososi, które oczyścił na miejscu. Wracając do portu, świadom konieczności sprzedania nieszczęsnej Osprey (po dwóch latach poważnych strat nie miał nawet szans na pożyczkę), ze skarbówką na karku i bez perspektyw na dalsze loty, wyjął z kabiny magnum 44 i przeszedł na tył łodzi, gdzie stanął sam przy błyszczącej srebrnej rufie pod ciężkim

szarobiałym niebem i krzyżącymi mewami, w butach ochlapanych ciemną krwią świeżo złowionego łososa. Być może na moment się zatrzymał, by pomyśleć, ale wątpię. Jego rozpęd składał się wyłącznie z powietrza, nie rozpraszła go ziemia. Rozbryznął się wśród resztek łososi, a mewy podbierały jego szczątki jeszcze przez kilka godzin, zanim mój wuj wyszedł z maszynowni na górę i go znalazł.

Matka i ja przetrwaliśmy. Nie wznieśliśmy się na żadne wyżyny, nie mieliśmy więc skąd spadać. Kiedy wuj zadzwonił i przekazał nam informację, zjedliśmy rosół z odrobiną groszku, a wieczorem, kiedy światło na niebie wyblakło do błękitu, a potem do czerni, siedzieliśmy w salonie we fluorescencyjnym blasku akwarium i patrzyliśmy. Mieniaący się rekin nauczył się już poruszać i coraz rzadziej wpadał na szyby. Puste oczodoły, których surowość wcześniej przetykały cienkie strużki krwi, wygoiły się i pokryła je matowa biała błona. Strzelczyk w tygrysie paski, w połowie szczęka, w połowie ogon, który zawsze wypływał na powierzchnię pod kątem czterdziestu pięciu stopni i potrafił wyrzucać spore wypluwki wody, przesuwając silną dolną wargę wzdłuż powierzchni, czekając, aż w którymś momencie – nie wiem kiedy, ponieważ po śmierci czas się zatrzymuje, jakby przestawał mijać – wstałem, żeby przynieść mu słoiczek z muchami. Wpuściłem jedną w przestrzeń między pokrywą i wodą, zakryłem otwór i znów usiadłem obok matki, by obserwować znajomy rytuał, pozostałość po naszym dawnym życiu, choć już wiedziałem, że straciłem zainteresowanie rybami. Strzelczyk spiął się, zatańczył w drżącym kręgu, z zakrzywioną wargą zawisając pod powierzchnią, podążył za szalonym lotem muchy z milczącą premedytacją i wyrzucił swoją wyplawkę wody z taką prędkością, a jednocześnie tak nieznacznym ruchem, jakby to w ogóle się nie wydarzyło, tyle że uwięziona mucha zdążyła już utworzyć na wodzie miliony drobnych zmarszczek paniki.

Rhoda

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem swoją macochę, myślałem, że puszcza do mnie oko. Odpowiedziałem mrugnięciem. Ale ona tylko marszczyła czoło, a jej prawa powieka nigdy się nie podnosiła. Miała wtedy na sobie żółtą ślubną sukienkę, bez welonu i trenu, i odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć, kiedy mijałem pierwszy rząd ławek, niosąc ślubne obrączki na małej aksamitnej poduszce. Na ojca chyba ledwie zerknąłem. Widziałem jedynie tę nową kobietę, którą ojciec aż do teraz przed wszystkimi ukrywał, a która miała ciemne, ciemne włosy, bladą cerę i opadającą powiekę, przy bliższym poznaniu czyniącą ją niesamowicie piękną.

Moja nowa macocha Rhoda cienkimi białymi palcami odwiązała obrączkę dla mojego ojca. Znowu podniosłem wzrok na tę powiekę, przyciągała mnie, była lekko otwarta – i zbyt późno zdałem sobie sprawę, że Rhoda mnie obserwuje. Jej drugie oko było brązowe i lśniące. Roześmiała się na głos, w samym środku mszy, w obecności wszystkich, w tej samej chwili, gdy wkładała obrączkę na palec ojca. Jej śmiech zaskoczył nas wszystkich, ale najbardziej ojca, który rozejrzał się wokół, jakby to ktoś inny w kościele się roześmiał. Lekko otworzył usta, podniósł głowę i po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, że się boi.

Na przyjęciu Rhoda jadła z rozmysłem, krojąc potrawy na malutkie kwadraciki. Wiedziała, że jest obserwowana. Stoły rozstawiono na trawniku przed domem ojca, na skraju niewielkiego orzechowego sadu ze strumieniem, w tle dwa porośnięte krzewami zbocza góry. Widok był piękny, ale wszyscy patrzyli wyłącznie na Rhodę. Gdy tylko przeprosiła i weszła do domu – założyliśmy, że chciała skorzystać z toalety – babcia otworzyła ogień.

– Szkoda, że nie ma tu dzisiaj twojej matki – powiedziała do mnie, wciśniętego między nią i ojca, bez szans na ucieczkę.

Rodzice Rhody nie pojawili się na przyjęciu ani nawet na ślubie, ale dokładnie naprzeciwko nas siedziała jej starsza siostra.

– Nie wiem, dlaczego nie mógł zostać z twoją matką – ciągnęła babka. – Wiesz, że ta Rhoda ma ledwie dwadzieścia cztery lata?

– Margaret, nie tutaj – wtrącił dziadek.

– Ależ ja nic nie mówię. Po prostu zawsze tak lubiliśmy jego matkę.

– Margaret! – Dziadek podniósł głos i zakrył dłoń babci leżącą na stole.

– Podać ci coś jeszcze, mamó? – zapytał ojciec. Nie patrzył na siostrę Rhody.

– Ona właściwie ma tylko jedno oko – wyszeptła babcia do dziadka, dość głośno, żebyśmy wszyscy usłyszeli.

– Jezu – rzucił ojciec.

– Nie ma sprawy – odezwała się siostra Rhody. – Wiemy, że to nie było złośliwe. Po prostu sytuacja jest niezręczna.

– No właśnie – zawtórowała jej babcia. – Dokładnie to próbowałam powiedzieć.

- Wraca – szepnąłem.
- Siadając, Rhoda przyjrzała się nam uważnie.
- Rozmawialiście o mnie, prawda?
- Ależ oczywiście – przytaknęła babcia z uśmiechem. – W końcu jesteś panną młodą.

Ojciec i Rhoda nie wyjechali na miesiąc miodowy. Zamiast tego zatrzymali mnie u siebie na weekend i dali mi prezenty. Pewnie była to forma łapówki.

Siedziałem na ganku, patrzyłem na słońce zachodzące między dwiema górami, było ciepło i sucho. Słyszałem w zaroślach cmokające odgłosy przepiórek. Wszyscy goście już wyszli, jedynym śladem po zakończonym przyjęciu było dymiące hibachi.

- Najlepszego z okazji ślubu! – zawołali jednocześnie ojciec i Rhoda, wychodząc na ganek.

Rhoda dała mi walkmana. Chyba wyglądałem na zaskoczonego, bo znów zmarszczyła czoło. Nie przywykłem do kosztownych prezentów. Potem ojciec podarował mi moją pierwszą broń – winchestera na jelenie.

- Wypróbuj – powiedział. – Tam siedzi wiewiórka. – Wskazał na duży dąb przed nami.

Zdażyłem już zauważyć szarą wiewiórkę jakieś sześć metrów wyżej. Mogłem ją trafić piłką.

- Nie jest naładowany – powiedziałem.
- W komorze jest łuska. Tylko odciągnij kurek.

Odciągnąłem kurek i wycełowałem w tę wiewiórkę. Właśnie coś jadła, obracała to w łapkach raz po raz, trzymając chudymi czarnymi palcami, szare policzki w słońcu zrobiły się różowe i trzęsły się, kiedy przeżuwała, jednym okiem patrząc wprost na mnie. Nacisnąłem spust i zobaczyłem kawałek mięsa odlatujący z niej niczym mały czerwony ptak. Jakby eksplodował. Między drzewami rozległ się dźwięk padającego deszczu, kiedy kawałki wiewiórki spadały na ziemię.

- Trafiłeś – powiedziała Rhoda.

Tamtego wieczoru pojechaliśmy do miasta, do domu rodziców Rhody, i poznałem jej matkę. Siedziała na wysokim stołku, paląc jak lokomotywa i pijąc przez cały czas naszej wizyty. Miała psa długości mniej więcej wiewiórki, ale ogolonego i spasionego, ze zgniecionym pyskiem i z małymi wrednymi oczkami. Chowało się toto pod stołkiem i warczało tak głośno, że ledwie słyszeliśmy siebie nawzajem. Co kilka chwil matka Rhody wrzeszczała: „Zamknij się, Brzydki!” i wyciągała nogę, żeby kopnąć psa. Zwierzak wyrywał przez kuchnię, stukając i ślizgając się pazurami po linoleum, a potem wracał biegiem, wyrzucając z pyska krople śliny przy każdym wydechu.

Matka Rhody powiedziała do mnie ochrypłym głosem palaczki:

- Dobry z ciebie dzieciak, no.

Ojciec Rhody zaprosił mojego ojca do swojej zbrojowni, gdzie zgromadził pokaźną kolekcję, jak powiedział, strzelb i pistoletów.

- Jak się masz, mamó? – zapytała Rhoda w którymś momencie trwającej już trochę konwersacji. Miałem wrażenie, że od jakiegoś czasu nie rozmawiała z matką.

- Ten łajdak, twój ojciec, chce mnie zostawić.

Rhoda odpowiedziała dopiero po długiej i niemiłej chwili:

- Wiesz, że to nieprawda, mamó. Nigdy tak nie było.

– Okej. W takim razie u nas wszystko w jak najlepszym porządku. – Upiła kolejny łyk. – Ale za to ty znowu wyszłaś za męża. Nastały dobre czasy, co? – Matka Rhody nalała sobie kolejnego drinka i spojrzała na mnie. – A ty co lubisz robić?

Wydychała dym ustami prosto do nosa. Miała różowe spodnie i zaczęła kaptcie o dolny szczebelek wysokiego stołka. Jej mały pies gapił się na moje łydki.

– Nic – odparłem.

Zaśmiała się, zakaszłała, potem spojrzała na mnie podejrzliwie. Chciałem powiedzieć „nic specjalnego”, ale gdzieś mi uciekło ostatnie słowo.

– On ma tylko dwanaście lat, mamo – wtrąciła Rhoda.

– Dobry dzieciak. – Jej matka mrugnęła do mnie, potem zgasiła papierosa w popielniczce. – Hej, Billy! – wrzasnęła w stronę korytarza. – Co takiego ciekawego jest w tych cholernych spluwach? Chodź, poznaj dzieciaka.

Nalała sobie kolejnego drinka.

– Tata cię kocha – powiedziała Rhoda.

– Przejrzyj na oczy, Rhodo. – Matka gapiła się na nią. – Ha! – rzuciła i zaśmiała się, po czym znów zaczęła kaszleć. – Zawsze byłaś zdecydowanie za ładna, Rhodo. Niedobrze być ładniejszą od matki. – Spojrzała na mnie i mrugnęła. – Nie myśl, że nie wiem, co mówię.

Ojciec Rhody powoli wszedł do pokoju, niski i barczysty przy moim ojcu.

– Dosyć już wypijaś – powiedział do żony.

Znów do mnie mrugnęła i opróżniła szklankę.

Ojciec Rhody wydawał się nie tyle zły, ile zażenowany i zdenerwowany. Lekko potarł dłonią łysiejącą głowę.

– Jak ci się podoba kolekcja taty? – zapytała Rhoda mojego ojca. Stała teraz bliżej mnie, a dalej od matki. Widziałem cienkie, miękkie włoski na jej karku.

– To naprawdę coś. Nie codziennie widuje się takie zbiory.

– Proszę, Sharlene, nie przy dziecku – odezwał się ojciec Rhody.

– W porządku, tato. – Rhoda zrobiła krok w jego kierunku. – I tak nie zostaniemy długo.

– Chcesz mi coś powiedzieć o wstydzie? – zapytała matka Rhody, odwrócona plecami do nas wszystkich. – Człowiek, który nie pokazuje się publicznie ze swoją żoną, chce mi coś powiedzieć o wstydzie?

Brzydki zawarczał. Wiedział, że coś się dzieje, i zaczynał szaleć.

Człowiek, który szlaja się z dwa razy młodszymi dupami? – Matka Rhody odwróciła się na stołku i wyceLOWAŁA palec w męża. – Zejdź mi z drogi, Rhodo – powiedziała, bo córka stanęła między nimi.

Ojciec Rhody podniósł ręce, jakby przepaszajaco, i odszedł korytarzem.

– Tchórz! – wrzasnęła jego żona.

Tego samego wieczoru, kiedy słuchałem płaczącej Rhody i pocieszającego ją ojca, zastanawiałem się, czy z jej przymkniętego oka dobywają się łzy. Oddzielająca nas ściana była cienka, słyszałem wszystko: ich nerwowe oddechy, znowu jej szloch i jak mówiła ojcu, że go kocha. Pamiętam dziwność tego wszystkiego.

Następnego dnia Rhoda poprosiła, bym dołączył do niej przy pianinie. Odparłem, że nie potrafię grać, powiedziała, że nic nie szkodzi. Usiadłem więc obok.

- Zamknij oczy – poleciła.
- Ty masz zamknięte?
- Tak – potwierdziła. – Choć moje prawe oko nigdy nie zamyka się do końca.
- I widzisz przez nie?
- Tak, zawsze.

Zamknąłem oczy.

- Połóż dłonie na klawiszach – powiedziała. – Po prostu słuchaj uważnie i pozwól palcom grać.

Przez kilka minut siedzieliśmy w całkowitym milczeniu. Przestrzeń między nami się zagęściła, napływała i odpływała.

Jej pierwsza nuta rozległa się echem gdzieś nisko. Zagrała następne, które zajęły miejsca w powietrzu.

- Niesamowite – powiedziałem.

- Słuchaj – szepnęła.

Słuchałem, dopóki jej nuty wszędzie dokoła mogły być moimi, i wkrótce kilka się nimi stało. Nie brzmiały bardzo źle – jak chaotyczna piosenka, która składała się w całość dlatego, że oddech Rhody był tak blisko mojego.

Nie wiem, jak długo graliśmy, za to wiem, że chciałem, by to się nigdy nie skończyło, ale się skończyło i mój ojciec zaklaskał gdzieś zza naszych pleców, nieprzyjemnie ostro i głośno.

- Jaka ona jest, ta Rhoda? – chciała wiedzieć moja matka. Odcinała właśnie tłuszcz z filetów drobiowych.

- Jest miła – odparłem.

- I jaka jeszcze?

Dziabnąłem żyłki grudowatego żółtego tłuszczu leżące na krawędzi deski.

- Zabawna – dodałem.

- Tak?

- Tak. I chyba nikogo się nie boi. Oprócz swojej matki oczywiście.

Mama się zaśmiała. Potem zmierzwiła mi włosy.

- Oj – rzuciła. – Przepraszam. – Kuchenną ścierką starła mi z głowy resztki tłuszczu. – A jest ładna? – O to zapytała ciszej.

- Nie, jest zdeformowana – powiedziałem, a ona znowu się zaśmiała.

Przez cały tamten tydzień czekałem na chwilę, kiedy znów zagram na pianinie z Rhodą, ale gdy tylko w piątek wieczorem przyjechałem do domu ojca, wsadzili mnie do auta i popędziliśmy do domu jej rodziców. Dzwoniła jej matka.

- O co jej chodzi? – pytała wciąż Rhoda.

Miała na sobie płaszcz, obie ręce trzymała zaciśnięte między kolanami.

- Nie martw się – powtarzał raz po raz ojciec, po każdym jej słowie. – Na pewno wszystko będzie dobrze.

Kiedy jednak dojechaliśmy na miejsce, ani Rhoda, ani ojciec nie mogli otworzyć frontowych drzwi. Pukali i pukali, nikt nie odpowiadał, tylko Brzydki wciąż warczał, ale żadne nie chciało po prostu nacisnąć klamki i otworzyć.

W końcu ja to zrobiłem. Otworzyłem szeroko drzwi.

- No, wejdźcie! – zawołała matka Rhody. – Billy, dlaczego nie otwierasz drzwi?

– Tato? – zapytała Rhoda.

Ojciec Rhody przyczłapał korytarzem w futrzanych kapciach.

– Czy coś się stało, Rhodo?

Rhoda odwróciła się do swojego ojca.

– Przepraszam – powiedziała. – Zabierz mnie do domu, dobrze?

– No, to było głupie – odezwał się ojciec, kiedy wsiadaliśmy do samochodu.

Ona nic nie mówiła. Tylko otuliła się płaszczem i patrzyła na drogę. Bawiłem się popielniczką w drzwiach auta od swojej strony. Wyjąłem z niej wszystkie papierki po gumie do żucia, potem upchnąłem je z powrotem. Otwierałem i zamykałem metalową przykrywkę chyba z milion razy.

– Odpuść sobie, Roy – powiedział w końcu ojciec.

Docisnął pedał gazu, dając mi znać, że nie żartuje.

Kiedy skręciliśmy na żwirowy podjazd i w świetle reflektorów zobaczyliśmy krzewy jeżyn rosnące z obu stron i czerwony most z przodu, zapytał:

– Co ona dokładnie powiedziała?

– Ja nie zmyślam, Jim.

– No więc co powiedziała?

Rhoda obróciła się w fotelu i poprawiła pas.

– Powiedziała: „Kocham cię, Rhodo. U nas wszystko super. Może przywieziesz swoich synków na drinka”.

– To nic nie znaczyło, Rhodo.

– Nie bądź idiotą, Jim – odparła bardzo cicho.

Ojciec spojrzał we wsteczne lusterko, sprawdzając, czy słyszałem. Nie miałem pojęcia, co zrobić, uniosłem więc kciuki.

– Ona go zabije – powiedziała Rhoda przy śniadaniu jak gdyby nigdy nic. Spokojnie patrzyła na irytację mojego ojca, jego złość i strach. – Jesteś na to gotów, Jim?

Godzinę później oblałem sprawdzian higieny jamy ustnej, część pośniadaniowa.

– Numery sześć i jedenaście wymagają poprawek – ocenił ojciec dentysta. – A dziąsła znów ci krwawią. Wiesz, co to oznacza.

– Gdzie jest Rhoda? – zapytałem.

– Nie wiem – odparł.

Spojrzał przez ramię, jakby spodziewał się jej za plecami. Kiedy ją zawołał, nie odpowiedziała. Kiedy zaglądał do kolejnych pokoiów, nikogo w nich nie było.

Rhoda w orzechowym sadzie tamtego popołudnia, układająca puzzle z tysiąca części, ubrana w jedną z sukienek prababci, długą, jasnoniebieską, w kapeluszu od słońca i delikatnych sznurowanych trzewikach, nigdy nie spoglądała za siebie, tam gdzie na schodach ganku siedział mój zagubiony ojciec. Nie rozumiał jej. Nie miał pojęcia, jak ją pocieszyć.

– Jeszcze nic się nie zepsuło – powiedział do mnie.

Rhoda poszła głęboko w sad, niemal do strumienia, zanim rozstawiła stół karciany i składane krzeselko. Usiadła twarzą do doliny, lewym bokiem do nas. Wszędzie dokoła rosły dzika gorczyca i gipsówka. Pajęczne nici unosiły się w powietrzu nad jej głową, błyskały w słońcu, potem zniknęły.

– Ona tam zostanie – powiedział ojciec. – Nic nie pije, nie odzywa się, nawet nie spojrzy. Jakby cokolwiek z tego nie wiadomo czego to była moja wina.

Nieruchomość Rhody czyniła ją nierzeczywistą. Tylko co jakiś czas lekki ruch dłoni układający puzzle na miejscu.

– Przedtem taka nie była – mówił ojciec. – Nie z taką kobietą się ożeniłem.

Spojrzałem na niego.

– Nie to miałem na myśli – powiedział.

Siedziałem obok ojca na ganku, aż zaszło słońce i moje bycie tam z nim przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Wtedy przeszedłem przez sad do Rhody.

Wciąż było gorąco. Zauważyłem drobne, czyste kropelki potu na jej czole w miejscu, skąd Rhoda odgarnęła włosy do tyłu, wilgoć nad górną wargą i wzdłuż wygiętych linii karku.

– Przyglądasz mi się, Roy.

Gdybym dotknął jej szyi, co by zrobiła? Odepchnęłaby moją dłoń, wyśmiała mnie, uśmiechnęła się? Tamtego popołudnia wiedziałem, że mogła zrobić wszystko. Mogła zniknąć. Zejść w stronę strumienia w swojej długiej sukience, iść z biegiem, nigdy nie wrócić, a jej historię znalazłbyśmy tylko z pocztówek i ze snów. Nic jej tu nie trzymało.

– Czy twój ojciec też mi się przygląda? – zapytała.

– Tak.

– Siedzi na schodkach, ręce zwisają mu z kolan?

– Tak – powiedziałem. – Zostawisz nas?

Wtedy Rhoda uniosła głowę i się do mnie uśmiechnęła. Wyglądała młodo, dużo młodziej niż mój ojciec.

– Oczywiście, że nie – odparła. – Nie myśl tak.

Cały niedzielny poranek Rhoda szła za nami w pewnej odległości. Ubrana w dżinsy, T-shirt i bejsbolówkę, ale ja wyobrażałem sobie, że wciąż ma na sobie sukienkę prababki, jej twarz skrywa rondo kapelusza, a ona wspina się wąską wstążką drogi pożarowej wzdłuż zbocza.

Ojciec szedł obok mnie, niosąc dwudziestkędwójkę na przepiórki. Słyszałem grzechot naboju w jego kieszeni. Niespokojny, wciąż co chwila oglądał się na Rhodę, idącą kilkaset metrów za nami, i wkrótce zaczął mamrotać pod nosem.

– Nie wiem, co z tym wszystkim zrobić – mówił do siebie raz po raz na różne sposoby, kiedy wspinaliśmy się do wtóru nawoływania szarych wiewiórek i dzięciołów.

W nocy trochę padało. Pamiętam, jak mocno pachniała trawa bermudzka – czułem gorycz w nosie i gardle. Podniosłem gwałtownie wzrok z jaskrawej ziemi i wszystko się połączyło, smugi chmur i błękitnego nieba, jakby w samym środku nieba pojawiła się wielka rura, która zassała wszystko.

– Z czym? – zapytałem w końcu.

– Ze wszystkim – odparł, kręcąc głową.

– Ona nie odejdzie – powiedziałem.

Ojciec spojrział w bok, mrużąc oczy, jakby nie ufał krzewom rosnącym wzdłuż drogi.

– Chciałbym w to wierzyć.

– To uwierz. Powiedziała mi, że nie odejdzie.

Ojciec zatrzymał się wtedy i spojrzał na mnie tak, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu.

– Powiedziała ci?

– Tak.

– Ale dlaczego?

– Bo zapytałem.

Obejrzała się na Rhodę. Przytrzymała przód sukienki, żeby się nie ubrudziła, jedną ręką ścisnęła książkę, powoli płynęła w naszą stronę.

– Rhoda – powiedział ojciec. Może sobie przypominał.

Po następnym wzniesieniu roślinność się przerzedziła i weszliśmy na przełęcz, na której łączyły się zbocza. Białe pasiaste dęby i polany perlistej błękitnozielonej trawy. Słyszeliśmy pióra pustułek, które śmigały obok z wiatrem.

– Widziałeś kiedyś jakąś z bliska? – zapytał ojciec.

– Nie – odparłem.

Przez długi czas wpatrywał się w niebo, potem wycelował dwudziestkędwójkę w ptaka kołującego kilkaset metrów od nas. Kiedy wystrzelił, wąskie skrzydła jakby się na chwilę zatrzymały, ale chyba to sobie wyobraziłem, bo pustułka nie spadała.

Rhoda zmierzała w naszą stronę, wyszła z zarośli, już bez kapelusza, i jednym czystym okiem wpatrywała się w ptaka.

Ojciec włożył kolejny nabój do komory i czekał, aż pustułka przeleci bliżej. Rhoda podeszła do niego od tyłu i położyła białe palce na jego karku. Kiedy ptak nadleciał, z przechyloną głową, otwartym dziobem i szelestem piór, zobaczyłem, jak Rhoda zamyka to jedno oko, które mogła zamknąć. Zobaczyłem, jak wygina głowę do tyłu, przesywając powietrze, i wyrastają z niej skrzydła. Usłyszałem wystrzał i wrzasnąłem.

Ojciec odskoczył ode mnie w bok i zamachnął się lufą dokoła, tak że wycelował ją w moją pierś. To było instynktowne, tłumaczył potem. Przestraszyłem go.

Ale Rhoda podeszła do mnie, ujęła moją twarz w dłonie i przysunęła ją blisko do swojej, chcąc wiedzieć.

– Co tam się dzieje? – zapytała.

Przyciągnęła mnie tak blisko, że spojrzałem w jej przymknięte oko, zaokrągloną jasnobrązową krawędź, idealną na tle bieli, krajobraz bez dna, środek, którego nie było widać.

Legenda o dobrych ludziach

Stałem kiedyś w zagajniku przy końcu jeziora i usłyszałem sto drobnych kropeł kapiących przez liście wokół mnie niczym deszcz, tak delikatnie, że mogłem złapać na język jedną z nich. Potem huk przez tę wodę, krzyk Johna, krzyk mojej matki, machanie rękami. Rozłożyłem ramiona i czekałem na kolejny. Powietrze przeredziło się tak, że odległość zdawała się nie istnieć, jakby wszystko – liście, linia wody, czerwona flanela, pola i horyzont – można było oderwać dwoma palcami. Skrzek i zawrodożenie skrzydeł dzikich kaczek przybrały na sile, potem osłabły. Choć mnie nie trafił, zakołysałem się w tył półkolem, upewniłem się, że biegnąca matka mnie widzi, i upadłem w błoto. Wtedy po raz pierwszy poznałem strzał od drugiej strony.

John Laine nie zamierzał mnie postrzelić. Spotykał się z matką, próbował zyskać moją sympatię. Postawił mnie bardziej z boku, za sitowiem, ale ja wyczołgałem się na rękach i kolanach przez błoto i kłującą trawę, potem wstałem, słysząc zduszoną eksplozję kaczyc skrzydeł na wodzie. John nie mógł mnie widzieć do momentu, kiedy jego palec nacisnął spust.

Do miejsca, w którym leżałem, krzyki i chlapanie zdawały się dochodzić z każdego kierunku. Potem błoto zaczęło plaskać wokół moich uszu. Wpatrywałem się bezprzysotomnie w szare niebo. Zapamiętam to, pomyślałem. Dzisiaj jest sobota, ósmy listopada. Mam trzynaście lat. Nawet moje kostki toną.

Ręce matki wyrrywające mnie z błota wywołały uśmiech, który mnie zdradził. Wylądowałem z mokrym, plaskającym odgłosem.

– Ty gówniarzu – powiedziała.

Potem się roześmiała. Potem John się roześmiał – ulżyło mu, że mnie nie zabił. Był policjantem, więc nie wyglądałoby to dobrze.

Matka cisnęła w niego garścią błota – rozpląszczyło się na jego czerwonej flanelowej koszuli niczym rana. Później rzuciła się do tyłu w błoto obok mnie i zaczęła płakać. To był dla Johna początek końca. Nie wiedział tego, stojąc tam z nerwowym uśmiechem, niepewny, czy moja matka płacze naprawdę, ale już wtedy był na wylocie. Zerknąłem na niego jednym okiem i niemal widziałem, jak znika.

Choć przez kilka lat po rozwodzie matka spotykała się regularnie z jednym mężczyzną, to po tym, jak ojciec popełnił samobójstwo, żadnego faceta nie trzymała przy sobie zbyt długo. Ci, z którymi się umawiała, przypominali cyrki przejeżdżające przez nasze miasteczko. Wprowadzali się w pośpiechu, rozpakowywali wszystko, co mieli, jakby zamierzali zostać. Kusili nas kolorowymi przedmiotami – kwiatami, balonami, zdalnie sterowanymi wyścigówkami – robili sztuczki z brodą i rękami, nazywali nas zabawnymi określeniami, na przykład „pesteczko”, „mój mały kabaczku”, „jabłuszko” czy „dzwoneczku”, dzień i noc wykrzykiwali nam swoje historie. Potem znikali, a my nie znajdowaliśmy po nich śladu, żadnej wzmianki, jakbyśmy po prostu ich sobie wymyślili.

John był tylko jednym z wielu. Z tych, którzy pojawili się wcześniej, najważniejszy był Angel. Kiedy matka mi powiedziała, jak ma na imię, zamiast *anhel* usłyszałem *on hell* i uznałem, że to doskonały pomysł być „na piekle”, nie będąc w środku, coś jakby „tylko odwiedzający” na planszy gry w Monopol. Z Anielem jeździliśmy na narty w Sierra Nevada, drzemaliśmy przed kominkiem, „doświadczaliśmy” opery i ogólnie ubieraliśmy się ładniej. Jednak pod tym całym szykiem moja matka była taka sama. Rzuciła Angela po niecałych trzech miesiącach, bez ostrzeżenia, które mógłbym wyczuć, w pewne późne wtorkowe popołudnie. Zrobiła to przez telefon. Jedyna różnica, że tym razem płakała. Ja też płakałem, choć nie z tęsknoty za Anielem.

Następny był Leonard. Objawił się latem. Co za brzydki mężczyzna, pomyślałem, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy. Był astrologiem, wyjaśnił mi, że mój Jowisz w Wenus oznacza, że powinienem oczekiwać od miłości wielkich rzeczy. Nie potrafiłem znaleźć wzoru, według którego matka wybierała facetów: Angel i Leonard nie mogli bardziej się od siebie różnić.

„Mężczyźni – mówiła – są pełni niespodzianek. Nigdy nie są tym, za kogo ich uważasz”.

Zacząłem sobie wyobrażać, że wszyscy noszą kostiumy i gdzieś u dołu pleców każdy ma zamek błyskawiczny. Potem dotarło do mnie, że któregoś dnia ja również będę mężczyzną, i zacząłem się zastanawiać nad tym suwakiem.

Matka i ja mieliśmy swoje przyzwyczajenia. Ona uczyła w liceum, chodziła na długie wycieczki w parkach stanowych niedaleko domu, czytała kryminały i czasami zniknęła, rzucając jedynie: „Potrzebuję kilku dni przerwy” albo „Jadę odwiedzić koleżankę”.

„Którą koleżankę?”, pytałem.

„No właśnie”, odpowiadała.

Jadłem lody, siedząc przed telewizorem, przyzwoicie odrabiałem prace domowe i wymykałem się nocą, żeby ze strzelby ojca strzelać do latarni. W ciągu pół roku zaciemniłem całą okolicę i zacząłem od nowa, kiedy je naprawiono.

Nic nie wydawało mi się piękniejsze niż niebiesko-białe eksplozje żarówek widziane przez celownik. Sam dźwięk, pyknięcie, był niemal rykiem, potem zapadała cisza, potem deszcz szkła – pojawiał się dopiero wtedy, kiedy wszystkie odłamki i odpryski odpłynęły albo obróciły się lśniące w powietrzu niczym mgła.

John Laine był inny dlatego, że pierwszy przetrwał ponad trzy miesiące. Nawet tamten dzień nad jeziorem go nie zraził. Trudno było przewidzieć, jak długo zostanie.

Miałem tylko trzynaście lat, ale John nauczył mnie prowadzić swojego pikapa – nazywał go Srebrnym Pociskiem – i pędzić po bocznych drogach w całym hrabstwie Sonoma. Jeśli mijaliśmy innego gliniarza, tylko machaliśmy. Pamiętam winnice pod koniec września, sto sześćdziesiąt na godzinę, prędkość matowiła fiolety, czerwienie i zielenie, które przelatowały obok jak łaty glonów na zarośniętym oceanie. John, który zawsze mówił spokojnym głosem, nawet jeśli opony ślizgały się pod nami jak mydło, twierdził, że mam talent. I któregoś dnia mogę zostać dobrym policjantem.

John miał ciemne bokobrody, którymi potrafił poruszać w górę i w dół. Kiedy zapytaliśmy, skąd pochodzi, odparł, że zszedł z drzewa. „A przedtem?”, zapytałem. Uszczypnął mnie szorstkimi palcami i kazał iść do łóżka. Siedziałem na kanapie z nim i z matką. Uśmiechnęła się do mnie i kciukiem wskazała mój pokój.

Kiedy matka w końcu zerwała z Johnem, siedząc na tej samej kanapie, podczas gdy ja snułem się po kuchni, podglądając przez żaluzjowe drzwi, John powiedział „okej” i nie puszczał jej dłoni. Bez kłótni matka nie była pewna, co robić. Ojciec skrzywdził ją w konkretny sposób, o którym mogła wrzeszczeć. W jego przypadku możliwe, że postąpiła sprawiedliwie. Ale w przypadku Johna, dla nas obojga, był tylko ból wynikający ze świadomości, że bardzo chcieliśmy, żeby został.

Po Johnie pojawił się Emmet. To było w styczniu, kiedy matka marzyła o Legolandzie i sławie. Z pomocą Emmeta zaciągnęła nasz stół z jadalni do salonu, rozłożyła dodatkowe blaty, aż uzyskała pełną długość, i kazała nam być cicho. Napisała kiedyś do „Motorland Magazine” z pytaniem, czy byliby zainteresowani artykułem o naszej wycieczce do duńskiego Legolandu, i wbrew wszelkim oczekiwaniom odpowiedzieli twierdząco. Co wieczór siadała więc przed notatkami i trzydziestopięciomilimetrowymi slajdami, a Emmet i ja posłusznie siedzieliśmy na kanapie w salonie, Emmet czytał kowbojskie książki Louisa L’Amoura, ja odrabiałem zadania.

Emmet nieustannie opowiadał nam, kim jest. To zaś, kim był, wciąż się zmieniało. W jednym tygodniu dorastał w Sandpoint w Idaho, w następnym to było Red Bluff w Kalifornii. Wzruszając ramionami, twierdził, że po prostu sobie przypomniął, i tyle. A jeśli przytapało się go we śnie, co raz zrobiłem, opowiadał jeszcze dziwniejsze historie.

– Mittenwald – westchnął, wpychając głowę głębiej do kąta. Znalazłem go o wpół do piątej rano w naszym schowku na szczotki, zwiniętego wokół odkurzacza, ze starymi zasłonami pod głową. – Muszę, jestem z Mittenwaldu. Małego miasteczka na północ stąd. Mnóstwo pożarów.

Najwyraźniej pomylił schowek z sypialnią mojej matki. Rozumiałem go. Wiele lat wcześniej pomyliłem ten sam schowek z łazienką i nasikałem w tym samym kącie, w którym teraz leżał, a potem, próbując spuścić wodę, ściągnąłem dwie stare spódnice matki.

– Niemożliwe stało się rzeczywistością – powiedziała nam matka jednego z pierwszych legolandowych wieczorów. Ubrana w fioletowy aksamitny szlafrok, z emocji aż wyrzuciła ręce w górę.

Emmet i ja uśmiechnęliśmy się do siebie. Potrafił docenić przesadę.

Na slajdach byliśmy ja i jakaś duńska dziewczynka, którą matka zagarnęła tamtego lata w sierpniu razem z jej samotnym ojcem. To było czyste wyrachowanie: matka wiedziała, że potencjalny artykuł w gazecie powinien opisywać dwoje dzieci i oboje rodziców. Dziewczynka miała jasne włosy związane w kucyk i bardzo duże oczy, a także niezwykle wysokie czoło. Matka nazywała ją Helgą, bo żadne z nas nie potrafiło zapamiętać jej imienia.

Helga i ja jeździliśmy samochodami z klocków Lego, pokazywaliśmy do zdjęcia nasze prawa jazdy Lego, żeglowaliśmy w łódkach z Lego wokół góry Rushmore z Lego i strzelaliśmy do siebie z pistoletów Lego na Dzikim Zachodzie. Na ulubionym zdjęciu matki było dwadzieścia czy trzydzieści koni z Lego i ludziki z Lego tłoczące się na ganku pałacu Lego, a obok bardzo duży ogrodnik – człowiek – przechodził z kosiarką do trawy. Helga i ja wyglądaliśmy zza obu skrzydeł pałacu. Coś w tym zdjęciu sprawiało matce przyjemność. Być może po części przytulna mała Europa, ale wszyscy

ci faceci, bezceremonialnie rzućni razem ze swoimi końmi, także na pewno mieli na to wpływ. Wskazówek było mnóstwo, gdyby tylko Emmet spróbował je zauważyć.

Pod koniec okresu Emmeta zacząłem zapuszczać się wyżej na wzgórze i strzelać z gęstych zarośli; ustrzeliłem swoje pierwsze światło z niemal czterystu metrów. Zamówiłem wysyłkowo z „Survivalist Magazine” konwerter, który umożliwiał strzelanie pociskami kaliber 32 z magnum kaliber 300 należącego do mojego ojca. Naboje te były idealne do okolicznych latarni. Dużo cichsze, dawały się pomylić nawet z petardą. Do sygnalizatorów świetlnych zacząłem jednak używać pełnowymiarowych pocisków. Huk, który wydawały, odzywał się czysto z drugiej strony doliny, wiele kilometrów dalej.

Trzy pociski odbiły się rykoszetem od chodnika, zanim w końcu trafiłem w to czerwone światło. Ludzie na stacji benzynowej zaczęli uciekać, szukając schronienia. Wchodzili za słupy i samochody, niektórzy plecami do mnie. Nikt nie wiedział, skąd padają strzały. Celowałem ze zbyt dużej odległości.

Cały sygnalizator zakołysał się na linie w powietrzu, czerwone zmienione na srebrne. Czułem zapach siarki, słyszałem ujadające psy i syreny po drugiej stronie doliny. Przez celownik widziałem wóz patrolowy zatrzymujący się z piskiem opon. Ciekawe, czy był w nim John.

Pat nieustannie się śmiał. Unosiła się za nim chmura płynu po goleniu Amway. Śmiał się, wchodząc przez jedne drzwi i wychodząc przez drugie. Wydawało mi się, że nawet zerwanie było dlań śmieszne.

Merril mieszkał obok. Kilka miesięcy po tym, jak żona od niego odeszła, przyniósł nam warzywa ze swojego ogródka i został na trzy dni. Przez cały ten czas przesuwane szklane drzwi z tyłu domu pozostawały otwarte, więc wszedłem do środka. Wszystko skatalogowałem, otworzyłem nawet byle jaki sejf i spisałem, ile jest w nim gotówki. Pod łóżkiem znalazłem egzemplarze „Playboya” i *Radość seksu*. Z szafki na leki wywnioskowałem, że cierpi na hemoroidy i opryszczkę, łokieć tenisisty i zapalenie dziąseł. Widziałem zdjęcia wszystkich jego dzieci – wtedy już dorosłych i samodzielnych – i znalazłem nawet przyczynę jego rozwodu. Żona Merrila, Carolyn Somers z domu Alexander, wypisała wszystko dokładnie w liście sprzed pół roku. Merrill nagrał na wideo, jak uprawia seks z koleżanką swojej córki, później kasetka leżała w domu przez kilka lat. Alise, tamta koleżanka, miała wtedy zaledwie piętnaście lat. Sam obejrzałem ten film. Merrill wciąż się go nie pozbył.

Za to moja matka pozbyła się Merrila, kiedy pewnego wieczoru nie chciał pójść do domu. Było późno. Nawet go walnęła ceramiczną żabą, którą moja ciotka przywiozła z Nowej Zelandii. Potem wezwała policję, następnego dnia wystąpiła o zakaz zbliżania się i zostawił nas w spokoju.

Tamtego lata, w weekendowe popołudnia, kiedy Merrill opalał się na leżaku w swoim ogródku, obserwowałem go z okna łazienki mojej matki przez celownik magnum 300. Widziałem sflaczały zarys brzucha, a nawet cienkie niebieskie żyłki na rękach. Jak by to wyglądało, gdybym pociągnął za spust? Któregoś dnia, kiedy jechałem sto pięćdziesiąt pikapem Johna, przejechałem gołębia; zerknąłem w lusterko wsteczne i zobaczyłem obłoczek piór.

Cała ta sprawa z Merrilem przysięgnęła matkę. Opowiadał jej o rodzinie i zaangażowaniu, i o tym, że przy niej znów czuje się jak licealista, a ona zaczynała

w to wierzyć. Nie wspominałem o Alise. Matka płakała ze mną na kanapie w salonie i powiedziała, że wciąż tęskni za Angelem i Johnem.

– Za twoim ojcem też – dodała.

Wtedy oboje płakaliśmy. Po chwili jednak nawet to wydało się nam zabawne.

– Co za głupi, głupi człowiek – powiedziała matka ze śmiechem.

– Już nigdy nie wyjdiesz za mąż – odparłem.

Patrzyła przez rozsuwane szklane drzwi.

– No proszę cię – powiedziała. – Po tym wszystkim?

Wczesną jesienią po Merrilu, kiedy matka z nikim się nie spotykała i byliśmy tylko we dwoje, włamałem się do naszego własnego domu. Klucz zostawiłem w szkolnej szafce. Nie mieliśmy już zapasowego schowanego pod wycieraczką, a matka rzadko wracała przed szóstą czy siódmą. Sprawdziłem więc drzwi i okna, a kiedy okazało się, że wszystko jest zamknięte, podniosłem płaski szary kamień z podwórka i rzuciłem nim w okno łazienki. Odkręciłem zamek, odsunąłem szybę i wlałem do środka.

Najpierw sprawdziłem sypialnię. Znalazłem w szafie szesnaście papierowych toreb pełnych wszystkiego – od szkolnych dokumentów, przez ubrania, do zapasowych baterii. Pierścionki były oczywiście poukrywane w butach, owinięte pończochami. Jedyne sejf okazał się zabawkowy, a szyfr wypisano na spodzie. Staniki i majtki zwiisały na spinaczach, ale krawatów nie było, wyraźnie więc nie mieszkał w tym pokoju żaden mężczyzna.

W łazience na ścianie wisiała pojedyncza fioletowa szczoteczka do zębów. Kapturek antykoncepcyjny w szafce nad umywalką nie został zauważony wcześniej. Kobieta miała słabe zęby albo w nocy nimi zgrzytała, bo w tej samej szafce leżały pasta Sensodyne i plastikowy ochraniacz na zęby.

Kobieta nie trzymała na wierzchu żadnych zdjęć, trudno więc było powiedzieć, czy ma jakąś rodzinę. A w drugiej z dwóch sypialni tapeta miała wzór w bambusy, pokrywający nawet sufit. W rogu stało akwarium z wyłączonym światłem. Wisiał tam plakat z listą dwustu pięćdziesięciu gatunków rekinów. Plakat z rekinem i kilka sztuk dziecięcej białej bielizny Fruit of the Loom na podłodze sugerowały, że mieszkał tu chłopiec albo mieszkało tu kilku chłopców. Jedna para górskich butów w szafie i jedna para korków do piłki nożnej ograniczały liczbę do jednego chłopca. Broń w jego szafie – strzelba browning kaliber 22, karabin winchester kaliber 30–30, magnum winchester z celownikiem kaliber 300, dubeltówka winchester model 25 z ręcznym ładowaniem kaliber 12, śrutówka sheridan Blue-Streak i ruger magnum kaliber 44 – trudno było wyjaśnić. Jak je wszystkie zdobył?

Nagromadzenie węgla w komorze magnum 300 oznaczało, że broni często używano, być może niedawno. Kawał drewna leżący pod łóżkiem, pełen kul, które nie zawsze przechodziły na wylot, sugerował, że chłopiec nie tylko strzelał z dwudziestkidwójki, ale być może robił to nawet w domu. Pudełko pełne „Playboyów”, „Penthouse’ów”, „Hustlerów” i brukowych powieści z oznaczeniem „tylko dla dorosłych” pokazywało, że chłopiec jest jakimś zboczeńcem, no i dlaczego trzymał tak wiele fotografii swojego ojca w tym samym pudełku, a nie na biurku albo na ścianach, to nie miało sensu.

Mniej więcej w tym samym czasie, po przejrzeniu zawartości pudełka, załadowałem dwunastkę ojca i pozbyłem się większości okien i drzwi w naszym domu. Było to dość

ekstremalne, co zrozumiałem później. Zużyłem dwa i pół pudełka naboju, zanim skończyłem: szczególnie frontowe drzwi wymagały wielu strzałów – po jednym do każdego z zawiasów, plus dwóch następnych, żeby je wywalić. Szklane przesuwne drzwi w salonie z pewnością rozpadły się najpiękniej. Zrobiłem jedną małą dziurkę w środku, wielkości mniej więcej półdolarówki. Na moment wszystko całkowicie zamarło, potem szkło zaczęło drżeć. Pofalowało i trzęsło się na całej powierzchni, zginało falami, aż rozprysło się na miliard włókien.

John Laine był jedynym mężczyzną, który pojawił się w naszym życiu ponownie. Kiedy siedziałem na ganku i czekałem na radiowozy, miałem nadzieję, że przyjedzie w jednym z nich – i tak się stało. Razem z partnerem nadjechali w czwartym aucie. Z piskiem opon zatrzymali się przy chodniku, gwałtownie otworzyli drzwi i wycelowali we mnie broń tak samo jak pozostali. Byłem nieuzbrojony i gotów do współpracy, ale nie do końca wiedziałem, co zrobić. Na początku nikt nic do mnie nie mówił. Oczekiwałem megafonu, ale tylko się na mnie gapili.

Pomachałem.

– John – powiedziałem.

I oto był, niemal na progu mojego domu.

Wyspa Sukkwan

Część pierwsza

Mieliśmy z twoją mamą mini morrisa. To był maleńki samochód, przypominał te z parków rozrywki, a jedna z wycieraczek się zepsuła, więc zawsze musiałem wyciągać rękę przez okno, żeby nią poruszać. Twoja mama miała wtedy obsesję na punkcie pól gorczycy, w słoneczne dni nieustannie chciała koło nich jeździć, wszędzie dokoła Davis. Wtedy było więcej pól, a mniej ludzi. I to na całym świecie. W tym miejscu zaczynamy nauczanie domowe. Świat był kiedyś wielkim polem, a Ziemia była płaska. Zwierzęta wędrowały po tym polu i nie miały swoich nazw. Większe zwierzęta jadły te mniejsze i nikt nie miał z tym problemu. Później pojawił się człowiek, który przycupnął wokół krawędzi świata, owłosiony i głupi, i słaby, mnożył się i robił coraz liczniejszy i wynaturzony, i krwiożerczy z ciekawości, aż krawędzie świata zaczęły się wypaczać. Powoli zaginały się i zakrzywiały do dołu, a mężczyzna i kobieta, i dziecko wchodzili na siebie, żeby pozostać na świecie, i pazurami zdrapywali futro ze swoich pleców tym wspinaniem, aż w końcu wszyscy ludzie byli nadzy i zmarznięci, i krwiożerczy i trzymali się krawędzi tego świata.

Ojciec zamilkł, a Roy zapytał: No i?

Z czasem krawędzie w końcu się zderzyły. Podwinęły się do dołu i wszystkie połączyły i utworzyły kulę, a od znaczenia tego, co się stało, świat zaczął się kręcić, aż człowiek i zwierzęta przestały spadać. Potem człowiek spojrział na człowieka, a ponieważ wszyscy byliśmy tacy brzydzy i bez futra, a nasze dzieci wyglądały jak stonka ziemniaczana, ludzie rozproszyli się, zaczęli zabijać i nosić bardziej przyzwoite okrycia ze zwierząt.

Ha, powiedział Roy. I co?

Później wszystko staje się zbyt skomplikowane, żeby o tym opowiadać. Gdzieś tam są wina i rozwód, i pieniądze, i urząd skarbowy i wszystko to poszło w diabły.

Myślisz, że to wszystko poszło w diabły, kiedy ożeniłeś się z mamą?

Ojciec spojrział na niego i Roy od razu wiedział, że przesadził. Nie, chyba poszło w diabły jakiś czas wcześniej. Ale trudno powiedzieć kiedy.

Byli nowi w tym miejscu, w tym sposobie życia i nowi dla siebie. Roy miał trzynaście lat, latem po siódmej klasie przyjechał od swojej matki z Santa Rosa w Kalifornii, gdzie uczył się gry na puzonie i w piłkę nożną, chodził do kina i do szkoły w centrum. Jego ojciec był dentystą w Fairbanks. Wprowadzali się właśnie do niewielkiej chaty z drewna cedrowego, ze stromym dachem. Była wciśnięta w fiord, niewielką zatoczkę w kształcie palca w południowo-wschodniej części Alaski, niedaleko cieśniny Tlevak, na północny zachód od Wyspy Księża Walii i jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Ketchikan. Dostęp jedynie od wody – hydroplanem albo łodzią. Żadnych sąsiadów.

Bezpośrednio za chatą wznosiła się sześćsetmetrowa góra połączona niskimi dolinami z innymi u wejścia do zatoki i dalej. Wyspa Sukkwan, na której się znajdowali, rozciągała się na kilkanaście kilometrów, ale były to hektary gęstych lasów, żadnej drogi czy szlaku, bogactwo paproci, choin, świerków, cedrów, grzybów i polnych kwiatów, mchów i gnijącego drewna, dom niedźwiedzi, łosi, jeleni, owiec jukońskich, kozłów śnieżnych i rosomaków. Tak jak w Ketchikan, gdzie Roy mieszkał do piątego roku życia, ale bardziej dziko i strasznie teraz, bo zdążył się odzwyczaić.

Kiedy dolatywali, Roy obserwował odbicie żółtego samolotu na tle większego odbicia zielono-czarnej góry i błękitnego nieba. Widział, jak drzewa zbliżają się z obu stron, potem uderzyli w wodę i uniosła się piana. Ojciec wystawił głowę przez boczne okienko, szeroko się uśmiechając, podekscytowany. Przez chwilę Roy miał wrażenie, że przylecieli do ziemi zaczarowanej, miejsca, które nie może istnieć naprawdę.

Później zaczęła się praca. Mieli tyle sprzętu, ile mógł unieść hydroplan. Ojciec pompką nożną napełnił ponton, a Roy pomógł pilotowi obniżyć sześciokonny silnik przez drzwiczki, gdzie zwiślał, dopóki łódź nie napompowała się w pełni. W końcu przymocowali silnik, spuścili kanister z paliwem i kilka dodatkowych i to była pierwsza runda. Ojciec popłynął sam, Roy nerwowo czekał w samolocie, a pilot nie przestawał gadać.

Na górze niedaleko Haines, tam próbowałem.

Nigdy tam nie byłem, powiedział Roy.

No, jak mówiłem, masz swojego łososia i świeżego niedźwiedzia, i wiele rzeczy, których inni nigdy nie będą mieć, ale znowuż ty masz tylko to i żadnych innych ludzi.

Roy nie odpowiedział.

To dziwne po prostu. Większość nie zabiera swoich dzieciaków. I większość przywozi jakieś jedzenie.

Przywieźli jedzenie, przynajmniej na pierwszy tydzień czy dwa, i zapasy, bez których nie chcieli się obywać: mąkę i fasolę, sól i cukier, brązowy cukier do wędzenia. Trochę owoców w puszkach. Ale przede wszystkim mieli jeść z natury. Taki był plan. Świeżego łososia, malmę, małże, kraby i to, co upolują: jelenia, niedźwiedzia, owce, kozły, łosia. Przywieźli dwa karabiny, strzelbę i pistolet.

Będzie dobrze, powiedział pilot.

Jasne, powiedział Roy.

Przylecę od czasu do czasu sprawdzić, co u was.

Kiedy ojciec wrócił, szeroko się uśmiechał i próbował się nie uśmiechać, nie patrząc prosto na Roya, gdy ładowali sprzęt radiowy w wodoodpornej skrzynce, potem broń w wodoodpornych futerałach, sprzęt wędkarski i narzędzia, pierwsze zapasy w puszkach. Następnie Roy znów musiał słuchać pilota, bo ojciec odpłynął zakosami, zostawiając za sobą niewielki ślad, który tuż przy łodzi był biały, ale wygładzał się w ciemne wybrzuszenie, jakby mógł zaburzyć tylko ten niewielki obszar, a na krawędzi powierzchnia chciała połknąć się na powrót w kilka chwil. Woda była przejrzysta, ale nawet tak blisko brzegu na tyle głęboka, że Roy nie widział dna. Najbliżej brzegu jednak, na skraju odbicia, dostrzegał błyszczące kształty gałęzi i kamieni pod powierzchnią.

Ojciec miał na sobie czerwoną myśliwską koszulę flanelową i szare spodnie. Bez czapki, choć było chłodniej, niż Roy się spodziewał. Słońce świeciło ojcu na głowę,

nawet ze sporej odległości lśnić w jego rzadkich włosach. Ojciec mrużył oczy w porannym blasku, ale jeden kącik ust i tak był wygięty w uśmiechu. Roy chciał do niego dołączyć, zejść na brzeg do nowego domu, ale musiał odczekać jeszcze dwie rundy. W workach na śmieci mieli paczki z ubraniami, rzeczy na deszcz, porządne buty, koce, dwie lampy, więcej jedzenia i książki. Roy zabrał pudło tylko ze szkolnymi książkami. Miał przez rok uczyć się w domu: matematyka, angielski, geografia, wiedza o społeczeństwie, historia, gramatyka i przyroda z ósmej klasy, której nie mieli jak przerobić, bo wymagała doświadczeń i bez specjalnego sprzętu się nie obejdzie. Matka pytała o to ojca, ale on nie odpowiedział jednoznacznie. Nagle Roy zatęsknił za matką i siostrą, aż zaszkliły mu się oczy, ale potem zobaczył, jak ojciec odpycha się od kamienistej plaży i wraca, więc zmusił się i przestał.

Kiedy w końcu wgramolił się na ponton i odepchnął od pływaka, uderzyła go rzeczywistość. Nie mieli teraz nic, a kiedy obserwował zataczający ciasny krąg hydroplan, z hukiem startujący i rozbryzgujący pianę, poczuł, jak długi może być czas, jakby mógł powstać z powietrza, wcisnąć się i zatrzymać.

Witaj w naszym nowym domu, powiedział ojciec, położył dłoń na głowie Roya, potem na jego ramieniu.

Samolotu już nie było słychać, kiedy uderzyli o ciemną kamienistą plażę i ojciec Roya wyskoczył na brzeg w swoich woderach, ciągnąc za dziób pontonu. Roy wysiadł i sięgnął po skrzynkę.

Zostaw to teraz, powiedział ojciec. Przymocujmy łódź i chodźmy się rozejrzeć.

Nikt się nie dostanie do skrzynek?

Nie, chodź.

Szli przez wysoką do łydek trawę, jaskrawozieloną w blasku słońca, później w górę ścieżką przez niewielki cedrowy zagajnik, aż do chaty. Była wysmagana deszczem i szara, ale nie bardzo stara, miała spadzisty dach, żeby zsuwał się z niego śnieg. Razem z gankiem stała jakieś dwa metry nad ziemią. Wąskie drzwi i dwa małe okna. Roy patrzył na wystającą rurę i miał nadzieję, że w środku jest kominek.

Ojciec nie zabrał go do chaty, ale obszedł ją wąską ścieżką, która biegła dalej na wzgórze.

Wychodek, powiedział.

Latryna miała wielkość szafy, wchodziło się do niej po schodkach. Mniej niż trzydzieści metrów od domku, ale mieli z niej przecież korzystać w zimnie, w zimowym śniegu. Ojciec szedł dalej.

Tam z góry jest ładny widok, dodał.

Weszli na wzniesienie przez pokrzywy i jagody, ziemia pękała im pod stopami, zdążyła zarosnąć, od kiedy ostatnio po niej stąpano. Ojciec przyjechał tu cztery miesiące wcześniej, żeby zobaczyć chatę przed kupnem. Potem przekonał Roya i matkę Roya, i szkołę. Sprzedał gabinet i dom, zaplanował i kupił ekwipunek.

Szczyt pagórka był tak zarośnięty, że Roy okazał się za niski, żeby dobrze widzieć na wszystkie strony, ale dostrzegł zatoczkę niczym lśniący ząb wystający ze wzburzonej wody i połączenie z kolejną odległą wyspą albo z brzegiem, i horyzont, jasne, przejrzyste powietrze, odległości trudne do określenia. Widział szczyt dachu chaty niedaleko pod nimi, a wokół zatoczki trawy i płaski teren ciągnący się nie więcej niż na trzydzieści metrów w każdą stronę. Szczyt stromej góry za nimi zniknął w chmurach.

Całe kilometry dokoła nikogo, powiedział ojciec. Z tego, co wiem, najbliżsi sąsiedzi mieszkają jakieś trzydzieści kilometrów stąd, niewielkie skupisko trzech domków w podobnej zatoczce. Ale to na innej wyspie, teraz nie pamiętam, na której.

Roy nie wiedział, co powiedzieć, więc nic nie powiedział. Nie miał pojęcia, jak to w ogóle będzie.

Zeszli później z powrotem do chaty, wśród słodko-gorzkiego zapachu jednej z roślin – zapachu, który przypomniał Royowi dzieciństwo w Ketchikan. W Kalifornii przez cały czas myślał o Ketchikan i lesie deszczowym i w wyobraźni – oraz gdy chwalił się kolegom – stworzył sobie obraz dzikiego i tajemniczego miejsca. Ale gdy się w nim na powrót znalazł, powietrze było zimne, rośliny zaś bujne, ale były tylko rośliny, więc zastanawiał się, jak będą spędzali czas. Wszystko było intensywnie sobą i niczym innym.

Zatupali butami na ganku. Ojciec otworzył zamek i szeroko rozwarł drzwi, wpuszczając Roya przed sobą. Kiedy Roy wszedł do środka, najpierw poczuł zapach cedru i wilgoci, i brudu, i dymu i dopiero po kilku minutach jego wzrok przyzwyczał się na tyle, żeby Roy mógł zobaczyć coś więcej niż okna – zaczął dostrzegać belki i to, jak wysoki jest sufit, i surowe z pozoru deski na ścianach i podłodze, z dziurami od sęków, ale mimo to gładkie.

Wszystko zdaje się nowe, powiedział Roy.

To solidna chata, powiedział ojciec. Przez te ściany wiatr nie przeniknie. Będzie nam dobrze, jeśli tylko będziemy mieli drewno na opał. Mamy całe lato, żeby przygotować takie rzeczy. Odłożymy też suszonego i wędzonego łososia, zrobimy dżemy i soloną dziczyznę. Nie uwierzysz, co będziemy tutaj robić.

Dzień zaczęli od wysprzątania chaty. Zamiatali, ścierali kurze, potem ojciec zabrał Roya z wiadrem ścieżką na dół, gdzie do zatoki wpadał niewielki strumień. Wrzynał się głęboko w niewielką łąkę, zakręcał trzy czy cztery razy w trawie, potem wypływał przez żwir, znosząc niewielki wachlarz lżejszego piasku, ziemi i resztek do słonej wody. Na jego powierzchni pływały pluskwiaki, latały nad nim komary.

Pora na płyn przeciw insektom, powiedział ojciec.

One są wszędzie, powiedział Roy.

Tyle świeżej wody, ile tylko zechcemy, powiedział z dumą ojciec, jakby sam odkrył źródło. Będziemy mieli zapas.

Opryskali płynem twarze, nadgarstki i karki, następnie zabrali się do mycia całej chaty środkiem dezynfekującym i wodą, żeby pozbyć się pleśni. Osuszyli szmatami i zaczęli wnosić sprzęt.

W chacie był frontowy pokój z oknami i piecem oraz tylny, czy raczej boczny pokój bez okien, z dużą szafą.

Tutaj będziemy spać, powiedział ojciec, w dużym pokoju przy ogniu. Do drugiego włożymy rzeczy.

Zanieśli więc ekwipunek i włożyli go do szafy – rzeczy najcenniejsze i te, które musiały pozostać suche. Rozpakowali zapasy, ustawili puszkę pod ścianą, suchy prowiant w workach na środku, ubrania i pościel pod drzwiami. W końcu poszli zbierać drewno.

Potrzebujemy suchego, powiedział ojciec Roya. Ale żadne nie będzie suche, więc może powinniśmy raczej zabrać trochę do środka, a potem zacząć budować jakąś

osłonę przy tylnej ścianie chaty.

Przywieźli ze sobą narzędzia, ale Roy miał wrażenie, że ojciec część rzeczy odkrywa teraz, na bieżąco. Myśl o tym, że ojciec nie przewidział wcześniej konieczności zrobienia zapasu suchego drewna, przestraszyła Roya.

Przynieśli stos pokręconych gałęzi, położyli je niedaleko pieca, później poszli za chatę i odkryli kawałek ściany, który wystawał, tworząc coś w rodzaju schowka, i przeznaczony był właśnie na drewno.

Cóż, powiedział ojciec, o tym nie wiedziałem. Ale to dobrze. I tak potrzebujemy więcej. To wystarczyłoby na krótką wakacyjną wycieczkę albo weekend na polowaniu. Potrzebujemy drewna wzdłuż całej tej ściany. Roy zaczął się zastanawiać: deski, drewno, gwoździe. Nigdzie nie widział tarcicy.

Potrzebujemy gontów, powiedział ojciec. Stali obok siebie, z założonymi rękami, i wpatrywali się w ścianę. Wokół bzycały komary. Tutaj, w cieniu, było zimno, choć słońce stało wysoko. Chyba nawet rozmawiali o jakichś kłopotach, w które wpadł Roy, tak bardzo byli oderwani od tego, na co patrzyli.

Możemy podeprzeć słupkami albo drągami z młodych drzewek, albo czymś innym, powiedział ojciec. Ale potrzebujemy daszku, i to długiego, bo deszcz albo śnieg mogą zacinać.

To wydawało się niemożliwe. Royowi wszystko to wydawało się niemożliwe, obaj byli koszmarnie nieprzygotowani. Są tu gdzieś jakieś stare deski? – zapytał.

Sam nie wiem, odparł ojciec. Może pójdziesz poszukać koło wychodka, a ja się rozejrzę tutaj.

Roy czuł, że to rodzaj łapania równowagi. Żaden z nich nie wiedział, co robić, obaj musieli się tego nauczyć. Przeszedł krótki odcinek do wychodka, po drodze widział rośliny już zdeptane ich krokami. Wydepczą ścieżki we wszystkim, wszędzie, dokąd pójdą. Okrążył latrynę i nastąpił na niewielką deskę, całą zarośniętą. Wyciągnął ją, zdrapał z wierzchu trawę i larwy i zobaczył, że jest zgniła. Rozwalił ją w dłoniach. W wychodku znalazł rolkę papieru toaletowego rozmiękłą na brzegach i deskę sedesową przytwierdzoną gwoździami do drewnianej ławki. Śmierdziało inaczej niż w przenośnych toaletach, ani nie chemikaliami, ani nie rozgrzanym plastikiem. Śmierdziało starym gównem i starym drewnem, i wilgocią, i starym moczem, i dymem. Było ponuro i mokro, a w rogach wisiały pajęczyny. Zobaczył dwie deski upchnięte pod tylną ścianą, długie na jakieś sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt centymetrów, ale nie chciał ich podnosić, bo niezbyt dobrze widział w półmroku i nie wiedział, do czego ich używano i czy nie siedzą na nich czarne wdowy. Jedna z córek sąsiadów ojca w Fairbanks została pokąsana przez całą rodzinę czarnych wdów, kiedy włożyła stopę do starego buta leżącego na strychu. Wszystkie ją ugryzły, sześć czy siedem, jednak nie umarła. Chorowała przez miesiąc. Ale może to tylko taka historyjka. Roy nagle poczuł, że musi wyjść. Szybko odskoczył, puścił drzwi na sprężynach, które zamknęły się z hukiem, i wytarł dłonie o dzinsy, wycofując się.

Znalazłeś tam coś? – zawołał ojciec.

Nie, odskrzyknął Roy, skręcając z powrotem do chaty. Tylko jakieś dwie małe deski, ale nie jestem pewien, do czego służą.

Jak tam wychodek? – zapytał rozradowany ojciec, kiedy Roy do niego wrócił. Będzie z tego coś ciekawego? Wielka impreza?

Nie ma mowy. Dostaję tam gęziej skórki.

Poczekaj, aż będziesz musiał zwiesić tyłek nad pustką.

Jezu, mruknał Roy.

Znalazłem kilka desek pod chatą, powiedział ojciec. W średnim stanie, ale dadzą się wykorzystać. Choć i tak wygląda na to, że kilka będziemy musieli zrobić. Robiłeś kiedyś deski?

Nie.

Słyszałem, że się da.

Świetnie. Widział szeroki uśmiech ojca.

Pierwsza lekcja nauczania domowego, mówił ojciec. Robienie desek dla początkujących.

Pocięli więc to, co mieli, i poszli szukać w lesie podpórek, pnia albo drzewa dość dużego i świeżego, by z niego zrobić deski. Las był dość ciemny i bardzo cichy, z wyjątkiem odgłosów kapania wody i dźwięków ich ciężkich butów, i oddechu. W koronach wiał lekki wiatr, ale nie cały czas. U podnóża drzew i na ich korzeniach rósł gęsty mech, a dziwne kwiaty, które teraz Roy przypominał sobie z Ketchikan, pojawiały się nagle w niespodziewanych miejscach, za drzewami i pod paprociami, a potem w samym środku niewielkiej ścieżki dla zwierzyny, czerwone i ciemnofioletowe, z łodygami grubymi jak korzenie, jakby woskowanymi. Wszędzie połamane drzewa, ale wszystko spróchniałe, rozpadające się ciemną czerwienią i brązem pod dotknięciem. Przypominał sobie o pokrzywach w samą porę, żeby nie dotykać ich włosków jak jedwab, i przypominał sobie, co to jest huba na drzewie, ale to słowo teraz zdawało się dziwne. Przypominał sobie, jak zrzucali huby kamieniami i zabierali do domu, by ryć w ich gładkich białych licach. A najlepiej pamiętał nieustanne poczucie bycia obserwowanym.

Na tej pierwszej wycieczce trzymał się blisko ojca. Denerwowało go, że nie zabrali ze sobą broni. Szukał śladów niedźwiedzia, miał nawet nań nadzieję. Musiał nieustannie sobie przypominać, że powinien wypatrywać drewna.

Będziemy musieli ściąć świeże, powiedział ojciec. Wszystko, co leży, jest już zmurzałe. Zbyt szybko zaczyna gnić. Coś ci się przypomina? Pamiętasz Ketchikan?

Taa.

Tutaj jest inaczej niż w Fairbanks. Wszystko czujesz inaczej. Chyba zbyt długo przebywałem w niewłaściwym miejscu. Zapomniałem, jak bardzo lubię być nad wodą, jak bardzo lubię góry podchodzące tak blisko jak tu i zapach lasu. Fairbanks jest całe suche, a góry to tylko wzgórza, drzewa niczym się od siebie nie różnią. Same brzozy papierowe i świerki, niewiele więcej, i tak bez końca. Wyglądałem przez okno i marzyłem o widoku jakiegoś innego drzewa. Nie wiem, dlaczego od lat nigdzie nie czułem się jak w domu, nie czułem się częścią żadnego miejsca. Czegoś mi brakowało, ale mam wrażenie, że bycie z tobą tutaj to wszystko zmieni. Wiesz, o co mi chodzi?

Ojciec spojrział na niego, ale Roy nie miał pojęcia, jak prowadzić taką rozmowę. Taa, odparł, choć wcale nie wiedział. Nie rozumiał, o czym mówi ojciec i dlaczego w ogóle tak gada. A jeśli sprawy nie ułożą się tak, jak ojciec twierdził, że się ułożą? Co wtedy?

Wszystko w porządku? – zapytał ojciec i złapał go za ramiona. Damy sobie tutaj radę. W porządku? Tak tylko gadam. W porządku?

Roy skinął głową i uwolnił się z uścisku ojca, by dalej szukać drewna.

Przynieśli to, co znaleźli, do chaty, ale widać było wyraźnie, że niewiele z tego będzie, więc ojciec wziął siekierę, potem spojrzął w niebo i zmienił zdanie. Wiesz, już popołudnie, robi się późno, a musimy coś zjeść i rozłożyć pośłania i wszystko. To musi poczekać.

Wzięli więc trochę suchego drewna, które leżało w małym schowku za chatą, gdzie jak odkryli, można się było dostać od środka, i użyli tego zapasu, żeby rozpalić ogień w piecu.

To będzie też nasze ogrzewanie, powiedział ojciec. Będzie nam tu ciepło, a jeśli zamkniemy wszystkie wywietrzniki, możemy zostawiać mały ogień na noc.

Będzie nam to potrzebne, powiedział Roy.

Wiedział jednak, że tutaj nie będzie tak jak w Fairbanks. Temperatury jednocyfrowe i poniżej zera powinny się zdarzać rzadko. Ojciec to właśnie obiecywał. Siedział w ich salonie, opierając łokcie na kolanach, i podkreślał, jak bezpieczne i proste będzie to wszystko. Matka zauważyła wtedy, że przewidywania ojca rzadko się sprawdzają. Kiedy zaprotestował, przypomniała łódź rybacką, sklep z artykułami żelaznymi i kilka gabinetów dentystycznych. Nie wspomniała żadnego z jego małżeństw, ale to także było jasne. Ojciec zignorował jej komentarze i odparł, że przez większość czasu będzie powyżej zera.

Kiedy rozpalili ogień, Roy poszedł do drugiego pokoju po puszki z chili, a ojciec poprosił również o chleb, z którego zrobią grzanki na wierzch. W chacie panował półmrok, choć wciąż było dopiero popołudnie, a prawdziwa ciemność miała zapaść bardzo późno wieczorem. Pamiętał te wszystkie wieczory, kiedy jako dziecko musiał chodzić do łóżka, mimo że wciąż było jasno. Nie miał pewności, jakie teraz obowiązują zasady, ale wyglądało na to, że te dawne – o zadaniach domowych i chodzeniu spać – zostały zniesione. Nigdy nie będzie zajęty i nigdy nie będzie musiał wstawać do szkoły. No i będzie widywał wyłącznie ojca.

Zjedli chili na ganku, machając obutymi stopami. Wokół ganku nie było poręczy. Obserwowali spokojną zatoczkę i od czasu do czasu skaczące małmy. Łososie jeszcze nie skakały, na nie pora przychodzi dopiero późnym latem.

Przypomnij mi, kiedy jest sezon na łososie?

Głównie w lipcu i w sierpniu, zależy od gatunku. Pierwsze różowe mogą pojawić się w czerwcu.

Zjedli, ale zostali na ganku i nie mówili już nic więcej. Słońce nie zaszło, tylko długo wisało nisko nad horyzontem. Z krzaków dokoła wylatywały niewielkie ptaki, chowały się i znów wylatywały, potem z tyłu zleciał w dół bielik; od jego białej głowy odbijało się złote słońce, pióra miały kolor matowego brązu. Dotarł na koniec cypla i wylądował na czubku świerka.

Tego nie widuje się wszędzie, powiedział ojciec.

No nie.

W końcu słońce zaczęło opadać i poszli do chaty rozłożyć śpiwory na karimatach na podłodze frontowego pokoju. Roy widział czerwone niebo przez wąskie okno, kiedy rozbierali się w ciemności. Później leżeli w śpiworach, żaden nie spał. Sufit zasklepił się nad Royem, podłoga pod nim stwardniała, błędził gdzieś myślami, aż w końcu odpłynął, ale wrócił, bo zdał sobie sprawę, że ojciec cicho szlocha, mimo że dźwięk był stłumiony i ukrywany. W tak małym pomieszczeniu Royowi trudno było udawać, że

nie słyszy, ale i tak udawał, leżąc z otwartymi oczami chyba kolejną godzinę, i choć ojciec wciąż płakał, to w końcu Roy poczuł zbyt wielkie zmęczenie. Przestał cokolwiek słyszeć i zasnął.

Rankiem ojciec smażył placki i cicho nucił *King of the Road*. Usłyszał, że Roy się obudził, i spojrzał na niego z szerokim uśmiechem. Uniósł pytająco brwi.

Placki i grzybowa? – zapytał.

Taa, odparł Roy. Brzmi dobrze. Jakby po prostu byli na kempingu.

Ojciec podał mu duży talerz placków polany kremową zupą grzybową i widelec. Roy odstawił go na moment, włożył dżinsy, buty i kurtkę i razem wyszli na ganek, żeby zjeść.

Był już późny poranek, w zatoczce pojawił się wiatr i tworzył na wodzie niewielkie zmarszczki. Powierzchnia zrobiła się matowa.

Dobrze spałeś? – zapytał ojciec.

Roy na niego nie spojrzał. Ojciec chciał zapewne wiedzieć, czy Roy słyszał, jak on płacze, ale tak naprawdę zadał przecież zwyczajne pytanie. A Roy przecież udawał, że śpi, więc odparł:

Taa, spałem w porządku.

Pierwsza noc w naszym nowym domu, powiedział ojciec.

Taa.

Tęsknisz za matką i Tracy?

Taa.

Cóż, pewnie jeszcze trochę tęsknisz, dopóki się tutaj nie urządzimy.

Roy nie wierzył, że może urządzić się tu na tyle, by nie tęsknić za matką i siostrą. No i co jakiś czas mieli stąd wyjeżdżać. Taka była kolejna z obietnic ojca. Co dwa albo trzy miesiące mieli wyjeżdżać, w Boże Narodzenie na dwa tygodnie. Wzięli też krótkofalówkę. Mogli przekazywać wiadomości, jeśli będzie potrzeba, a także je odbierać.

Przez jakiś czas jedli w milczeniu. Placki okazały się trochę spalone, a jeden, trochę za gruby, miał w środku zakalec, ale zupa krem była smaczna. Jeszcze panował chłód, słońce zaczynało już jednak świecić mocniej. Jak w *Domku na prerii* czy coś, siedzieli na ganku bez poręczy, machając nogami, a wokół przez wiele kilometrów nikogo. A może nie tak, bardziej jak poszukiwacze złota. Jakby przenieśli się do innej epoki.

To mi się podoba, powiedział Roy. Chciałbym, żeby przez cały rok było tak słonecznie i ciepło.

Ojciec uśmiechnął się szeroko. Przynajmniej dwa albo trzy miesiące. Ale masz rację. To jest życie.

Zaczynamy łowić?

Właśnie o tym myślałem. Powinniśmy zacząć dzisiaj wieczorem, jak już popracujemy trochę przy daszku na drewno. I zbudujemy tam też małą wędzarnię.

Włożyli naczynia do niewielkiego zlewu i Roy poszedł do wychodka. Stopą przytrzymał otwarte drzwi i tak dokładnie, jak się dało, obejrzał okolice deski, ale w końcu musiał po prostu usiąść i uwierzyć, że nic nie będzie próbowało go ugryźć.

Kiedy wrócił, ojciec wziął siekiere, piłę i poszli szukać drzew na deski. Szli przez las i przyglądali się pniom, ale rosły tam głównie choiny kanadyjskie o pniach nie

grubszych niż dziesięć, piętnaście centymetrów. Im głębiej, tym drzewa kurczyły się jeszcze bardziej, więc zawrócili i zeszli wzdłuż brzegu na cypel, gdzie rośło większe skupisko świerków. Ojciec zaczął uderzać u podstawy drzewa rosnącego w głębi cypla.

Nie chcę psuć nam widoku, powiedziała. Royowi przyszło do głowy, że ścinanie drzew może być nielegalne, bo znajdowali się w czymś w rodzaju parku narodowego, ale się nie odzywał. Ojciec nie pierwszy raz ignorował prawo, kiedy chodziło o myślistwo, łowienie ryb i obozowanie. Kiedyś na przykład zabrał Roya na polowanie w podmiejskim Santa Rosa w Kalifornii. Mieli tylko śrutówkę i zamierzali polować na gołębie albo przepiórki na terenie przyległym do drogi znajdującej się raczej na uboczu. Kiedy pojawił się właściciel, nic nie powiedział, tylko patrzył, jak wracają do samochodu i odjeżdżają.

Roy przejął siekiere; czuł w rękach każde uderzenie i przyglądał się, jak bardzo białe są drzazgi odlatujące od pnia.

Uważaj, jak upadnie, powiedział ojciec. Zastanów się, gdzie jest środek ciężkości.

Roy przestał uderzać i przyjrzał się drzewu, potem je obszedł, zadał dwa ostatnie ciosy z boku i drzewo upadło w przeciwną do nich stronę, rozdzierając gałęzie i liście, aż inne drzewa z wrażenia zatrzęsyły się niczym tłum gapiów obserwujących jakąś przerażającą scenę, wszystkie rozdygotane i zaskoczone, a potem zapadła niezręczna cisza.

Cóż, powiedział ojciec, to powinno wystarczyć przynajmniej na kilka desek.

Oderwali gałęzie i ułożyli z nich stos, żeby później użyć części do rozpałki i – pomyślał Roy – może do zrobienia łuku i strzał. Złapali za pień z dwóch końców, chcąc go zanieść do chaty, ale okazał się dużo cięższy, niż się spodziewali, więc przepiłowali go na kawałki długości około sześćdziesięciu centymetrów, i dwa dłuższe na dłuższe deski, szczególnie na boki wędzarni. Zanieśli drewno do chaty, stanęli i gapiłi się na nie.

Nie mamy odpowiednich narzędzi.

Nie, powiedział Roy. Będziemy musieli użyć siekiery, piły czy czegoś. Czego zwykle używa się do robienia desek?

Nie wiem. Jakiegoś narzędzia, którego nie mamy. Może spróbujemy postawić je pionowo i piłować.

Spróbowali tak z jednym kłocem: postawili go, umieścili piłę w poprzek jakieś dwa centymetry od krawędzi i powoli piłowali, próbując robić to prosto.

Te kawałki będą różnych rozmiarów, powiedział Roy.

Uhm.

Okazało się, że to zajmuje dużo czasu, sprawdza się średnio i jest zadaniem raczej dla jednej osoby, ponieważ mieli tylko jedną piłę, Roy poszedł więc po ekwipunek wędkarski i złożył na ganku obie wędki. Do każdej założył błystkę, niecały metr nad nimi – haczyki, po czym wrócił za chatę. Ojciec wciąż pracował nad pierwszą deską.

Nie podniósł wzroku, tylko piłował dalej. Z jego ust unosiły się w zimnym powietrzu obłoczki pary, a twarz wyglądała na wychudłą jak u ptaka: małe, zapadnięte oczy, wąskie wargi, nos, który teraz zdawał się niemal haczykowaty, i lekka grzywka, która przypominała zmierzwione piórka.

Przygotowałem wędki, powiedział Roy.

Złap coś dużego, odparł ojciec i na moment podniósł wzrok. I przygotuj swoją

piłującą rękę. Teraz widzę, że ta robota zajmie nam ze cztery miesiące.

Roy się uśmiechnął. Dobra. Niedługo wrócę.

Na cyplu wiało mocniej. Roy stanął na krawędzi, gdzie fale miały do pół metra i uderzały o brzeg, widział ich białe grzywy. Nie zdawał sobie sprawy, jak dobrze osłonięta jest ich mała zatoka. Przez kilka minut chodził brzegiem w tę i z powrotem, patrząc na wypolerowane białe kamienie i na linię drzew rosnących wyżej, w kryzie trawy, ziemi i korzeni, które upstrzyły brzeg wszędzie i wszędzie były na wierzchu. Roy nie wiedział, jak ziemia się tam utrzymuje, ale przyjrzał się i dostrzegł, że to głównie mech i korzenie. Pomyślał o niedźwiedziach, rozejrzał się i nie zauważył ich śladu, ale wrócił na cypel, w zasięg widoku z chaty, i zarzucił błystkę w wejściu do zatoczki, żeby złapać wpadającego tu lub wyslizgującego się stąd łososia.

Nie widział ani swojej przynęty, ani żadnej ryby, ale przypomniał sobie zatoki wokół Ketchikan, jak stał na rufie łodzi ojca i widział ryby wszędzie pod sobą. Za kilka miesięcy tutaj będzie podobnie, ale miał nadzieję, że już dzisiaj uda mu się coś złowić.

Kiedy ryba wzięła, okazało się, że to niewielka malma z białym brzuchem. Z łatwością wyciągnął ją na gładkie kamienie, gdzie łapała powietrze i krwawiła. Wyjął haczyk, walnął ją w głowę i zdechła. Minęło już trochę czasu, odkąd złapał jakąś rybę, prawie rok. Schylił się, by na nią spojrzeć i zobaczyć, jak bledną jej kolory.

Z ikry powstałaś na takich kamieniach i do tych kamieni powrócisz, powiedział i uśmiechnął się zadowolony. I stałaś się obiadem.

Zastonił rybę kamieniami, żeby nie zwabić orła, i pomyślał o swojej ostatniej lekcji angielskiego, o sztukach, które wystawiali, i o tym, że w tym roku to wszystko się nie wydarzy. Nie miał tu też przyjaciół, nie było dziewczyn.

Kiedy raz po raz zarzucał wędkę w wody zatoki, myślał o dziewczynach ze szkoły i o jednej konkretnej, i o tym, jak ją całował w drodze do domu. Dostał od tego myślenia erekcji, spojrzął w stronę chaty, wciągnął żyłkę i wrócił między drzewa. Oparł się o jedno z nich, rozpiął spodnie i masturbował się, wyobrażając sobie, jak ją całuje, i doszedł. Nauczył się masturbować niecały rok wcześniej i robił to zwykle trzy, cztery razy dziennie, ale od przyjazdu tutaj nie miał jak, bo ojciec zawsze był obok.

Usiadł pod innym drzewem i poczuł się samotny, i myślał o wszystkich okazjach, które stracił.

Potem z nudów znowu zarzucił wędkę, złapał następną rybę tej samej wielkości i wrócił do ojca. Było już późniejsze popołudnie, światło mocniejsze, a widok na górę, kiedy wracał, piękny.

Ojciec wciąż piłował.

No jesteś, powiedział. Ej, widzę kolację. Malmy? Obie?

Taa.

Świetnie. I zaczął śpiewać coś przypominającego szantę. Hej, przyplłynęła malma, hej, chwycił za swój kij. Hej, złapał dwie i trzy, a potem w łeb je bił.

Uśmiechnął się, zadowolony z siebie. Lepsze niż radio?

Zdecydowanie, odparł Roy. Ten ojciec, którego tu widział, był jakiś dziwny. Mogę je usmażyć, a ty skończysz. Jak ci idzie?

Ojciec wskazał na stos. Mam tu dziesięć czy piętnaście doskonałych gontów, powiedziałbym. Wszystkie sprawdzone. Na tym ranczu dbamy o jakość.

Ranczo, powtórzył Roy. Raczej mały areał.

Stada pasą się głębiej na wyspie.

Taa, powiedział Roy. Zrobię kolację.

Oczyścił ryby nad brzegiem i patrzył, jak flaki znikają pod wodą, zaczepiają się na kamiennych schodkach i pływają w tę i z powrotem unoszone przez małe fale. Wyglądały jak kosmici. Jeden miał coś jakby oczy.

Roy rozpalił w piecu, wrzucił ryby na patelnię z masłem i pieprzem i wrócił na ganek, czując się jak pionier, czując się tak dobrze, że przeszedł na tył chaty do ojca, obserwował go i rozmawiał z nim, aż uznał, że płyta jest dość gorąca, przegrzebał więc węgle i usmażył rybę.

Zjedli malmy na ganku, z chlebem na zakwasie i sałatą z dressingiem.

Naciesz się sałatą, powiedział ojciec. Nie przetrwa dłużej niż tydzień, później będziemy skazani na konserwy.

Posadzimy coś?

Moglibyśmy, powiedział ojciec. Ale będziemy potrzebować nasion. Nie pomyślałem o tym. Poprosimy Toma, żeby przywiózł trochę następnym razem, jak przyłeci.

Zamówisz przez radio?

Ojciec skinął głową. I tak musimy je wypróbować. Wieczór to najlepsza pora, może więc rozstawimy sprzęt po kolacji.

Patrzyli, jak słońce się obniża. Działo się to powoli, nawet nie dostrzegli, że zaszło, ale widzieli zmieniający się odbłask na wodzie i na drzewach, cień za każdym liściem i zmarszczki w bocznym świetle, które czyniło świat trójwymiarowym, jakby oglądali drzewa przez celownik.

Wstawili talerze do zlewu i przynieśli sprzęt radiowy do dużego pokoju, ustawili go w rogu. Ojciec podłączył odbiornik do dwóch dużych akumulatorów i przypomniał sobie o antenie.

Musimy umieścić ją na dachu, powiedział. Wyszli więc, rozejrzeli się, uznali, że to zbyt skomplikowana robota, i postanowili poczekać do następnego dnia.

W nocy ojciec znów szlochał. Mówił do siebie urywanymi szeptami, które kiedy płakał, brzmiały jak zawodzenie, dlatego Roy nie rozumiał, co ojciec mamrocze, ani nie wyobrażał sobie, czym jest jego ból i skąd się bierze. Rzeczy, które ojciec mówił do siebie, sprawiały tylko, że szlochał jeszcze gwałtowniej, jakby sam się nakręcał. Robiło się ciszej, po chwili znów sobie coś powtarzał i jęczał, i znowu szlochał. Roy nie chciał tego słuchać. Bał się i czuł niemoc, i nie miał jak się do tego przyznać, ani teraz, ani w ciągu dnia. Nie mógł zasnąć, dopóki ojciec nie przestał i także nie odpłynął.

Rano Roy przypomniał sobie ten płacz i pomyślał, że właśnie tego nie powinien robić. Ojciec założył bowiem, że mógł słyszeć go w nocy, w dzień jednak nie tylko ma zapominać, ale nawet uznawać, że nic się nie wydarzyło. Zaczął bać się wspólnych nocy, choć przeżył na razie tylko dwie.

Rankiem ojciec znów był radosny, smażył jajka i ziemniaki, i bekon. Roy udawał, że jest bardziej śpiący, niż był w rzeczywistości, i że trudno mu się wstaje, bo chciał trochę pomyśleć i nie czuł się jeszcze gotowy dołączyć do radości i zapomnienia.

Jednak zapach jedzenia zmusił go w końcu do wstania. Zapytał: To co, zajmujemy się dzisiaj radiem?

Pewnie, szopą na drewno i wędzarnią, i może zbudujemy jakiś mały letni domek? Roy się zaśmiał. To prawda, sporo rzeczy do zrobienia.

Więcej niż ikry w łososiu.

Znowu zjedli na ganku, a Roy pomyślał, że gdy pogoda się pogorszy, zrobi się dużo trudniej, bo będą musieli jeść w ciasnym pomieszczeniu. Ten ranek co prawda okazał się pochmurny, ale wystarczyło włożyć bluzę. Pamiętał, że w Ketchikan przez większość czasu było właśnie tak szaro albo mżyło. Lubił to, jak wtedy wyglądała woda, jak stawała się stopioną szarością, a morze robiło się cięższe i nieprzeniknione i wyłaniały się z niego łososie i halibuty.

Po śniadaniu zabrali się do instalowania anteny, ale nie udało im się znaleźć sposobu, by wejść na dach. Nie mieli drabiny, na krawędzi nie było czego się chwycić, żadnej poręczy ani rantu, żeby móc się oprzeć. Ojciec odszedł od chaty i kilka razy ją okrążył.

Cóż, powiedział, bez drabiny raczej się tam nie wespniemy. A nawet gdybyśmy ją mieli, to nie wiem, jak wysoko udałoby nam się wejść.

Przyczepili więc antenę wzdłuż krawędzi dachu. Okazało się, że antena to właściwie tylko długi kabel na szpuli, więc takie rozwiązanie powinno wystarczyć. Kiedy jednak ojciec rozstawił radio i spróbował coś odebrać, nic nie słyszeli wyraźnie. Tylko trzaski i stuki, i dziwne zdeformowane dźwięki, które Royowi przypominały stare filmy science fiction w czarno-białym telewizorze, *Ultramana* i *Flasha Gordona*. A to miał być ich jedyny kontakt ze światem.

Uda nam się z kimkolwiek połączyć? – zapytał Roy.

Pracuję nad tym, odparł zniecierpliwiony ojciec. Przytrzymaj to przez chwilę.

To raczej nic nie daje, zauważył Roy po kilku kolejnych minutach trzasków.

Ojciec odwrócił się i spojrzał na niego z zaciśniętymi ustami. Idź przez moment porobić coś innego, dobrze? Możesz na przykład piłować deski.

Roy poszedł na tył chaty, spojrzał na gonty i zaczął piłować, ale nie miał nastroju, znalazł więc coś w rodzaju kolanka na jednej z większych gałęzi, wyrastającego z niej pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Odpiłował jakieś dwadzieścia centymetrów z obu końców i zaczął scyzorykiem okorowywać gałąź, żeby zrobić kijek do rzucania. Zastanawiał się, czy są tu jakieś króliki albo wiewiórki. Nie pamiętał. Zrobi też włócznię na ryby i łuk, i strzały, i procę.

Pracował nad oszczepem, spłaszczając boki i zaokrąglając koniec, aż przyszedł ojciec i powiedział: Nie mogę uruchomić tego cholerstwa. Zobaczysz, co robi Roy, i urwał. Co to jest?

Robię sobie oszczep.

Oszczep? Ojciec odwrócił się plecami, a następnie znów przodem do Roya. No dobra. W porządku. Nieważne. Słuchaj, mam już trochę dosyć, a chodziło o to, żeby się zrelaksować i znaleźć inny sposób na życie, więc okej. Zostawmy tę robotę i zrobmy sobie przerwę.

Spojrzał na Roya, który nie był pewien, czy ojciec w ogóle mówi do niego.

Może się przejdziemy? – zapytał. Weź swoją strzelbę i naboje. Rozejrzymy się dzisiaj.

Roy nic nie powiedział, bo cały ten układ wydawał mu się niezbyt pewny. Wątpił, czy za kilka minut nie pojawi się przypadkiem inny plan. Ale ojciec wszedł do chaty, a Roy, ruszywszy za nim, zobaczył, że wyjmuje broń z pokrowca, zrobił więc to samo,

wsadził kilka naboju do kieszeni, włożył kurtkę i czapkę.

Weź też manierkę, powiedział ojciec.

Kiedy ruszali, nie było jeszcze południa. Weszli do lasu i szli w górę ścieżką wydeptaną przez zwierzęta, potem w dół po nierównościach, aż doszli do świerkowo-cedrowego zagajnika u podnóża góry. Ścieżka, którą szli, urwała się i znaleźli się na zakrzewionej polanie, na której rosły jagody i inne niskie rośliny. Ostrożnie stawiali kroki. Ziemia pod nimi była nierówna, gąbczasta i pełna dziur. Znowu minęli choiny i zatrzymali się, żeby spojrzeć na zatokę. Zmęczeni się, weszli już przynajmniej sto pięćdziesiąt metrów powyżej chaty, a góra przed nimi była tak wysoka, że nie widzieli jej szczytu, tylko zagięcie zbocza. Domek poniżej wydawał się bardzo mały i nierealny.

Inne wyspy, powiedział ojciec. Stąd dużo lepiej je widać.

A gdzie jest kontynent?

Daleko za nami, za Wyspą Księcia Walii i innymi wyspami, tak mi się zdaje. Na wschodzie. To, co raczej rzadko będziemy oglądać, to wschód słońca. Jesteśmy w cieniu aż do wczesnego przedpołudnia.

Postali tam jeszcze jakiś czas, rozglądając się, po czym zabrali strzelby i zaczęli dalej się wspinać. Butami i rękami miażdżyli drobne polne kwiaty, mech i jagody, które jeszcze nie owocowały, i różne trawy. Roy nie dostrzegał wokół żadnych zwierząt, ale potem zobaczył na skale wiewiórkę ziemną.

Poczekaj, tato, powiedział i ojciec się odwrócił. Roy odchylił się i rzucił oszczepem. Oszczep minął wiewiórkę o jakieś trzy metry, odbił się kilka razy i zatrzymał z piętnaście metrów niżej na zboczu.

O rany, powiedział Roy, zostawił strzelbę, poszedł po oszczep i wrócił.

To chyba przez jakiś czas raczej nie zagwarantuje nam obiadu, powiedział ojciec.

Wspinając się, zaczęli słyszeć silniejszy wiatr, minęło ich też kilka małych ptaków. Wciąż nie było żadnego szlaku.

Dokąd idziemy? – zapytał Roy.

Ojciec jeszcze chwilę szedł, aż w końcu odparł: Chyba po prostu na górę, żeby się rozejrzeć.

Wyżej jednak trafili na linię chmur. Zatrzymali się i spojrzeli w dół. Wszystko było zachmurzone, żadnego jasnego światła, niżej przynajmniej nie wisiały mgła i chmury i było cieplej. Tutaj, na krawędzi, wielkie wachlarze chmur sięgały w dół i wiatr zdmuchiwał je dalej. Wyżej zaś było tylko kilka niewyraźnych konturów i wszystko nieprzejryste. Wiatr okazał się tu silniejszy, powietrze zaś wilgotne i dużo zimniejsze.

Cóż, powiedział ojciec.

No nie wiem, powiedział Roy.

Szli jednak wyżej w chmury i zimno, ale wciąż nie było szlaku. W niewyraźnych kształtach po drodze Roy widział niedźwiedzia i wilka, i wilkołaka. Chmura zamknęła ojca i syna w ich własnych dźwiękach, tak że Roy słyszał swój oddech i puls bijący w skroniach, jakby znalazł się poza ciałem. To także zwiększało wrażenie, że jest obserwowany, wręcz ścigany. Kroki idącego z przodu ojca rozbrzmiewały niemal hukiem. Strach ścisnął go tak mocno, że zaczął łapać oddech nerwowymi sapnięciami, ale nie potrafił poprosić, by zawrócili.

Ojciec szedł dalej i ani razu się nie odwrócił. Wspięli się ponad linię drzew i gęste, niskie zarośla do rzadszego mchu i niższej, twardszej trawy, w której pojawiały się

czasem drobne kwiatki. Mijali małe skupiska kamieni, a potem były już głównie kamienie. Wspinali się po coraz bardziej stromej skale, jedną ręką przytrzymując się jej nad sobą, drugą trzymając broń, aż w końcu ojciec się zatrzymał i stanęli na tym, co wydawało się samym szczytem, i widzieli już tylko blade kształty poniżej, znikające po jakichś sześciu metrach, jakby świat kończył się na tej skale, a wyżej już także nic nie było. Stali tam długo, wystarczająco długo, by Roy zaczął oddychać spokojnie i ochłonał, aż poczuł zimno na plecach i w nogach, wystarczająco długo, by krew przestała dudnić w skroniach i usłyszał wiatr owiewający szczyt góry. Było zimno, ale sposób, w jaki to miejsce zamykało się wokół nich, miał w sobie coś uspokajającego. Wszędzie szarość, a oni byli jej częścią.

Kiepski stąd widok, powiedział ojciec, odwrócił się i zeszli tak samo, jak przyszli, a potem milczeli, dopóki nie wyszli z chmur.

Ojciec spojrzął za niską przełęcz rozciągającą się do łańcucha obok i na to, co widać było za nią – jeszcze więcej gór i niepewności w szarości. Może po prostu powinniśmy wrócić, powiedział. Nie jest bardzo ciepło ani pogodnie i nie ma tu raczej zbyt wielu szlaków.

Roy skinął głową i schodzili dalej przez niskie zarośla do niewielkich lasów u podnóża góry, potem zwiерzącą ścieżką aż do chaty.

Gdy dotarli na miejsce, wszystko wyglądało nie tak. Frontowe drzwi zwisały krzywo na jednym zawiasie, na ganku walały się śmieci.

Co, do diabła? – zdziwił się ojciec. Obaj podbiegli, ale zwolnili, kiedy znaleźli się przed chatą.

Wygląda, że to niedźwiedzie, powiedział ojciec. Na ganku leży nasze jedzenie.

Roy widział podarte torby suchych produktów i te w puszkach wysypujące się przez drzwi na ganek i trawę poniżej.

Wciąż mogą tam być, powiedział ojciec. Załaduj broń i odbezpiecz, ale bez nerwowych ruchów i lufa w dół. Jasne?

Jasne.

Włożyli naboje do komór i zbliżyli się do chaty. Ojciec zaczął walić w ścianę i wrzeszczeć i czekali, ale nic się nie poruszyło ani nie wydało żadnego dźwięku.

Chyba już ich tu nie ma, powiedział ojciec. Ale nigdy nie wiadomo. Wszedł na ganek i popchnął rozwalone drzwi lufą, i próbował zajrzeć do środka. Tam jest ciemno, powiedział. A niedźwiedzie są ciemne. Nie znoszę tego. W końcu jednak wszedł do środka i szybko wyszedł z powrotem, i znowu powoli wszedł. Roy nic nie słyszał, tak bardzo szalało mu serce. Wyobrażał sobie ojca wyrzucanego przez frontowe drzwi, za nim niedźwiedzia, ciśniętą broń. Roy strzeliłby wtedy niedźwiedziowi w oko i w otwartą paszczę, idealne strzały – tak jak uczył go ojciec, że trzeba zastrzelić niedźwiedzia ze strzelby kaliber 30–30.

Ojciec wyszedł jednak na zewnątrz cały i zdrowy i powiedział, że niedźwiedź zniknął. Wszystko rozwalił, dodał.

Wzrok Roya dopiero po kilku minutach w chacie przyzwyczaił się do ciemności. Rozdarte pośłanie, porzucane wszędzie jedzenie, radio w kawałkach, piec w kawałkach. Wszystko w ruinie. Roy nie dostrzegł niczego, co zachowałoby się w całości, i dotarło do niego, że dzięki temu wszystkiemu mieli żyć przez bardzo długi czas. Nie mieli teraz jak się skontaktować z kimkolwiek, nie mieli też gdzie spać.

Pójdę go szukać, powiedział ojciec.

Co?

Nie ma sensu tego porządkować, jeśli on tam jest i może wrócić i zrobić to samo. No i to może być dla nas niebezpieczne. Jeśli wróci w nocy, szukając czegoś do jedzenia.

Ale jest ciemno, on może być wszędzie, a musimy zjeść i zastanowić się, jak spać i... Roy nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Ojciec zachowywał się bez sensu.

Możesz tu zostać i to wszystko ogarnąć, odparł ojciec. A ja wrócę, kiedy zabiję niedźwiedzia.

Mam tu zostać sam?

Nic ci się nie stanie. Masz strzelbę, a za niedźwiedziem przecież będę szedł ja.

Nie podoba mi się ten pomysł, powiedział Roy.

Mnie też nie. Ojciec wyszedł. Roy stał na ganku i patrzył, jak ojciec znika na ścieżce, i nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Bał się, zaczął mówić na głos: Jak mogłeś mnie tu tak zostawić? Nie mam nic do jedzenia i nie wiem, kiedy wrócisz.

Był przerażony. Chodził dokoła chaty i tęsknił za matką i siostrą, i przyjaciółmi, i wszystkim, co zostawił, aż w końcu zmarł i zgłodniał na tyle, że zatrzymał się, wszedł do środka i zaczął oglądać śpiwory, sprawdzając, czy nadają się jeszcze do użycia.

Śpiwór ojca był właściwie w jednym kawałku. Miał tylko kilka niewielkich rozdarć. Ale śpiwora Roya używano chyba jako zabawki. Górna część była podarta na strzępy, a watolina porzrzucana po całym pokoju. Można było wprawdzie używać dolnej, reszty jednak nie było jak naprawić.

Zapasy niemal w całości zniszczone. Część toreb z mąką i białym cukrem, i solą pozostała nietknięta, ale było ich niewiele, a brązowy cukier wyjedzono do cna. Kilka puszek z jedzeniem okazało się tylko wgniecionych, jednak większość była podziurawiona.

Roy złożył do kupy kawałki pieca, które leżały na podłodze. Rozpalił ogień, przełożył zawartość jedyńskich dwóch ocalałych puszek chili do garnka, nawet nie bardzo poobijanego, podgrzał danie i usiadł na ganku, czekając na ojca.

Kiedy zapadł zmrok, a ojca wciąż nie było, Roy podgrzał chili ponownie i zjadł wszystko, bo nie mógł się powstrzymać. Zjadłem twoje chili, przeprosił na głos, jakby ojciec mógł go usłyszeć.

Tej nocy nie zasnął, leżał na ganku w śpiworze ojca, ze strzelbą na kolanach, a ojciec nie wracał. Nadszedł ranek, Roy był głodny, miał mdłości i bardzo zmarł od leżenia na ganku, wszedł więc do środka.

Radio nie było całkiem zepsute. Wyglądało, jakby coś na nim usiadło. Pewnie i tak nie działało. Roy nie potrafił tego stwierdzić. Chciał coś zrobić, coś pożytecznego, ale o radiach akurat zupełnie nic nie wiedział. Poszedł więc na tył chaty w butach i ciepłej kurtce, czapce i rękawiczkach, którym nic się nie stało, i zaczął piłować gonty. Trzymał przy sobie naładowaną i odbezpieczoną strzelbę i piłował, i myślał, czy nie wypalić kilka razy w powietrze. Ojciec by wtedy wrócił, ale byłby zły, że Roy strzelał bez powodu. Chciał tylko, żeby ojciec wrócił. Nie podobało mu się to wszystko. Nie miał pojęcia, co robić.

Nadeszło popołudnie, ale Royowi udało się zrobić tylko kilka gontów, a na kciuku wyskoczył mu pęcherz. Piłowanie było strasznie trudne. Coś musieli zrobić nie tak. Ojca

wciąż nie było, nie rozległ się też żaden strzał, więc Roy napisał liścik:

WYCHODZĘ CIĘ SZUKAĆ. WRÓCĘ ZA KILKA GODZIN. WYRUSZAM PO POŁUDNIU.

Zaczął iść w stronę, w którą poszedł ojciec, ale szybko zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, dokąd zmierza. Spojrzał na ziemię i z trudem zauważył ślady, ich ślady z poprzedniego dnia. Od czasu do czasu odcisk buta, przede wszystkim jednak wzruszona ziemia i przydeptana trawa. Poszedł tym szlakiem do miejsca, gdzie zaczynało się wzniesienie, ale tam już nie miał szans znaleźć żadnego tropu w gąbczastej glebie, nie zauważył też żadnej ścieżki odchodzącej od głównej, więc usiadł u stóp zbocza i próbował się zastanowić.

Ojciec nie zostawił mu żadnych wskazówek. Nie powiedział, w którą idzie stronę ani na jak długo. Roy siedział więc tylko i płakał, a potem wrócił do chaty. Podarł liścik i tkwił na ganku, patrząc na wodę, zjadł trochę chleba z masłem orzechowym i wygrzebał odrobinę dżemu z miejsca, w którym słoik rozbił się na kamieniach pod gankiem. Mrówki i inne owady zjadły już większość, ale uratował niemal łyżkę dżemu, który wyglądał przyzwoicie. Wrócił na ganek, zjadł dżem, spojrzął na zachodzące słońce i czekał.

Ojciec wrócił zaraz po zmroku. Roy usłyszał jego kroki na ścieżce i zawołał: Tato?

Taa, cicho odpowiedział ojciec, wszedł na ganek ciężkim krokiem i spojrzął na Roya siedzącego ze strzelbą między kolanami.

Dorwałem go, powiedział.

Co?

Dorwałem niedźwiedzia, natknąłem się na niego dwie góry stąd. Dorwałem go dziś rano. Słyszałeś strzały?

Nie.

No tak, to spory kawałek stąd.

Gdzie on jest? – zapytał Roy.

Wciąż tam leży. Nie dałem rady go przynieść. I nie miałem noża. Tylko broń. Ale jestem strasznie głodny. Zostało jakieś jedzenie? Złapałeś coś?

Roy nie pomyślał o łowieniu. Trochę zostało, powiedział. Coś ci podgrzeję.

Byłoby super.

Roy poszedł podgrzać puszkę zupy z kurczaka, ostatnią, z puszką kukurydzy i fasolki. Ojciec wyjął latarkę i zaczął naprawiać lampę. Niedźwiedź musiał wyczuć naftę i ją przewrócić, powiedział.

Kiedy jedzenie było gotowe i lampa już działała, rozejrzeli się po chacie.

Jak wyglądał? – zapytał Roy, stawiając jedzenie na podłodze.

Co?

No, ten niedźwiedź?

Zwykły czarny niedźwiedź, nie bardzo duży, niewielki samiec. Zobaczyłem go dzisiaj późnym rankiem, trochę niżej, jak buszował w krzakach. Trafiłem pierwszym strzałem w grzbiet i się przewrócił, ale strasznie się rzucał i ryczał. Drugi strzał dostał w kark i to go zabiło.

Jezu, powiedział Roy.

To było coś, powiedział ojciec. Następnego będziemy musieli oskórować, posolić i ususzyć mięso. Została jakaś sól?

Tak, mamy jeszcze worek.

Dobrze. Możemy też w jakiś słoneczny dzień, który pewnie zdarza się tu jakieś dwa razy na milion lat, zostawić garnek ze słoną wodą, żeby odparowała.

Ha, powiedział Roy, ale ojciec nie podniósł wzroku znad jedzenia. Zdawał się bardzo zmęczony. Roy też był zmęczony. Tego wieczoru zasnął niemal natychmiast.

Śniło mu się, że siekał na kawałki ryby, a każdy kawałek miał małe oczka. I rozlegał się jęk, coraz głośniejszy. Nie dobiegał z kawałków ryby czy konkretniej z ich oczek, ale one na niego patrzyły i czekały, co zrobi.

Kiedy Roy się obudził, ojciec przenosił rzeczy, sprzątał i porządkował chatę. Roy ziewnął, przeciągnął się i włożył buty.

Ten niedźwiedź nieźle nas załatwił, powiedział ojciec.

Muszę pozszywać swój śpiwór, powiedział Roy. Spał tej nocy w dolnej części, nie zdejmując ubrania, nawet kurtki i czapki, i pod małym kocem, którym nakrył go ojciec.

Taa, i jeszcze radio i drzwi, i mój sztormiak, i większość jedzenia. Od razu musimy to uporządkować.

Roy nie odpowiedział.

Przepraszam, dodał ojciec. Trochę mnie to wszystko zniechęciło. Zmarnowałam większość jedzenia. Część mogliśmy uratować wczoraj, ale teraz wszędzie są robaki, więc będziemy musieli je wyrzucić. Mamy plastikowe woreczki, do których mogłes włożyć choć trochę.

Przepraszam.

W porządku. Tylko pomóż mi to teraz uporządkować.

Sprzątali i sprzątali; rzeczy do wyrzucenia wynieśli w worku na śmieci sto metrów dalej i zakopali w rowie.

Może jeśli pojawi się następny niedźwiedź, to najpierw wyczuje to tutaj, zacznie kopać i zdążymy go zastrzelić, zanim dotrze do chaty.

Roy nie był specjalnie podekscytowany strzelaniem do następnych niedźwiedzi. Już ten jeden wydawał się bez sensu. Myślisz, że zastrzeliłes tego, który to zrobił? – zapytał.

Ojciec na chwilę przestał kopać. Tak. Tropiłem go. Ale to pewnie mógł być inny niedźwiedź. Kilka razy zgubiłem trop i musiałem go szukać, i to dość dziwne, że ten niedźwiedź był tak daleko od chaty. Na wszelki wypadek musimy się pilnować.

Roy postanowił, że nie będzie strzelał, dopóki niedźwiedź nie zaatakuje któregoś z nich, szczególnie jeśli nie zamierzali go oprawiać i zjeść.

Jak bardzo ryczał, kiedy go trafiłes?

Nie zadaje się takich pytań.

Kiedy zakopali zmarnowane jedzenie, ojciec wrócił do chaty i schował tam łopatę. Stanęli na ganku i patrzyli na wodę, spokojną i szarą.

Musimy się zebrać do kupy z jedzeniem, powiedział. Możesz zacząć łowić ryby, a ja popracuję nad wędzarnią. Będzie nam potrzebny schowek na drewno i musimy porąbać polana, ale ja nie mogę robić wszystkiego naraz, a najpierw musimy zjeść. Jeśli cokolwiek złapiesz, wyjmij ikrę z ryby i załóż kilka kolejnych żyłek. Po prostu przywiąż do czegoś żyłki i zostawimy je tam do skutku.

Roy poszedł więc znowu na cypel i zarzucił wędkę. Przez długi czas nic nie złapał.

Na początku gapił się na wodę, mając wrażenie, że ryba pojawi się lada moment, jakby mógł ją przywołać siłą woli, później jednak zaczął patrzeć dalej przez cieśninę, na wyspy. Widział grzbiety fal, a w większej odległości, na linii horyzontu, dostrzegł przepływający kuter rybacki. Był daleko, ale widział, jaki jest obciążony z przodu, i wyobrażał sobie nawet, że dostrzega bomby na sieci, lecz to była tylko wyobraźnia. Potem zaczął wyobrażać sobie, jak wystrzeliwuje z plaży flary, by zwrócić na siebie uwagę załogi tej łodzi, bo ojca zaatakował niedźwiedź i prawie go zjadł, a wtedy w końcu złapała się ryba, którą wyciągnął, miotającą się, przesuając ją szybko po powierzchni wody, ale to była tylko niewielka malma. Położył ją na skale i normalnie wrzuciłby z powrotem, taka była mała, ale w tej chwili nie mogli wybrzydząć, walnął ją więc w głowę i rozciął od odbytu do przełyku, sprawdzając, czy znajdzie jajeczka. Znalazł, na szczęście, choć bardzo maleńkie i niewiele. Wyciął ikrę, zostawił rybę i swoją wędkę i poszedł w stronę chaty, żeby założyć linki, po chwili jednak usłyszał trzepot skrzydeł, odwrócił się i pobiegł, ale nie zdążył. Orzeł złapał już rybę szponami i odlatywał, machając wielkimi brązowymi skrzydłami, zanim Roy zdążył wrócić. Podniósł kamień i rzucił nim w ptaka, żeby ten upuścił rybę, ale całkiem chybił i orzeł odleciał nad zatoką na drzewo na cyplu, usiadł na nim i obserwował Roya, jedząc rybę.

Roy zastanawiał się, czy strzelać, chociaż był tak wściekły, wiedział, jak bardzo potrzebują jedzenia, i bał się, co powie ojciec, gdy dowie się o stracie tej ryby, jednak nie chciał nawet myśleć o strzelaniu do bielika.

Wziął z pokoju dodatkową żyłkę i haczyki, żeby ustawić linki.

Złapałeś coś? – zawołał ojciec zza chaty.

Taa, mam ikrę do linek, ale to była tylko mała ryba, a kiedy się odwróciłem, to orzeł ją złapał.

Cholera.

Taa.

No to idź złap następną.

Taki mam plan.

Założył spore ciężarki na żyłki i rzucił je z ręki. Miał nadzieję, że woda jest wystarczająco głęboka. Zastawił dwie przed samą chatą i przywiązał je do korzeni, wrócił na cypel i zarzucił u ujścia strumienia kolejną, tam gdzie wcześniej łowił, i pociągnął ją, żeby przywiązać do drzewa. Orzeł wciąż siedział wysoko, obserwował go.

Później Roy zabrał sprzęt i poszedł dalej brzegiem, jakieś osiemset metrów powolnego chodzenia po skałach, a czasami wchodzenia do lasu, żeby przejść do innej niewielkiej zatoczki. Tutaj, kiedy u ujścia zarzucił wędkę, od razu złapał coś większego. Zaczął ciągnąć, wyrrywając się w morze, aż świszczał kołowrotek, dopóki Roy go nie zablokował, i choć ryba wtedy wciąż parła naprzód, nie miał problemu z przyciągnięciem jej do siebie. Skoczyła dwa razy, przyciągana bliżej brzegu, dwukrotnie zwinęła się w powietrzu, rzucając głową w przód i w tył i próbując się uwolnić. To był wczesny różowy łosoś, cały srebrzysty. Roy cofał się z wysoko uniesionym czubkiem wędki, żeby wyciągnąć zdobycz jednym płynnym, szybkim ruchem na kamienistą plażę. Ryba rzucała się jak szalona i uwolniła się z haczyka, ale była już wtedy zbyt głęboko na lądzie, a Roy podbiegł, by złapać ją szybko za skrzelą

i rzucić jeszcze dalej, gdzie leżała, łapiąc powietrze, patrząc oszalałym wzrokiem, dopóki nie walnął jej w głowę trzy razy kamieniem, wtedy jej ciało wygięło się, drżące i zakrwawione, i już leżało, płaskie. Mięśnie jeszcze kurczyły się co kilka sekund, ale była martwa.

Roy zakrył łososia kamieniami, osłaniając przed orłem, i znowu zarzucił wędkę. Po kilku godzinach miał sześć łososi i malmę. Nawłócił je na kawałek żyłki, zrobił uchwyty, żeby łatwiej było nieść, i powoli wrócił do chaty, co jakiś czas przystając na odpoczynek.

Nieżył połów, powiedział ojciec, kiedy go zobaczył. Nieżył połów.

Poszedłem do następnej zatoczki. Tam jest o wiele więcej ryb.

Wierzę, odparł ojciec i przyjrzał się rybom. Świeże różowe, powiedział. A wędzarnia idzie do przodu, więc jak już je oczyścisz, to pokrój te tutaj na filety.

Kiedy Roy oprawił ryby i wyciął kawałki do wędzenia, zrobiło się późno. Umył je porządnie, zabrał w wiadrze do chaty, przygotował zalewę z soli i odrobiny białego cukru. Powinni do tego używać brązowego, ale całe zapasy zjadł albo rozsypał niedźwiedź. Wrócił do ojca.

I jak to wygląda? – zapytał.

Trzyma się kupy.

Roy nie widział dobrze, ale wędzarnia miała cztery ściany, daszek i dziurę pod spodem na wióry. Ma jakieś stojaki? – zapytał.

Przywiozłem stojaki, odparł ojciec. I patelnię na spód, która ma dwa poziomy, jeden na gorące węgle, a drugi powyżej na wióry. Bez tego nie wiem, jak dałbym radę to zrobić porządnie.

Będziemy wędzić teraz?

Zostawimy je na noc w zalewie i zaczniemy wczesnym rankiem. Za dużo roboty z pilnowaniem wiórów i w ogóle, szczególnie że nie wiemy nawet, czy ona działa. Może usmaż te kawałki, które zostały, a ja tutaj dokończę.

Roy usmażył więc dwa duże filety na oleju, bo nie mieli już masła, a kiedy ojciec wszedł do chaty, był zmęczony, niewiele mówił i tylko zjadł rybę, wpatrując się w talerz. Roy nie czuł się bliżej ojca bardziej niż podczas rzadkich wakacji i zastanawiał się, czy to w ogóle się zmieni.

Dobra ryba, powiedział w końcu ojciec. Łososia nic nie pobije.

Potem razem pozmywali i poszli spać.

Późnym wieczorem, kiedy Roy zdążył już zasnąć, a potem obudził się zmarznięty, ojciec do niego mówił.

Roy? – pytał. Słyszysz mnie?

Taa. Nie śpię już.

Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Po prostu bardzo marnie się czuję. W ciągu dnia jest okej, ale w nocy mnie dopada. Wtedy nie wiem, co robić, mówił ojciec, i po tych ostatnich słowach znów zaczął jęczeć. Przepraszam, Roy, naprawdę się staram. Po prostu nie wiem, czy dam radę.

Roy czuł, że zaraz się rozpłacze, a naprawdę nie chciał.

Roy?

Taa, jestem. Przykro mi, tato. Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej.

Ojciec wydał z siebie okropny dźwięk przełykania i powiedział: Dzięki. A potem już

tylko leżeli tak, słuchając swoich chrapliwych oddechów, aż znowu nadeszło rano i Roy dalej leżał, wspominając ciepło i zapach pieca, z którego to ciepło uciekało.

Ojciec był już za chatą, wkładał rybę do wędzarni. Cześć, synu, powiedział. Wygląda na to, że całkiem się udało. Poruszał brwiami w górę i w dół i uśmiechnął się do Roya. Potem otworzył drzwiczki, żeby Roy mógł zajrzeć.

Paski ryby były już rozłożone i Roy widział, że różowe mięso ma glazurę z zalewy, czyli dobrze.

Muszę teraz wziąć się za patelnię, powiedział ojciec. Mam w piecu gotowe węgle.

Weszli do chaty i ojciec szczypcami, które do tego celu przywiózł, wyciągnął węgle i rozłożył je na patelni, nałożył na nią kratkę i posypał dużą garścią olchowych wiórów. Będzie smaczne, powiedział.

Wrócili do wędzarni, gdzie ojciec wcisnął patelnię przez małe drzwiczki na dole i sprawdził wszystkie połączenia, kiedy dym zaczął się unosić. Trochę wydostawało się na zewnątrz, tu i tam, ale ojciec powiedział, że nic nie szkodzi, i Roy rzeczywiście uważał, że całkiem nieźle to idzie. Wyglądało na to, że będą mogli zjeść wędzonego łososia i zachować suszoną rybę na później.

Teraz potrzebujemy stojaków do suszenia, powiedział ojciec. I nie zaszkodziłoby zbudować jakąś szopę na palach, żeby schować jedzenie przed niedźwiedziami.

Szopę na palach? – zapytał Roy.

Taa, żeby trzymać jedzenie z dala od niedźwiedzi i wszystkiego.

To dużo roboty?

Taa, nie mówię, że mamy od razu zacząć budować, tylko głośno myślę. Teraz potrzebujemy stojaków i wiaty na drewno.

Zaczęli więc pracę nad szkieletem wiaty przylegającej od tylnej ściany chaty, ale spadło na nich kilka dużych kropli deszczu i kiedy spojrzeli w górę na ciemne chmury, deszcz zaczął padać mocniej, pobiegli więc razem z narzędziami, ulewa ich jednak dopadła.

Rozpalili ogień w piecu i próbowali się trochę osuszyć ręcznikiem.

Zostało niewiele suchego drewna, powiedział ojciec. Bardzo niewiele. Powinniśmy byli schować tutaj kilka kawałków, żeby powoli wyschły. Jeśli będzie dalej padać, to klops.

Zapalili lampę naftową, wyjęli karty i usiedli na podłodze, by grać w remika przez resztę popołudnia, czekając, aż przestanie padać. Ojciec nie był specjalnie zainteresowany grą i wyglądał tak samo ponuro, gdy wygrywał, jak i wtedy, kiedy przegrywał. Deszcz i wiatr waliły o dach i ganek, aż widoczność zrobiła się tak marna, że nie widzieli na więcej niż sto metrów.

Po jakichś trzech godzinach ojciec wstał. Nie mogę tak tutaj dłużej siedzieć, powiedział. Naprawię swój płaszcz przeciwdeszczowy i zajrzę do wędzarni. Prawda jest taka, że będzie tu często padało i musimy się przyzwyczaić do wychodzenia i pracy w deszczu.

Niedźwiedź zrobił w płaszczu przeciwdeszczowym długie rozdarcia. Ojciec rozłożył płachtę na podłodze, lasotaśmą skleił rozdarcia z obu stron, po czym wyszedł, a Roy za nim w butach i kurtce.

Roy zatrzymał się przed chatą i spojrzął na wodę w kształcie bladej litery U, która zdawała się połączona z niebem. Nie było między nimi żadnej granicy, żadnego

horyzontu. Nie dało się odróżnić, gdzie dokładnie deszcz i mgła stykają się z powierzchnią, jedynie bardzo blisko brzegu, przy krawędzi wody. Drzewa po obu stronach zdawały się zwisać w strzępach. Roy zszedł nad wodę, ostrożnie stąpając po śliskich okrągłych kamieniach, słysząc wszędzie deszcz, równą płachtę deszczu wymazującą wszystkie inne dźwięki. I tylko pachniało deszczem. Nawet jeśli pachniało ziemią albo morzem, nawet jeśli Roy wyczuwał to, co wydawało mu się paprociami i pokrzywami, i zgniłym drewnem, były one jedynie częścią zapachu deszczu. Zrozumiał, że najczęściej tak właśnie będzie. Pogodne dni, które się zdarzyły, to anomalia. Gęsty deszcz i świat nim otoczony, to właśnie poznają. To będzie ich dom.

Wracaj tutaj, zawołał ojciec. Deszcz zdusił krzyk.

Poszedł więc pomóc przy wiacie na drewno. Zbili gwoździami słupki i zdali sobie sprawę, że najpierw powinni zbić daszek, żeby go unieść, nie mieli przecież drabiny, z powrotem więc opuścili słupki. Ojciec pracował ponuro, z zaciśniętymi ustami i przymkniętymi oczami. Wciąż dokładnie instruował Roya, co ma robić, ale Roy miał wrażenie, że raczej przeszkadza i że instruowanie go zajmuje więcej energii, niż jest warte, jakby ojciec wyciągnął go tu tylko po to, żeby obaj musieli stać w tym cholernym deszczu.

Ojciec zbił ze sobą nakładające się gonty, a kiedy skończyli daszek, ponownie podnieśli słupki – Roy trzymał, a ojciec sięgał wysoko i przybijał. Gdy daszek w końcu stanął, odsunęli się i spojrzeli. Wyglądał chybotliwie, podpórki były nierówne i gładkie, od deszczu śliskie i ciemnobrązowe, gonty – różnych rozmiarów i krzywe – wystawały nierówno na krawędzi, niektóre wciąż z korą, inne bez. Jak na Dzikim Zachodzie, takim prawdziwym, tylko nie tak solidnie. Wydawało się, że daszek osłoni od niewielkiego deszczu, ale kiedy pod nim stanęli, było kiepsko. Właściwie nie przeciekał, mogli nawet zdjąć kaptury, ale kiedy zacinął wiatr, deszcz wpadał od dołu.

Cóż, może przykryjemy jeszcze drewno jakąś folią, powiedział ojciec.

Dobry pomysł, odparł Roy. I nic się nie stanie, jeśli dolne partie trochę zmokną, prawda?

Nie. Ojciec spoglądał na daszek, zaciskając szczękę, ciemną od pięciodniowego zarostu. Ale na razie lepiej nie będzie. Powinienem być zrobić dłuższe gonty. Może kiedy pojedziemy na nasze małe wakacje i po kolejną rundę zapasów, przywiozę trochę drewna.

Kiedy jedziemy?

Nie ekscytuj się tak. Na pewno nie przez najbliższy miesiąc czy dwa, i to tylko pod warunkiem, że uruchomię radio, choć przypuszczam, że Tom przyleci sprawdzić, jeśli zbyt długo nie będziemy się odzywać. Przynajmniej tak miał zrobić.

Miesiąc czy dwa to był dla Roya czas niewyobrażalnie długi, jak całe życie w tym nieszczęsnym miejscu, które nie było domem.

Przed powrotem do chaty sprawdzili łososia. Był gotowy. Zostawili jedną tacę, żeby uwędziła się bardziej, na suszoną rybę, resztę wnieśli do środka. Postawili stojak na piecu i zaczęli jeść. Z zewnątrz ryba stwardniała, była słodka i słona, ale różowe mięso w środku pozostało wilgotne i z delikatnym aromatem dymu. Z brązowym cukrem byłaby lepsza, i tak jednak okazała się pyszna. Roy jadł z zamkniętymi oczami.

Przezań nucić, powiedział ojciec.

Co?

Nucisz, kiedy jesz. Zawsze to robisz i doprowadzasz mnie do szału. Po prostu jedz.

Roy próbował więc nie nucić, choć nawet nie wiedział, że w ogóle to robi. Żałował, że nie może zabrać gdzieś kilku kawałków, zjeść ich w samotności i się nie przejmować.

Zjedli przynajmniej jedną trzecią, zanim się najedli. Resztę ojciec zostawił do wystygnięcia, potem włożył do woreczków tuż przed pójściem spać.

Tamtego wieczoru ojciec znów do niego mówił. Roy powtarzał sobie raz po raz w myślach niczym mantrę: Jeszcze tylko miesiąc albo dwa, a potem stąd znikam i nie wrócę. Ojciec wciąż jęczał i szlochał, i się spowiadał. Zdradziłem twoją matkę, powiedział Royowi. W Ketchikan, kiedy była w ciąży z twoją siostrą. Czułem chyba, że coś się dla mnie kończy, wszystkie możliwości, a Gloria zawsze zostawała do późna i przychodziła do mojego gabinetu, i tak na mnie patrzyła, że po prostu nie mogłem się powstrzymać. Boże, czułem się paskudnie. Wciąż mnie mdliło. Ale i tak to robiłem. Chodzi o to, że mimo wszystkich konsekwencji tego, co zrobiłem, co zniszczyłem, wcale nie jestem pewien, czy gdybym miał możliwość cofnięcia czasu, zachowałbym się inaczej. Chodzi o to, że coś jest ze mną nie tak. Po prostu nie umiem postępować właściwie i być tym, kim powinienem. Coś w środku mi na to nie pozwala.

Nie zadawał Royowi żadnych pytań, a Roy nic nie odpowiadał. Ojciec po prostu mówił, Roy musiał słuchać, choć bardzo tego nie chciał, i myślał o matce i o tym, jak rodzice kłócili się w Ketchikan, i nie wiedział, co ma o tym myśleć. Kiedy oznajmili, że się rozwodzą, opowiedzieli mu inną historyjkę, jakby żadne z nich nie mogło nic na to poradzić, a gdy Roy zapytał, czy może jakoś pomóc, odparli, że nie, takie rzeczy po prostu czasem się zdarzają.

Na zewnątrz nieustannie padało, pokój był mały i ciemny. Ojciec szeptał coś i pociągał nosem, i wydawał dziwne, straszne dźwięki w tej swojej rozpacz, a leżał tuż obok i nie było dokąd uciec.

Rano zjedli płatki z mlekiem w proszku i nie rozpalali ognia w piecu, bo musieli oszczędzać drewno. Deszcz wciąż padał, tak samo jak poprzedniego dnia. Parapety zrobiły się ciemne i zaczęły przeciekać, w kilku miejscach krople płynęły po ścianach. Ojciec stał, przyglądając się im z latarką, ale nic nie mówił, tylko dotykał ściany w miejscu, gdzie spotykała się z sufitem, później zaś przyglądał się sufitowi, przesuwając promień światła powoli po każdej listwie i wzdłuż każdej belki.

Roy czytał książkę z serii z Mackiem Bolanem. Czytał dla tej kobiety, którą Egzekutor zawsze zdobywał, i próbował sobie wyobrazić, że uprawia z nią seks.

W porządku, powiedział ojciec. Czas na stojaki, możesz też sprawdzić, czy coś się złapało.

Roy sprawdził najpierw wędki, z ulgą, że może wyjść z chaty i być dalej od ojca. Wciąż dość mocno padało. W pelerynie nie mókł, ale było tak bardzo wilgotno i zimno, że czuł się mokry, jakby wszystko przesiąkło do cna. Na żyłkach bliżej chaty nic nie było, ale na cyplu znalazł martwą malmę, która robiła się już blada. Roy zastanawiał się, czy jeszcze się nada. Oczyszczył ją, trzymając w wyciągniętych rękach, na wypadek gdyby jednak zgniła i eksplodowała czy coś, ale wyglądała dobrze. Pachniała mocniej, niż zazwyczaj, ale niewiele mocniej, a mięso wyglądało normalnie. To był samiec, miał dwa długie woreczki nasienia zamiast ikry, Roy wrócił więc do chaty po

trochę jajeczek, które wcześniej posolił, przywiązał je do haczyka i zawinięte w skrawek materiału i zarzucił żyłkę ponownie. Potem zajrzał do lasu i pomyślał, że dobrze będzie sobie ulżyć, skoro nie robił tego od tak dawna, ale jakoś nie miał siły, no i było mokro i zimno, i miał na sobie milion warstw ciuchów, dlatego po prostu wrócił do chaty.

Ojca nigdzie nie było, Roy przeszedł więc do lasu i w końcu znalazł go na wzgórzu, wśród cedrów.

Cześć, powiedział.

Szukam palików na stojaki, powiedział ojciec. Muszą mieć przynajmniej ze dwa metry. Złapałeś coś?

Jedną małą malwę, która zdążyła zdechnąć. Ale mięso wygląda okej.

Może być. Tyle że i tak potrzebujemy więcej. Może powinienes dalej łowić, a ja będę budował. Ale tak naprawdę potrzebujemy drewna, bardzo.

Zamilkł i tylko stał w jednym miejscu, patrząc na rosnący mech. Cholera, sam nie wiem. Chce ci się porąbać drewno?

Pewnie, odparł Roy. I wrócił po siekiere. Tylko raz w życiu rąbał – i to dla zabawy. Miał wrażenie, że tym razem będzie inaczej.

Zaczął od tego, co zostało z projektu „wiata”: postawił polano i opuścił siekiere, ale ono tylko się odbiło i poleciało na ziemię, a ostrze odskoczyło tak, że prawie go uderzyło, i wtedy sobie przypomniał, że powinien mieć pod polanem jakąś porządną podstawę.

Przez pewien czas się rozglądał, aż wrócił ojciec i zapytał, co robi. Rozżalony Roy stanął z tyłu, a ojciec ustawił dwa kloce drewna jeden na drugim, uderzył i za jednym zamachem rozrąbał. Spojrzał na Roya i podał mu siekiere.

No dobra.

Będiesz musiał się wykazać trochę większą inicjatywą.

Okej, powiedział Roy, ale kiedy ojciec się odwracał, dodał jeszcze: Ja też robię różne rzeczy.

Ojciec spojrział na niego. Nie mazgaj się, rzucił. To nie miejsce dla beksy.

Odszedł z powrotem do lasu, a Roy wziął siekiere i rąbał, i nienawidził swojego ojca. Tego miejsca także nienawidził, i słuchania, jak ojciec co wieczór płacze. Mówił coś o beksach? Ale wtedy poczuł się głupio, bo wiedział, że te nocne płacze to coś innego, coś, co bał się zlekceważyć.

Kiedy skończył rąbać resztki z wiaty, wrócił do lasu z siekiere, szukając leżących drzew. Znalazł kilka pni, ale za bardzo spróchniałych. Powinienem być to przewidzieć, powiedział do siebie na głos. Kiedy się w końcu nauczysz robić coś porządnie? Wrócił więc na cypel, ściął kolejne drzewo, okorował, popiłował na kawałki i zaciągnął do chaty.

Ojciec pracował nad stojakami. Dobra robota, powiedział. Wygląda na to, że pojąłeś, co się robi z drewnem.

Taa.

Wszystko w końcu ogarniesz. Ja też.

Ale tamtej nocy ojciec znowu płakał i Roy miał wrażenie, że wszystko się całkiem posypie. Próbował zignorować to, co ojciec do niego mamrotał, i zająć głowę własnymi myślami, lecz nie potrafił się wyłączyć.

W Fairbanks były wtedy dwie prostytutki, do których chodziłem. Jedna miała naprawdę miękką skórę i zero włosów łonowych. Przypominała małą dziewczynkę, naprawdę małą, i nigdy na mnie nie patrzyła.

Roy wsadził palce do uszu i próbował nucić na tyle głośno, żeby zagłuszyć ojca, ale tak, by ten go nie słyszał, spowiedź się jednak nie kończyła i musiał jej wysłuchać w całości.

Wciąż do nich chodziłem, do wszystkich, nawet kiedy wiedziałem, że Rhoda już wie.

Rhoda była macochą Roya, drugą żoną ojca, z którą niedawno się rozwiódł.

Od jednej z tych prostytutek złapałem mendy, a ode mnie dostała ich Rhoda. Pamiętasz, jak mieliśmy jechać na narty w Kalifornii, ale nie pojechaliliśmy?

Zaskoczyło to Roya, ponieważ zwykle ojciec nie zadawał mu pytań.

Taa, odpowiedział. Pamiętał, że obudził się wtedy i było już wczesne przedpołudnie, dużo za późno, i coś nie tak. Teraz nie miał ochoty słuchać, że stało się tak, bo ojciec poszedł na dziwki. Wtedy powiedział, że złapał wszy w szatni na basenie, i Roy mu uwierzył, jak we wszystko inne.

Rhoda potwornie się wtedy wkurzyła. W ogóle nie pozwoliła mi się wytłumaczyć. Jakbym był jakimś potworem. Jakbym ją zrobił w balona. Jak sądzisz? Uważasz, że jestem potworem? Pytaniu towarzyszyły dziwne jęki i przełykanie śliny.

Nie, tato.

Sny Roya zaczęły się powtarzać. W jednym znajdował się w ciasnej łazience, składał czerwone ręczniki, ale pojawiało się coraz więcej czerwonych ręczników, które atakowały go i cisnęły się ze wszystkich stron. W innym siedział w autobusie uwięzionym w piasku i zsuwającym się po wzgórzu. W kolejnym wisiał na hakach i musiał wybierać, czy woli zostać postrzelony – co było szybkie, ale mogło zabić – czy zanurzony w wielkiej kadzi czerwonych mrówek, co by go nie zabiło, ale trwałoby potwornie długo.

Rankiem ojciec zawsze był w dobrym humorze i Roy nigdy tego nie rozumiał.

Nieźle nam idzie, powiedział ojciec. Mamy w wędzarni trochę ryb i trochę drewna, a wciąż jest wczesne lato.

Jakiś czas później, kiedy mocno padało i Roy wrócił z wychodka, zobaczył ojca stojącego w chacie z pistoletem w dłoni. Trzymał go jedną ręką, kierował w stronę dachu i gapił się w ciemność drewnianych belek, poruszając dokoła, jakby próbował ustrzelić tam jakiegoś wielkiego pajaka.

Co robisz?

Lepiej zejdź mi z drogi.

Co?

Zejdź mi z drogi. Idź do drugiego pokoju albo coś.

O co chodzi?

Ale ojciec już nie odpowiedział. Zerknął znów w górę i wycelował pistolet w coś, co chyba poruszało się pod sufitem.

Roy cofnął się do drugiego pokoju i obserwował ojca, stojąc w drzwiach.

I wtedy ojciec wystrzelił. Huk był ogłuszający. Roy zakrył uszy dłońmi, ale i tak bolało, nie przestawało huczeć. Ojciec wystrzelił ponownie w górę, absurdalnie ogromne magnum 44 plunęło ogniem w ponurej chacie, wypełniając powietrze siarką.

Do czego ty strzelasz? – wrzasnął Roy, ale ojciec wystrzelił ponownie i jeszcze raz,

i jeszcze, po czym rzucił broń na stos ubrań przy drzwiach i wyszedł na zewnątrz, na deszcz, mówiąc: Tu jest tak cholernie ciasno.

Roy podszedł do drzwi, patrzył na ojca stojącego i gapiącego się w niebo na deszcz, coraz bardziej mokrego, bez kapelusza i peleryny. Włosy przykleiły mu się do czaszki, czerwone usta miał otwarte. Zamykał i otwierał, i zamykał oczy. Para unosiła się z jego ust i koszuli. Bezładne ręce zwiesił wzdłuż boków, jakby nie zostało mu już nic innego, jak tylko stać i czekać, aż niebo się zawali.

Roy czekał na ojca tak długo, że w końcu usiadł przy piecu i patrzył przez drzwi na plaster szarego nieba i wody, i na przemoczonego ojca, gadającego bez sensu. Kiedy ojciec wreszcie się poruszył, Roy wstał, żeby coś zobaczyć, ale ojciec poszedł dalej, do lasu, i wrócił dopiero po zmierzchu.

Po jego powrocie w chacie nie było światła ani ognia. Roy siedział w śpiworze oparty o piec, rozstawił tylko puszki w różnych ciekących miejscach, w których lało się z dziur w suficie. Ojciec wrócił, zaniósł Roya do drugiego pokoju i powtarzał nieustannie, jak bardzo mu przykro, ale Roy udawał, że śpi, i nie chciał słuchać, tylko nienawidził ojca i się go bał.

Kiedy Roy obudził się rano, milczał. Zjadł trochę wędzonego łososia i krakersów, wyszedł i usiadł na drugim końcu ganku, bez słowa, nie patrząc na ojca. Wpatrywał się tylko w talerz, choć wiedział, że ojcu jest przykro i chce porozmawiać.

Ojciec wstał i oparł się o ścianę chaty. Gdy Roy podniósł wzrok, ojciec miał zamknięte oczy i twarz wystawioną do słońca.

Roy dokończył śniadanie i czekał.

Ładny dzień, powiedział w końcu ojciec. Może pokręcimy się trochę po wyspie?

Roy się zastanawiał.

No, co o tym myślisz?

Dobrze.

Dobrze, w takim razie zapolujmy na jelenia. Przydałoby się coś innego niż łosoś, prawda?

Roy bez pośpiechu zbierał swoje rzeczy, ale w końcu ruszyli, ojciec z przodu. Roy nie pragnął wcale rozwiązania. Chciał, żeby zrobiło się tak źle, by musieli opuścić wyspę. Wiedział, że ojciec będzie czuł się okropnie, jeśli on nie będzie się wcale odzywał i reagował.

Wyszli z niskiego lasu, wspięli się wyżej i przez zarośla przedarli się na skałę wyrastającą z miejsca, z którego było widać dwa zbrocza, brzeg i chatę. Roy zastanawiał się, czy jelenie w ogóle przychodzą na tę stronę, tak blisko chaty, ale skoro tu doszli, to równie dobrze mogli spróbować.

Co o tym myślisz? – zapytał ojciec.

Co myślę o czym?

O tym wszystkim. O widoku. O byciu tutaj. O byciu z ojcem.

Jest miło.

Ojciec spojrział wtedy przez kanał na słońce odbijające się od wody. Na nic konkretnego, po prostu patrzył w blask. Roy kilka razy zmieniał miejsce, siadał na skale i na ziemi, nie potrafił się uspokoić. Nie szukał jelenia. Zastanawiał się, czy ojciec szuka jelenia.

Ojciec odłożył strzelbę, wstał, podszedł zbyt blisko krawędzi małego klifu i spadł. Wyglądało to, jakby po prostu zszedł. Odbił się, spadł na gałęzie, przeleciał przez nie i potoczył się w dół, aż zniknął, ale Roy go słyszał i włosy stanęły mu dęba ze strachu.

Zerwał się i złapał broń, ale nie mógł nic zrobić. Ojciec był już na dole, wśród drzew i krzaków, kolejne głośne tąpnięcia, a potem koniec i cisza. Krew pulsowała w uszach Roya, bał się, że on również spadnie, jakby ojciec ciągnął go za sobą, w końcu jednak krzyknął, odstawił strzelbę i rzucił się w krzaki, przez które tutaj przyszli. Próbował poruszać się szybko, ale rośliny były gęste i raniły mu skórę. Bał się, że nigdy nie znajdzie ojca, że on po prostu zniknął i umiera.

Idąc, wciąż krzyczał, lecz nie było żadnej odpowiedzi. Ześlizgnął się przez pokrzywy, parząc sobie ręce, spadł przez iglaste zarośla i uderzył w jakieś płaskie miejsce, wstał i przedzierał się dalej, szukając ojca. Dotarł tam, gdzie myślał, że go znajdzie, ale nie. Podniósł głowę, próbując określić, gdzie jest, roślinność jednak okazała się zbyt gęsta, nie było widać skały, niczego. Jęknął, obrócił się w kółko, po czym zebrał się do kupy, zatrzymał i zaczął nasłuchiwać.

Najpierw tylko wiatr i szelest liści, ale po chwili dosłyszał gdzieś blisko jęk, rozsunął zarośla kilka metrów przed sobą – nic. Parł coraz głębiej, potem wrócił po śladach i sprawdził okolicę. Nie słyszał już jęku, pomyślał, że tylko mu się zdawało. Sam zaczął jęczeć, nie mógł się powstrzymać, ale wciąż szukał. Przyszło mu do głowy, by przydeptać ziemię tam, gdzie już szukał, tupał więc w coraz większych i większych kręgach, miażdżąc drobne rośliny, ale nic nie znalazł.

Minęło już przynajmniej pół godziny, ruszył więc z powrotem na górę, żeby odszukać podstawę skały. To również nie przyszło mu łatwo, a gdy ją znalazł, wcale nie był pewien, że to ta właściwa, ale zaczął się rozglądać i w końcu zauważył świeżo złamaną gałąź. Od tego miejsca szedł po kolejnych śladach gałęzi, miejsca w pokrzywach, kwiatach i mchu, które przedtem zgniótł. Kilka metrów dalej znalazł ojca.

Nie ruszał się, nie wydawał żadnego dźwięku. Leżał zwinięty na boku, ręka wisiła z tyłu, oko było zamknięte. Roy podszedł powoli, klęknął i się nachylił, choć nie chciał, nasłuchując oddechu, czegokolwiek, i zdawało mu się, że coś słyszy, nie potrafił jednak oddzielić dźwięku od własnego oddechu i pomyślał, że pewnie tylko mu się zdawało, bo chciał coś usłyszeć. Kiedy jednak nachylił się bardziej i przyłożył ucho do ust ojca, poczuł i usłyszał jego oddech, i powiedział „tato”, a potem zaczął wykrzykiwać to słowo, próbując zmusić ojca, żeby oprzytomniał. Chciał nim potrząsnąć, ale nie wiedział, czy powinien. Siedział więc tylko i próbował obudzić ojca mówieniem.

Spadłeś z klifu, powiedział. Spadłeś tutaj i się zraniłeś, ale wydobrzejesz. A teraz się obudź.

Ojciec miał spuchniętą twarz, która robiła się już fioletowa, z czerwonymi smugami w miejscach zadrapań. Ręka była poharatana i zakrwawiona.

O Boże, powiedział Roy, żałował, że nie wie, co zrobić, i że nie ma kogoś, kto mógłby mu jakoś pomóc. Ojciec się nie budził, Roy nie miał więc innego wyjścia, jak złapać go pod pachami i zacząć ciągnąć w dół, do chaty. Szlaku nie było, ale idąc tu, nie pokonywali żadnych przeszkód, nie przypominał też sobie po drodze żadnych urwisk. Ciągnął więc ojca po mchu, próbując się nie przewracać, od czasu do czasu i tak

się przewracał. Próbował nie upuścić ojca ani zbyt gwałtownie nim nie poruszać, ale i tak go upuszczał, widział, jak jego głowa odbija się bezwładnie na gąbczastym mchu, ojciec się jednak nie budził i nic nie mówił, choć wciąż oddychał. Potem zaszło słońce i zrobiło się ciemniej, lecz nie całkiem ciemno, kiedy przechodzili przez ostatnie skupisko drzew. Roy ciągnął ojca po trawie, obok wychodka i w dół na ganek, gdzie musiał odpoczywać na każdym schodku, zanim wciągnął go na kolejny, aż w końcu znaleźli się w chacie.

Położył go w większym pokoju na kocu, przykrył pozostałymi kocami i śpiworami. Oparł jego głowę na poduszce i poszedł po drewno do pieca. Wciąż było nieco mokre i za bardzo dymiło, ale po kilku próbach wreszcie się zajęło i przynajmniej zrobiło się ciepło.

Ojciec był bardzo blady. Roy położył dłoń obok jego policzka, sprawdzając różnicę w kolorze. Oddychał, ale płytko. Roy chciał mu podać trochę wody, nie wiedział jednak, czy powinien. Chciał położyć mu też lód na czole, tyle że lodu nie mieli, no i nie wiedział, czy to dobry pomysł. Nic nie wiedział. Siedział tylko oparty o ścianę, przykryty kurtką, czekał i patrzył, jak na zewnątrz znikają ostatnie ślady światła, chata zaś robi się mniejsza. Zaczęło wiać, ściany skrzypiały, od czasu do czasu wyjąc, a ojciec tylko leżał jak woskowa figura, blady, z otwartymi ustami i czerwonymi smugami na twarzy, która wyglądała nierealnie, jakby ją pomalowano. Nawet włosy nie wyglądały normalnie, później lampa zgasła i Roy już za bardzo się bał, żeby wstać i po ciemku szukać nafty, więc tylko czekał, nic nie widząc, nasłuchując całymi godzinami, aż w końcu zasnął.

Obudził się po wschodzie słońca i nie wiedział, co się dzieje, dlaczego ojciec leży tak przed nim na podłodze, w końcu sobie przypomniał. Podeszedł, by dotknąć jego twarzy – wciąż była ciepła, oddychał.

Obudź się, powiedział Roy. No, dalej. Zrobię placki. Z sosem grzybowym. No, dalej. Zbudź się.

Ojciec ani drgnął. Roy znowu rozpałił ogień i chata powoli się ogrzała. Stał w drzwiach i spoglądał na wodę, na której nie było nic, ani jednej łodzi. Wrócił, zatrzasnął drzwi, napełnił lampę i czekał. Ojciec wciąż się nie poruszał. Ciekawe, czy człowiek może być martwy i oddychać, pomyślał Roy, ale tak się przestraszył tej myśli, że zabrał się do robienia śniadania.

Placki, zaraz podaję! – krzyknął przez ramię, mieszając ciasto z proszku z wodą. Dodał do mieszanki trochę mleka w proszku, żeby poprawić smak, rozgrzał patelnię, natłuścił ją i zaczął smażyć placki, bardzo skupiając się na powstających bąbelkach, martwiąc się, czy nie za bardzo się podpiekają i czy nie za wcześnie je przerzuca, zanim wystarczająco zbrązowieją. Nie spieszył się i czekał, aż zrobi się idealny stos, a potem się odwrócił i zobaczył, że ojciec ma otwarte oczy i mu się przygląda.

Roy wrzasnął i upuścił talerz. Głowa ojca lekko się poruszyła, oczy wciąż na niego patrzyły. Tato, powiedział i podbiegł do ojca, a on ledwie słyszalnym szeptem poprosił: Wody.

Roy przyniósł wodę i pomógł ojcu odrobinę wypić, trzymając kubek przy jego ustach. Ojciec z wymiotował wodę i napił się znowu.

Przepraszam, powiedział, zamknął oczy i przespał resztę dnia, choć Roy przez cały ten czas bał się, że ojciec zapadnie w sen, z którego się nie obudzi. Zastanawiał się, czy

pobiec z flarami na przylądek i próbować wezwać pomoc, bał się jednak zostawiać ojca na tak długo, nie wiedział zresztą, czy on by tego chciał. Czy mam iść odpalić flary, tato? – wyszeptał dwa razy, ale ojciec nie odpowiedział.

Kiedy znowu się obudził, słońce zachodziło i Roy sam niemal zasnął, ale otworzył oczy na moment i zobaczył, że ojciec na niego patrzy.

Obudziłeś się, powiedział Roy. Jak się czujesz?

Ojciec długo nie odpowiadał. Dobrze, rzucił w końcu. Jeść. Wody.

Co do jedzenia?

Zastanawiał się przez chwilę.

Zupę. Mamy?

Nie możesz oddychać, prawda? – powiedział Roy. Masz problem z mówieniem. Może powinienem pójść odpalić flary? Pójdę wezwać pomoc.

Nie, odparł ojciec. Nie. Zupa.

Roy podgrzał więc zupę grzybową, którą miał podać jako sos do placków. Przez niedźwiedzia była to jedna z ostatnich puszek. Przyniósł jedzenie i powoli nakarmił ojca łyżką.

Ojciec zjadł tylko odrobinę i powiedział: Na razie dość.

Co z rozcięciami i w ogóle? – zapytał Roy. Nie wiem, co robić.

To nic.

Roy przyniósł jeszcze wody, zapalił lampę i dołożył do pieca. Czekali w milczeniu, aż w końcu ojciec poprosił o zupę, potem o wodę, później odpoczywał i znowu zasnął.

Rano, kiedy Roy się obudził, zobaczył ręce ojca wyciągnięte spod koców na wierzch. Tylko jedna była poraniona i krew zdążyła już zaschnąć.

Powinienem iść odpalić flary, powiedział Roy. Wciąż nie możesz wstać. Być może stało się coś naprawdę poważnego.

Posłuchaj, odparł ojciec. Jeśli teraz wyjedziemy, to już nie wrócimy. A ja nie chcę jeszcze odpuszczać. Musisz mi dać kolejną szansę. Nie pozwolę, żeby znowu się wydarzyło coś tak głupiego. Przysięgam.

Myślałem, że umrzesz, powiedział Roy.

Wiem, przepraszam. Nie musisz już się o mnie martwić.

Wyglądało, jakbyś po prostu zszedł.

Za bardzo zbliżyłem się do krawędzi. Ale już dobrze.

Czekali więc. Roy przyniósł znowu zupę i wodę, potem ojciec powiedział, że musi się załatwić.

Muszę do toalety, powiedział. Ale sam nie wstanę. Weź papier toaletowy i mi pomóż.

Roy złapał rolkę i ukląkł za ojcem, żeby podnieść go pod pachami. Ojciec trochę pomagał nogami, przytrzymał się stołu, więc jakoś wstali i doszli do drzwi, gdzie odpoczęli.

Chyba niczego nie złamałeś, powiedział Roy.

Chyba nie, odparł ojciec. Naprawdę miałem szczęście.

Odpoczywali w drzwiach jeszcze kilka minut, ojciec patrzył na zatoczkę. Potem przeszli wzdłuż zewnętrznej ściany na schodki i jeden po drugim zeszli, Roy i wspierający się na nim ojciec.

To się uda, powiedział ojciec. Nic nam nie będzie. Jestem tylko trochę obolały

i zeszywniały, ale to przejdzie.

Pod schodkami znów odpoczęli.

Może łatwiej będzie w wychodku, powiedział ojciec. Chociaż to dalej.

Mogę spróbować cię zanieść, powiedział Roy.

Chyba dam radę iść, jeśli mi pomożesz.

Ojciec oparł się więc o niego. Szli powoli w stronę wychodka, przystając co kilka metrów. Zaczęło lekko mżyć, ale postanowili iść dalej i dotrzeć do latryny, gdzie ojciec z pomocą Roya odwrócił się i usiadł, a Roy wyszedł na zewnątrz poczekać.

Stojąc tak w deszczu, Roy czuł coś, czego nie potrafił opisać. Ogromny strach już prawie zniknął, ale jakaś część, której nie rozumiał, chciała, żeby ojciec umarł po tym upadku, żeby pojawiła się ulga, żeby wszystko było jasne i Roy mógł wrócić do dawnego życia. Bał się jednak o tym myśleć, by nie zaklinać rzeczywistości, a świadomość, że mógłby stracić ojca, wywołała tak nagłe łzy, że kiedy ojciec zawołał ze środka, że skończył, Roy próbował się nie rozpłakać, zwalczyć szloch w gardle i łzy w oczach.

Otworzył drzwi, a ojciec wyciągnął rękę. Pomóż mi, powiedział. Wciąż miał jednak opuszczone spodnie i Roy nie potrafił nie patrzeć na wiszącego między nogami penisa i włosy na udach. Zawstydział się i próbował odwrócić wzrok, udawać, że nie spojrzął.

Ojciec nic nie powiedział. Stojąc i wciąż trzymając Roya za rękę, drugą podciągnął spodnie, po czym odwrócił się i oparł o framugę, żeby palcami obu dłoni zapiąć guzik. Wrócili do chaty, ojciec znowu się położył, trochę zjadł, napił się i przespał resztę dnia.

W ciągu tygodnia ojciec nabrał sił. Odzyskał zdolność poruszania się na tyle, że mógł sam dojść do wychodka i powoli wrócić na ganek, a potem nawet pójść na brzeg zatoczki i z powrotem. Wkrótce oznajmił, że wyzdrowiał.

Powrót z za grobu, powiedział. Płuca nigdy nie pracowały lepiej. I obiecuję, że nigdy już nie dopuszczę, by coś takiego się wydarzyło.

Roy znowu chciał zapytać, czy ojciec zrobił tamten krok celowo, bo właśnie tak wyglądało, ale w końcu nie zapytał.

Wytropili i zastrzelili jelenia, pierwszego na ścieżce za chatą schodzącej w dół po drugiej stronie. Ojciec pozwolił strzelić Royowi, który trafił w szyję. Celował co prawda nisko pod obojczyk, więc mocno chybił, ale potem udawał, że zamierzał strzelić właśnie w szyję. Znaleźli zwierzę leżące w jagodach, z wywalonym jęzorem i wciąż błyszczącymi oczyma.

Dobra robota, powiedział ojciec. To będzie porządne mięso. Odłożył strzelbę i wyjął nóż myśliwski. Rozciął brzuch, wyjął jelita, wykrwawił szyję, odciął jądra i wszystko pod spodem, później połączył tylne nogi z przednimi, robiąc z jelenia rodzaj plecaka.

Normalnie bym go zaniósł, powiedział. Ale plecy i bok ciągle mnie boją, więc może ty to zrobisz.

Ojciec niósł obie strzelby, a Roy zarzucił sobie tylne nogi na ramiona, jeleni tyłek miał za głowę, i poniosł go w ten sposób pod górę, a potem w dół po drugiej stronie. Rogi obijały mu się o kostki.

Powiesili i oskórowali jelenia, pięściami odbijając mięso od skóry. Większość tuszy pocięli na plastry i ususzili albo uwędzili.

Ten stojak do suszenia jest bardzo średni, powiedział ojciec. Za mało słońca i zbyt wiele much. Ale większość i tak uwędzimy.

Rozciągnęli skórę, kiedy zaczęło zmierzchać, posolili ją i poszli spać.

Ojciec tamtej nocy nie płakał, tak jak nie płakał od czasu upadku. Roy nasłuchiwał i czekał, z napięcia nie mógł zasnąć, ale płacz po prostu już się nie pojawił i po kilku nocach w końcu Roy się przyzwyczaił i nauczył spać.

Teraz na poważnie zabrali się do gromadzenia zapasów na zimę. Kiedy ojciec nabrał dość sił do pracy, wykopali ogromny dół jakieś sto metrów od chaty, w niewielkim iglastym zagajniku. Kopali łopatami, aż ojcu dół sięgał do ramion, a Royowi nad głowę. Później go poszerzali, aż uzyskali wcinający się w zbocze kwadrat trzy na trzy metry, następnie jeszcze go pogłębili, wchodząc i wychodząc po drabinie własnej roboty. Kiedy trafili na jakiś duży kamień, kopali dokoła i pod spodem, a potem wyciągali go, obwiązawszy liną. Przestali, kiedy łopaty uderzyły w litą skałę.

Ta dziura miała być ich spiżarnią, ale kiedy już ją wykopali, ojciec zaczął się wahać.

Sam nie wiem, powiedział. Nie wiem, czy jedzenie nie spleśnieje albo czy nie wlezie tu robactwo. I nie wiem, jak mamy ułatwić sobie wkładanie do środka jedzenia, ale tak, żeby nie dostały się tam niedźwiedzie. No i wszystko tu przykryje zimą śnieg.

Roy słuchał i patrzył w wielki dół, który kopali przez tydzień. On również nie wiedział. Po prostu założył, że ojciec wie.

Stali tak jeszcze chwilę, aż ojciec powiedział: No cóż, musimy to przemyśleć. Jedzenie można wkładać do woreczków. Może spleśnieje, ale nie zamoknie i nie dostaną się robaki.

Powinniśmy tu zbudować jakąś szopę? – zapytał Roy. Czy po prostu to zakopać?

Na zdjęciach widziałem, że robi się coś takiego z palików albo w dole, albo nad nim.

Okej, powiedział Roy.

Prześpijmy się z tym, powiedział ojciec.

Poszli więc na ryby na cypel, choć mżyło i ściemniało się, a potem znów przyrządzili łososia na kolację i poszli spać.

Roy długo nie mógł zasnąć, tylko leżał. Kilka godzin później usłyszał, jak ojciec zaczyna płakać.

Rankiem Roy wspominał i leżał w śpiworze, i długo nie wstawał. Ojca już nie było, a kiedy Roy w końcu poszedł do dołu, ojciec stał w środku z założonymi rękami i gapił się na ściany.

Przemyślmy to, powiedział. Wykopaliliśmy dół. Mamy tu teraz duży dół. I musimy w nim trzymać jedzenie. Potrzebujemy czegoś niskiego, jakby szałasu, tak sądzę, i otworu, przez który my wejdziemy, ale niedźwiedź nie. Otwór mógłby być na górze albo z boku, z zejściem pod kątem. Moim zdaniem powinien być na górze, zamknięty klapą przybitą gwoździami i przysypany ziemią. Co sądzisz? Ojciec podniósł głowę i na niego spojrział. Roy pomyślał: Wcale nie czujesz się lepiej. Nic się nie poprawiło. Równie dobrze możesz postanowić, że sam się tu pogrzebiesz. Powiedział jednak: A jak będziemy wyjmować jedzenie?

Dobre pytanie, odparł ojciec. Myślałem o tym i uważam, że zapasy w spiżarni powinniśmy zostawić na późną zimę. Chatę wypełnimy jedzeniem i nie będziemy z niej wychodzić. Strzelby w gotowości i strzelamy do każdego niedźwiedzia, który się pojawi. A kiedy całkiem skończy się jedzenie, będziemy mieć spiżarnię. Przychodzisz tutaj, wykopujesz, zabierasz wszystko i znów jesteś spokojny. Albo przychodzisz dwa

razy, ale nie częściej. Więc nie musimy mieć wcale łatwego dostępu. A jedzenie jest dobre, bo nie tylko uwędzone czy ususzone i posolone, ale także mrożone.

Brzmi rozsądnie, powiedział Roy.

Voilà, ojciec wyrzucił ramiona w górę. Jeszcze się do czegoś nadaję, co?

Może.

Ojciec się zaśmiał. Może, tak? Mój synek wyrabia sobie poczucie humoru. Zaczynasz się tutaj czuć jak w domu, co?

Roy się uśmiechnął. Może trochę, tak.

No dobra.

Później świętowali, ścinając kilka drzew i robiąc z nich paliki na ściany spiżarni. Zajęło im to cały dzień. Przed zmrokiem udało im się zaciągnąć paliki do krawędzi dołu.

Jutro je ustawimy, powiedział ojciec. Masz może przypadkiem szpulkę sznurka?

Nie.

Hm, coś wymyślimy. Nie mamy też zbyt wiele gwoździ. Ale coś wymyślimy.

Tej nocy Roy znów nie spał, czekając na płacz. Musiał wiedzieć, czy ojciec robi to każdej nocy, ale rano się obudził i rozważał, czy tym razem było inaczej, czy po prostu nie wytrwał bez snu wystarczająco długo. Nie wiedział. Ojciec się teraz ukrywał, a Roy musiał udawać, że o niczym nie wie.

Zrzućli do dołu tyle ziemi, żeby móc wbić paliki jeden obok drugiego. Nie były ze sobą połączone, tylko wkopane obok siebie.

Chyba będą stały, powiedział ojciec. Ciśnienie z zewnątrz zrównoważy ciśnienie wszystkiego, co będzie w środku.

A co wtedy, kiedy będziemy wyjmować jedzenie? – zapytał Roy. Albo jeśli niedźwiedź się tu dokopie i spróbuje wszystko rozwalić?

Ojciec spojrzał na niego zamyślony. Przyjrzał mu się bardziej przenikliwie niż zwykle, więc Roy umknął wzrokiem i patrzył na rzadką brodę, którą zapuścił ojciec, i włosy, dłuższe z boków i przyklejone do czaszki od długiego niemycia. W ogóle już nie przypominał dentysty ani nawet jego ojca. Wyglądał jak jakiś inny człowiek, który chyba nie ma zbyt wiele.

Myślisz, odezwał się ojciec. To dobrze. Możemy rozmawiać o tym, co robimy. Ja myślałem o tym samym i zdaje mi się, że musimy zakopać spiżarnię tak głęboko i zasypać ją tak bardzo, żeby niedźwiedź nie mógł się przekopać, ponieważ jeśli mu się to uda i zejdzie na dół, to później już nie damy rady utrzymać go z dala od spiżarni.

Roy skinął głową. Nie wiedział, czy to zadziała, ale przynajmniej miało sens.

A kiedy w końcu wyjmemy te zapasy, pewnie pod koniec lutego, ziemia będzie tak zamrznięta, że nic się nie ruszy. Nie zapadnie się, nawet jeśli zabierzemy całe drewno, którego możemy potrzebować do palenia.

Roy się uśmiechnął. To brzmi nieźle.

No to w porządku.

Ustawili pozostałe słupki niczym ściany niewielkiego fortu, wysokości niewiele większej niż metr, a potem usiedli, żeby spojrzeć na rezultat.

Potrzebujemy dachu, powiedział Roy.

I kłapy. Położymy po przekątnej długie drągi i wymyślimy, jak zrobić wejście w dachu. To pewnie będzie tylko dziura przykryta klapą jak drugim daszkiem.

Jeszcze nie mamy jedzenia, żeby je tam włożyć, zauważył Roy.

Racja. I nie włożymy tam nic, dopóki nie spadnie śnieg. A do tego czasu musimy pilnować, żeby się nie zapadło.

Może powinniśmy poczekać z kopaniem jeszcze kilka miesięcy, co?

Taa. Wykopaliśmy go za wcześnie. Ale nic nie szkodzi. Nie wiedzieliśmy.

Przez następne dwa dni wycinali w deszczu drągi na dach i klapę. Przecinali je wzdłuż i toporkiem odrąbywali gałęzie. Roy obserwował ojca i jego ponurą nieogoloną twarz, kiedy pracował; zimny deszcz skapywał mu kroplami z nosa. Wydawał się silny jak postać wykuta z kamienia, a wszystkie jego myśli równie niezmiennie, aż Roy nie potrafił pogodzić tego ojca z innym, tym, który szlochał i desperował, i w którym nie było nic trwałego. Choć Roy pamiętał, to i tak miał wrażenie, że ten ojciec, z którym jest w danej chwili, to jedyny istniejący ojciec, jakby ten jeden wypalał do cna wszystkich pozostałych.

Kiedy skończyli wycinanie słupków na dach i klapę, ustawili je wszystkie równo i odsunęli się, by popatrzeć. Ściany dołu już zaczynało podmywać wokół słupków, wszędzie drobinki błota w nieustającym deszczu.

Niektóre słupki miękną, powiedział ojciec. Zaczyna je wymywać. No cóż.

Możemy coś zrobić, żeby się nie zapadało? – zapytał Roy.

Nie wiem. Nie mamy dość brezentu. Może nawaliłem. Może jest za wcześnie. Teraz chyba powinniśmy zbierać zapasy.

Tamtej nocy Roy nie musiał długo czekać na szlochanie ojca. Zaczęło się po kilku minutach i ojciec nawet nie próbował go ukrywać.

Przepraszam, powiedział. Nie chodzi o spiżarnię czy coś podobnego. Chodzi o inne sprawy.

O co?

Przez cały czas boli mnie głowa, ale to nie to.

Boli cię głowa?

Tak, od wielu lat. Nie wiedziałeś?

Nie.

No cóż.

Dlaczego cię boli?

Zatoki. Powiniennem być je przepłukać, ale mi się nie chciało. To i tak nie zawsze działa, a zabieg jest okropny. Nie to jest jednak problemem. To tylko mnie osłabia i wywołuje płacz i ciągłe zmęczenie. Gorsze jest to, że chyba nie potrafię być sam.

I znów zaczął płakać. Wiem, że nie jestem sam, zawodził. Wiem, że ty tu jesteś. Jednak i tak czuję się zbyt samotny. Nie potrafię tego wyjaśnić.

Roy czekał na dalszy ciąg, ale ojciec już tylko płakał i trwało to bardzo długo. On zaś nie rozumiał, jak to możliwe, że jest tutaj, a dla ojca jakby go w ogóle nie było.

Deszcz wciąż padał i spiżarnię podmywało coraz bardziej. Roy stał z ojcem na krawędzi, patrząc na poprzewracane paliki i myśląc, i nic nie mówiąc, aż w końcu ojciec powiedział: Cóż, wyciągnijmy całe to drewno. Spróbujemy znowu, kiedy spadnie pierwszy śnieg.

Roy nie wierzył, że będą tu jeszcze, kiedy spadnie pierwszy śnieg, ale skinął głową, gdy ojciec schodził do dołu, później brał kolejne kawałki drewna i podawał je

Royowi, a on zanosił je z powrotem do chaty. Roy wiedział, że z jakiegoś powodu to rozczarowanie ojciec znosi gorzej, niż zniósłby inne. Gdyby Roy się teraz odezwał, ojciec raczej by go nie usłyszał. I rozumiał też, że ojciec często pograżał się we własnych myślach i wyłączał, że ani jedna chwila, którą spędzał na takim samotnym myśleniu, mu nie pomagała, zawsze tylko upadał coraz niżej, jeśli się tam zagłębiał.

Oparli kołki o chatę, potem znowu zajrzeli do dołu, gapili się na coraz głębsze błoto i zapadające się ściany, popatrzyli w niebo, w szarość niemającą głębi ani końca, a potem weszli do chaty.

Kiedy parę dni później przyleciał samolot, Roy łowił ryby kilka kilometrów od ich zatoczki. Zdawało mu się, że coś słyszy, wziął to jednak za złudzenie, ale zamarł i nasłuchiwał – i znów to usłyszał. Wyciągnął wędkę, złapał dwa złowione łososie i zaczął biec. Był jednak dość daleko i tak często napotykał po drodze przeszkody, że nie zobaczył, jak samolot wlatuje do zatoczki. Biegł kamienistą plażą, tylko kiedy musiał, wchodził w las i biegł dalej, i bał się coraz bardziej i bardziej, że nie zdąży. Przypuszczał, że ojciec rąbie drewno, ale jeśli z jakiegoś powodu przeszedł za wzgórze i przy chacie nikogo nie ma? Pilot może nie wrócić przez bardzo długi czas, może tylko zostawi liścik: WEZWIJCIE MNIE PRZEZ RADIO, GDYBYŚCIE CZEGOŚ POTRZEBOWALI. I było coś jeszcze – myśl, do której Roy nie chciał się przyznać sam przed sobą. Jeśli nawet ojciec tam jest, to co zrobi? Może przecież powiedzieć, że wszystko jest w porządku, odeśle pilota i nie każe mu już wracać? To wcale nie takie niemożliwe, a Roy musiał stąd wyjechać, musiał uciec. Rzucił ryby i wędkę i biegł szybciej.

Był zaledwie kilkaset metrów od celu, kiedy znowu usłyszał dźwięk silnika; zatrzymał się, patrząc, jak hydroplan szybko wypływa z zatoki, uwalniając się od własnej piany, i ostrożnie unosi się nad cieśniną. Roy stał i patrzył tam, gdzie zniknęła maszyna, i oddychał ciężko, czuł, że właśnie wydarzyło się coś okropnego.

Odleciał, powiedział na głos. Nie zdążyłem.

Wrócił po wędkę i łososie i poszedł do chaty.

Ojciec był znowu przy drewnie. Tom przyleciał, powiedział na widok Roya.

Słyszałem go.

Aha. Cóż, był tylko chwilę, ale zamówiłem zapasy, których potrzebujemy, i przywiezie je w przyszłym tygodniu po drodze do Juneau. Chociaż właściwie to chyba wcale nie po drodze. I wtedy ojciec się uśmiechnął, zadowolony z tego, na jakim krańcu świata się znajdują.

Roy zaniósł łososie nad wodę i je oczyścił. Szybko oskrobał łuski, odciął głowy, płetwy i ogony. Chciał stąd wyjechać. Nie interesowało go, co o tym myśli ojciec, po prostu zamierzał wyjechać.

Chcesz wyjechać? – zapytał ojciec, kiedy Roy powiedział mu przy kolacji.

Roy nie powtórzył, tylko jadł dalej. Czuł się okropnie, jakby zabijał własnego ojca.

Przecież nie jest nam aż tak źle, prawda? – indagował ojciec.

Roy nie chciał ustąpić. Nic nie mówił.

Nie rozumiem, ciągnął ojciec. W końcu do czegoś doszliśmy. Przygotowujemy się na zimę.

Ale po co? – pomyślał Roy. Tylko po to, żeby przetrwać zimę? Nic nie powiedział.

Słuchaj, mówił ojciec. Będziesz musiał ze mną o tym porozmawiać, bo inaczej po

prostu zostajesz i tyle.

Okej, powiedział Roy.

Dlaczego musisz wyjechać?

Chcę wrócić do przyjaciół i mojego prawdziwego życia. Nie chcę tylko próbować przetrwać zimy.

W porządku. A co ze mną? Powiedziałeś, że zostaniesz tutaj rok, więc poczyniłem plany. Oszczędziłem z pracy, kupiłem ten dom. Co mam zrobić, jeśli sobie wyjedziesz?

Nie wiem.

Nie pomyślałeś o tym, prawda?

Nie. Roy czuł się okropnie. Przepraszam, powiedział.

Nie ma sprawy, odparł ojciec. Jeśli musisz jechać, to musisz jechać. Nie będę cię zatrzymywał.

Roy chciał wtedy powiedzieć, że zostanie, ale nie potrafił. Wiedział, że jeśli zostanie, przytrafią mu się tutaj okropne rzeczy. Pozmywał naczynia i poszli spać.

Wiesz, powiedział ojciec tej nocy, kiedy leżeli, nie śpiąc, tutaj wszystko dzieje się bez kontroli. Masz rację. Tutaj trzeba być mężczyzną, żeby przetrwać. Nie powinienem był przywozić ze sobą chłopca.

Roy nie mógł uwierzyć, że ojciec mówi mu takie rzeczy. Tamtej nocy w ogóle nie zasnął. Chciał wyjechać. Chciał się stąd wyrwać. Ale noc mijała, a on wiedział już, że zostanie. Wciąż wyobrażał sobie ojca samego na wyspie, wiedział, że ojciec go potrzebuje. Rano czuł się tak paskudnie, że zrobił placki i powiedział do ojca: Przemyślałem to i chyba tak naprawdę nie chcę wyjeżdżać.

Serio? – zapytał ojciec, podszedł i objął syna. To rozumiem, dodał z szerokim uśmiechem. Ogarniemy to wszystko. Będziemy mieli świeże zapasy, odłożymy dosyć ryb i mięsa, mam też pomysł na dach spiżarni. Myślałem, żeby...

Ojciec mówił i mówił, podekscytowany, ale Roy przestał go słuchać. Nie wierzył już w te ekscytujące plany. Miał wrażenie, że właśnie dobrowolnie skazał się na więzienie i nie może się już wycofać.

Tamtego dnia zaczęli zbierać jagody. Był późny lipiec, przyjechali ponad miesiąc temu, i choć na owoce leśne wciąż było nieco za wcześnie, to nadawały się już na dżemy. Zbierali je do torebek na mrożonki, Roy wspominał Ketchikan i swoją czerwoną kurtkę z kapturem, i wszystkie te dni, kiedy wybierali się na wzgórze za domem, żeby zbierać jagody. Robili domowe lody, gęste i wyraziste w smaku, i wrzucali do nich jagody. Pamiętał też lekko dymny zapach w powietrzu i wszystkie jesienne kolory. Na Alasce nie tylko drzewa zmieniały kolor, ale wszystkie rośliny, i to już na początku sierpnia. Tutaj jeszcze było za wcześnie, lecz niewiele brakowało. Bardziej na północy, w Fairbanks, gdzie kiedyś mieszkał ojciec, niedługo zaczęłyby się zmieniać barwy, może już się zmieniały, a w połowie września niemal wszystkie małe liście na krzewach jagód już by opadły, tak jak większość liści z drzew, koniec jesieni i początek śniegów. Tutaj zdarzy się to później, ale niewiele później. Któregoś lata w Ketchikan, wspominał, śnieg zaczął padać już w sierpniu. Wjechał wtedy trójkołowym rowerkiem w śnieg i próbował łąpać płatki na język.

Tego samego dnia po południu stali na przylądku i co kilka zarzucając łąpali łososia. W końcu zaczęły przyplływać ławice, a nie tylko kilka pojedynczych osobników. Widzieli mnóstwo ryb pod powierzchnią czystej wody, ciemne kształty w rzędach,

falujące powoli i równo, kolejne wspomnienie Roya. Wpływali wtedy motorówką w niewielkie zatoczki jak ta, a on stał na dziobie razem z ojcem i patrzył, jak ławice zbierają się pod nimi, i zaczynał wierzyć, że wszystkie wody są takie same, że wszystkie są tak zarybione. Teraz też pływała między łososiami jakaś kolorowa drobniaczka. Roy wodził błystką po nosach łososi, aż jeden wyskoczył naprzód i chwycił przynętę, potem błysnął srebrem, kiedy Roy poderwał wędkę. Zawiwatował tak, jak zawsze robił to ojciec, gdy coś złapał, a myśl, że tu zostaną, nie wydawała się w tej chwili aż taka zła. Oczyszczył ryby, złowiwszy pięć sztuk, i nawlókł je przez skrzela na żyłkę.

Kiedy ruszymy pełną parą, powiedział ojciec, będziemy dziennie wyciągać dwadzieścia albo trzydzieści łososi. Będziemy tak zajęci, że zaczniemy marzyć o drugiej wędzarni.

Samolot wrócił tydzień później z zapasami: plastikowymi woreczkami, sklejką, nasionami, jedzeniem w puszkach i suchym, wielkimi torbami brązowego cukru i soli, nowym radiem i akumulatorami, westernami z Lousem L'Amourem dla ojca, nowym śpiworem i niespodzianką – czekoladowymi lodami dla Roya. Pojawienie się hydroplanu dawało wrażenie, że wcale nie są tak bardzo daleko, jakby jakieś miasto albo inni ludzie jak Tom znajdowali się tuż za cyplem. Roy się zrelaksował, czuł się szczęśliwy i bezpieczny i dopiero kiedy ryknął silnik i samolot zaczął startować, zrozumiał, że to uczucie zaraz minie. A patrząc, jak Tom odlatuje, zrozumiał, że zaczyna od nowa, że znów minie miesiąc albo dwa, a może więcej, i przypomniał sobie również, że zamierzali wyjechać przynajmniej na tydzień pod koniec lata, czyli teraz. Taki był plan, ale z jakiegoś powodu go nie zrealizowali.

Nie miał jednak zbyt wiele czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Razem z ojcem byli coraz bardziej zajęci. Wstawali wcześniej, ale i tak pracowali często jeszcze po zmroku. Góry zmieniały się szybko, robiły się fioletowe i żółte, i czerwone, w wieczornym świetle zdawały się łagodnieć, powietrze z każdym dniem stawało się zimniejsze, bardziej przejrzyste i rzadsze, aż Roy i jego ojciec musieli opatulać się w kurtki i czapki, kiedy łowili łososie, rąbali drewno na zapas i upychali je za ściankami ze sklejki. Byli swobodni, zajęci, nie myśleli o niczym, pracowali wspólnie, gromadząc zapasy. Roy spał. Jeśli ojciec płakał, to Roy o tym nie wiedział i przynajmniej przez jakiś czas się tym nie przejmował, może dlatego, że teraz nie mógł wyjechać, zobowiązał się zostać tu z ojcem, bez względu na to, czy ten czuł się dobrze, czy źle.

Wieczorami zaczęli się uczyć, w pierwszym tygodniu tylko dwa lub trzy wieczory. Roy czytał *Moby Dicka*, a ojciec Louisa L'Amoura. Roy odpowiadał na szczegółowe, upierdliwe i pozornie niemające znaczenia pytania o fabułę, a ojciec mówił: No, to był prawdziwy western. Po tygodniu zrozumieli, że nie mają po prostu czasu przy tylu zadaniach, odłożyli więc czytanie i wrócili do rąbania drewna, wędzenia ryb i polowania pełną parą.

Polowali teraz na wszystko, co się pojawiło i co mogli uwędzić. Kilka kilometrów w głąb bagnistej równiny, gdzie strumień wzbierał przed ujściem do oceanu, zastrzelili samicę łosia. Była sama, patrzyła na nich, przeżuwała, kędzierzawe futro miała ciemne i mokre, obaj strzelili i natychmiast padła, jakby uderzył ją wielki kamień. Ojciec zanosił ją po kawałku do chaty, a Roy pilnował wtedy reszty, z nabojem w komorze,

rozglądając się wokół, bo robiło się ciemno, szukając czerwonych oczu niedźwiedzi i tego wszystkiego, o czym wyobraźnia bała się choćby pomyśleć.

Łowili łososie na kilogramy, jak obiecał ojciec, długimi sznurami, które ciągnęli do chaty, otwarte pyski ryb wciąż łapały powietrze, ciała pod koniec sezonu były już niemal czerwone i drżały na ładzie. Łapali tyle, ile byli w stanie oczyścić, pociąć i uwędzić: różowe, czerwone i białe mięso czawycz, nerek, garbusów i ket.

Zastrzelili kozła śnieżnego, który zszedł na brzeg, a Roy podziwiał, jak krew na białej sierści najpierw jest bardzo czerwona, potem bardzo czarna. Zrobiło się już tak zimno, że kiedy oprawiali zwierzę, z wnętrzości unosiła się para. Następnego ranka na szczytach gór pojawił się śnieg, jakby duch białego zwierzęcia uniósł się na wierzchołki, a w ciągu tygodnia śnieg leżał już w połowie drogi do chaty i został tam, spokojny, nieruchomy i jasny, przez całe popołudnie.

Zabrali się do pracy nad spiżarnią. Jej rogi się zaokrągliły, a ziemia przy ścianach zapadła. Wykopywali ją łopata po łopacie, wyrównali narożniki i znów pogłębili dół aż do skały, później Roy podawał ojcu paliki, tym razem połączone sznurkiem i zbite gwoździami. Ułożyli z palików dach, połączyli je i przybili wzdłuż krawędzi dwudziestocentymetrowymi gwoździami, które wchodziły głęboko w drewno, potem zrobili klapę i umieścili ją nad nierówną dziurą na górze, cofnęli się i podziwiali swoją pracę.

Dobrze wygląda, powiedział Roy.

Jest gotowa na zapasy.

W mniejszym pokoju w chacie mieli już mnóstwo suszonej i wędzonej ryby oraz mięsa dokładnie zapakowanego w plastikowe woreczki, które umieścili w większych workach na śmieci. Zaczęli wczesnym rankiem, żeby skończyć zakopywanie przed zmrokiem i nie musieć pilnować spiżarni przez noc. Ojciec ułożył w środku wszystkie worki obok siebie, razem z dużym stosem jedzenia w puszkach, które przywiózł hydroplan, na wypadek gdyby wędzona ryba i mięso jednak się zepsuły, na koniec przybił gwoździami klapę.

Mam nadzieję, że się utrzyma, powiedział.

Oby, powiedział Roy, a ojciec się uśmiechnął.

Zakopmy to i zapomnijmy.

Na wierzchu położyli grubą warstwę zimnego popiołu, który wyjęli z pieca, żeby maskował zapach, na to warstwę kamieni, na to ziemię, aż powstało duże wzniesienie, które gdy osiadzie, powinno być równe z gruntem. Dołożyli jeszcze jedną warstwę kamieni i jeszcze jedną warstwę popiołu.

Nie wiem, czy tak się to robi, powiedział ojciec, ale wydaje się, że powinno zadziałać.

Łapali jeszcze ostatnie łososie, trochę malm i małych ryb przydennych. Poprzedni plan zakładał, że wybiorą się pontonem także na halibuta, ojciec postanowił jednak oszczędzać łądź i paliwo na wypadek jakiejś awaryjnej sytuacji. Zastrzelili kolejnego kozła śnieżnego. Wędzarnia pracowała non stop, nawet kiedy na chatę spadł pierwszy śnieg, a ich izba również przypominała wędzarnię, w której wszędzie studziły się i czekały na zapakowanie kawałki łososia i malmy, i kura diabła, i ofiodona, i jelenia, i kozła, razem z torebkami i workami na śmieci, które – już pełne – leżały w mniejszym pomieszczeniu.

Co wieczór chodzili spać wyczerpani i Roy nie miał siły nasłuchiwać, czasami więc udawało mu się zapominać, że ojciec nie czuje się dobrze. Zaczął nawet przypuszczać, że ojcu nic nie jest, ale nie myślał o tym ani w taki, ani w inny sposób. Po prostu żył dzień po dniu pełnym różnych zajęć, potem spał i znowu wstawał, a ponieważ pracował razem z ojcem, zakładał, że on przeżywa to samo. Gdyby ktoś go zapytał, jak się czuje ojciec, Roy zirytowałby się takim pytaniem i uznał, że to sprawa zbyt odległa, by się nią przejmować.

Śnieg na razie był niewielki i nie leżał zbyt długo ani zbyt blisko wody, ani nawet powyżej chaty. Nie zakrywali spiżarni. Roy zapytał ojca, czy taka pogoda się utrzyma, bo na to się zapowiadało. Ojciec odchylił głowę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

W Ketchikan śnieg zazwyczaj nie utrzymywał się długo. Ale pamiętam też, że jeździłem w okolicy na nartach, i zasy, i odsnieżanie, i chlapę, w której trzeba było jeździć autem, więc chyba czasami śnieg utrzymywał się i wciąż padał. Czy to nie zabawne, że tak naprawdę nie pamiętam?

Kilka razy dziennie chodzili pod spiżarnię i szukali śladów niedźwiedzia albo innych tropów, ale żadne zwierzę się nie pojawiło. Nieustanne sprawdzanie zaczęło się zdawać dziwne, jakby urósł w nich obu niewytłumaczalny strach przed tym małym kawałkiem ziemi, postanowili więc sprawdzać rzadziej i uwierzyć, że wszystko będzie dobrze, szczególnie że dni robiły się zimniejsze i krótsze. Teraz wieczorami wcześniej kończyli pracę przy drewnie i wędzarni, dlatego znów zaczęli czytać i czasami grali w karty. Grali w binokla, w którego, technicznie rzecz biorąc, nie da się grać zwykłymi kartami, a ojciec chaotycznie opowiadał.

Pamiętasz, jak mówiłem ci o tym, że świat był kiedyś wielkim polem, a ziemia była płaska?

Taa, odparł Roy. I że wszystko poszło w diabły, kiedy poznałeś mamę.

Ależ nie, zaproponował ojciec. Nie to powiedziałem. W każdym razie znowu o tym myślałem i zacząłem też myśleć o tym, czego mi brakuje i dlaczego nie wyznaję żadnej religii, a jednak jej potrzebuję.

Co? – zapytał Roy.

Jestem porąbany, krótko mówiąc. Potrzebuję ożywionego świata i żeby ten świat odnosił się do mnie. Chcę wiedzieć, że kiedy lodowiec się przemieszcza albo niedźwiedź pierdnie, ma to coś wspólnego ze mną. Ale też nie wierzę w to całe gówno, choć powinienem.

Co mama ma z tym wspólnego?

Nie wiem. Rozpraszasz mnie.

Skończyli rozdanie i poszli spać. Ale Roy wciąż myślał o gadaniu ojca, który teraz wydawał mu się jakimś dziwnym ojcem. Chodziło głównie o ton jego głosu, jakby stworzenie świata równało się Wielkiej Klapie. Jednak zbyt wiele o tym nie myślał. Tak naprawdę chciał tylko spać.

Śnieg leżał już niżej, przestali łowić i wędzić, i rąbać.

I tak mamy dosyć zapasów, powiedział ojciec. Teraz pora usiąść i się zrelaksować. Miną pewnie jakieś dwa tygodnie, zanim oszaleję.

Co?

Żartuję, powiedział ojciec. To był żart.

Czytali przy świetle lamp naftowych i wciąż dokładali do pieca. Roy miał tutaj takie

same problemy ze skoncentrowaniem się na zadaniach domowych jak w każdym innym miejscu, dlatego większość długich godzin nauki spędzał na przyglądaniu się drgającym cieniom na drewnianych ścianach i czekaniu na następny posiłek. To było najpyszniejsze i najbardziej wyczekiwane jedzenie, jakiego kiedykolwiek próbował: wędzone ryby i mięso z ryżem i warzywami z puszki. Ojciec czytał, wzdychał i zapadał w długie drzemki.

Wciąż chodzili na wędrowniki i zabierali strzelby, ale śnieg gęstniał i robiło się to coraz trudniejsze, więc gdy Roy się uczył, ojciec robił rakiety śnieżne. Wykorzystał świeże gałęzie i kawałki skóry łosia, którą posolili i zostawili do wyschnięcia. Na zewnątrz padał śnieg, czasami wiało i padał deszcz, a ojciec pochylał się nad tymi raketami, zupełnie jak dentysta, którym przecież był, zszywał je starannie i oceniał badawczymi palcami.

Zrobione, powiedział w końcu w ten swój specyficzny sposób. Skończyłem. Idziemy w śnieg, mój synu.

Ale dopiero co padał deszcz, zauważył Roy.

No tak, racja. Dobrze, w takim razie poczekamy, aż znów spadnie śnieg, i ruszymy. Tymczasem jednak muszę iść pochodzić, zanim zeschnę się tutaj na wiór.

Ja też, powiedział Roy, poszli więc przejść się wzdłuż brzegu. Dzień był pochmurny i mżyło, fale niezauważalne, wody przewalające się i unoszące. Szli bardziej stromą częścią wybrzeża, którą rzadko chodzili, wokół przeciwległego przylądka i jeszcze dalej, w milczeniu, dopóki ojciec nie powiedział: Chyba nie mogę żyć bez kobiet. Nie mówię, że nie jest tu fajnie z tobą, ale po prostu nieustannie tęsknię za kobietami. Nie potrafię przestać o nich myśleć. Nie wiem, o co chodzi. Nie wiem, jak to jest, że czasami tak potwornie za czymś tęsknisz, gdy nie masz tego przy sobie. Jest tu ocean, są góry i drzewa, ale tak naprawdę to drzew tutaj nie ma, jeśli nie różną jakiejś kobiety.

Uhm, mruknął Roy.

Przepraszam, powiedział ojciec. Po prostu głośno myślę. Myślę też, że nie możemy na tak długo zostawiać jedzenia. Jeśli pojawi się jakiś niedźwiedź, mamy przechlapane.

Ojciec wrócił więc do chaty, ale Roy zdecydował, że pójdzie jeszcze kawałek, i choć pomyślał, że spróbuje zastanowić się nad tym, co powiedział ojciec, to tylko patrzył na wodę i na gładkie skały pod butami i o niczym nie myślał.

Kiedy wrócił, ojciec nasłuchiwał radia. Nieustannie rozlegały się w nim piknięcia, po czym jakiś głos podawał godzinę i raport burzowy dla Południowego Pacyfiku, sztormowe wiatry wiały wszędzie. Później kolejny kanał, strzelające dźwięki i jakiś człowiek w tle mówiący o swoim genialnym sprzęcie radiowym, bo zwykle o tym właśnie wszyscy zawsze mówili przez krótkofalówkę, więc ojciec wyłączył radio i zaczął gotować ryż.

Tom wkrótce powinien znowu przylecieć, powiedział.

Tak?

Tak. I trochę myślałem. Chciałbym, żebyśmy zostali tutaj dłużej, ale wiem, że to kiepska zabawa słuchać, jak opowiadam o tych wszystkich rzeczach, o których dzisiaj mówiłem, dlatego jeśli chcesz wrócić do mamy i Tracy, to wróć. W porządku.

Musimy przestać o tym rozmawiać, odparł Roy. Mówiłem już, że zostaję.

Ojciec nie odwrócił się i nie spojrzął na Roya ani razu w trakcie tej rozmowy, a Roy wiedział, że bada jego lojalność, że to test, dodał więc: Nie chcę wyjeżdżać. Zostanę tu

do następnego lata.

W porządku, powiedział ojciec i wciąż stał tyłem do niego.

Tom przyleciał ponownie i powiedział, że niedługo zacznie mocniej padać śnieg. Stał na jednym pływaku, a oni stali na brzegu, jakieś pięć metrów dalej, ale jakby w innym świecie, niedostępnym od strony wody. Nie zawsze będę mógł tu dolecieć, powiedział Tom, szczególnie przy złej pogodzie, i nie będę zaglądał w drodze do innych miejsc, więc jeśli czegoś potrzebujecie, musicie mnie wezwać przez radio.

W porządku, powiedział ojciec. Okej.

Radio działa?

Taa.

Macie też fale ultrakrótkie i na nich powinniście móc złapać każdego, kto będzie przepływał nieopodal, a on może przekazać wiadomość mnie, gdyby wpadły do was na kolację jeszcze jakieś niedźwiedzie. Tom uśmiechnął się szeroko. Był świeżo ogolony, po prysznicu, w czystych ubraniach i zaczynał marznąć na pływaku. Roy zdał sobie sprawę, że w samolocie pewnie jest ogrzewanie.

No to na razie, powiedział Tom. Dobrej zabawy.

Wspiął się do hydroplanu, odpalił silnik i ruszył. Oni machali, silnik zawył i Tom zniknął.

Jesteśmy tutaj, powiedział ojciec. Oto jesteśmy. I dwóch, którzy żyli w dziczy, nie znali występów ludzkości i żyli w czystości.

Mówisz jak w Biblii, tato.

Pokłusujemy w śniegu jak konie i poznamy zimę lepiej niż Królowa Śniegu. Porosty i wyżyny oczyszczą nasze dusze.

Nie wiem, co to znaczy.

To poezja. Twój ojciec jest nieodkrytym małym geniuszem.

Roy się zaśmiał i pomyślał, że minęło sporo czasu. Wszedł za ojcem do chaty.

Kilka dni później rzeczywiście zaczęło mocniej padać, tak jak przewidział Tom, i mogli wypróbować rakiety śnieżne. Choć przeczepione do butów wydawały się nieporęczne, to naprawdę dobrze spełniały swoje zadanie. Wspięli się wysoko na górę i Royowi zdawało się, że poszło im łatwiej niż wcześniej, bo ziemia nie była już nierówna i nie musieli przedzierać się przez zarośla ani sprawdzać ostrożnie, w których miejscach posycie ich utrzyma, a w których nie. Z raketami zapadali się z każdym krokiem tylko na kilka centymetrów, a ścieżka wszędzie była czysta. Było zimno, ale ubrali się w wiele warstw i w miarę wspinaczki kolejne zdejmowali. Dzień był pogodny i słoneczny. Widok rozciągał się poza pobliskie wyspy, ku innym horyzontom, dalej niż kiedykolwiek wcześniej.

Tego większość ludzi nigdy nie zobaczy, powiedział ojciec. Większość nigdy nie trafi tutaj zimą, a już z pewnością mało kto może patrzeć z własnej góry w słoneczny dzień. Jesteśmy szczęściarzami.

Wspięli się na sam szczyt i stanęli na skałach, i wciąż było pogodnie. Widzieli stąd całą swoją wyspę i ani śladu innego człowieka, tylko białe góry i rosnące poniżej ciemniejsze drzewa.

Ojciec rozłożył ręce i zawył.

Roy zamarł i usłyszał echo.

Tak się cieszę, że żyję, powiedział ojciec.

Było jeszcze wcześniej, zeszli więc kawałek po drugiej stronie wzniesienia, przeszli na następny łańcuch i tamtędy na kolejny szczyt. I znów wspaniały widok, ale inny.

Tam na dole jest ta dolina, w której zabiłem niedźwiedzia, powiedział ojciec.

No, no. To kawał drogi.

Rzeczywiście.

Okrążyli szczyt, podziwiając widoki.

Gdybyś mógł poprosić o cokolwiek, co by to było? – zapytał ojciec.

Nie wiem, powiedział Roy.

Nie pozwalasz, żeby to pytanie przesączyło ci się do kości, mój chłopcze. Co by to było? Jakie masz marzenie?

Roy zastanawiał się, ale nic mu nie przyszło do głowy. Chyba próbował tylko przetrwać to jedno marzenie ojca, innych marzeń nie miał. Ale w końcu powiedział: Wielka łódź, którą mógłbym popłynąć na Hawaje, a potem może dokoła świata.

A, powiedział ojciec. To dobre marzenie.

A ty?

A ja. A ja. Wiele rzeczy. Dobre małżeństwo i żebym nie zepsuł tych dwóch, które miałem, i żebym nie był dentystą, i żeby nie ściagała mnie skarbówka, a potem może żeby mieć syna takiego jak ty i może dużą łódź.

I wtedy uściskał Roya, co go zupełnie zaskoczyło. Czuł się zawstydzony, kiedy ojciec go w końcu puścił. Ojciec zaraz się rozpłaczę, wiedział to.

Ale na szczęście ojciec tylko się odwrócił i ruszył w dół zbocza. Szli dalej, nie rozmawiając, a kiedy schodzili do chaty, tamto okropne uczucie zamknięcia zniknęło i Roy zapytał: Kto zjadł moją owsiankę? Kto spał w moim łóżeczku?

Ojciec się zaśmiał. Czas na spiżarnię, bez dwóch zdań.

Zdjęli rakiety i weszli do chaty, rozpalili w piecu i ojciec powiedział: Wiesz, myślałem o tym, co powiedziałaś, że przecież zostajesz, i masz rację. Nie muszę źle się czuć i przepraszać za każde słowo. Mogę ci zaufać, że z różnymi rzeczami sobie poradzisz. Przecież ja też nigdy nie będę idealny i bezproblemowy, a chcę móc z tobą rozmawiać i chcę, żebyś mnie poznał, więc przestanę tak ciągle przepraszać.

To chyba dobrze, powiedział Roy.

Dzięki, powiedział ojciec.

Potem Roy uczył się z podręcznika do historii, myśląc o tym, że z matką nigdy nie prowadził takich dziwnych rozmów i że za nią tęskni. Razem z jego siostrą pewnie jedzą teraz kolację, słuchają tej samej muzyki klasycznej, cokolwiek to było, której zawsze słuchały, mama pyta Tracy o różne rzeczy i Tracy jej opowiada. Ale ojciec też chyba lepiej sobie radził, a to dobrze, Roy czytał więc dalej o gilotynie i próbował zapomnieć o domu.

Jeszcze kilka rzeczy, powiedział ojciec. Myślałem o Rhodzie, że może jeszcze udałoby mi się naprawić ten związek. Mam bardziej pozytywne nastawienie. Wydaje mi się, że mógłbym być bardziej troskliwy, jak chciała, i spełniać obietnice, i nie okłamywać jej. Teraz chyba mógłbym to zrobić. Nie chcę, żeby to zabrzmiało jak zdobywanie odznaki za odwagę czy zadania, które można odhaczyć, ale sądzę, że teraz spisałbym się lepiej. Może połączę się z centralą na krótkich.

Dobry pomysł, powiedział Roy. I czytał dalej. „Ludzie bali się siebie nawzajem niczym banda przyłapanych kryminalistów, każdy się zastanawiał, kto się odezwie

i zdradzi drugiego, jakby trzymali nawzajem noże przy swoich plecach”. Wyglądało na to, że z tego podręcznika płynęło niewiele konkretnych informacji. Podobno to książka do historii. Czy nie powinny się w niej znaleźć jakieś fakty?

Do późnego wieczora grali w karty i ojciec wygrywał wszystkie rozdania.

Los zaczął mi sprzyjać, powiedział. Jestem nowym człowiekiem odrodzonym z popiołów. Mam skrzydła orła i uniosę się wysoko ponad ziemię.

Jezu, powiedział Roy.

Ojciec się zaśmiał. No dobra, to już przesada.

Z raketami na butach odkrywali coraz dalsze rejony wyspy, najpierw tylko w pogodne dni, następnie także w pochmurne, a nawet śnieżne. Zapuszczali się dalej i dalej, aż któregoś popołudnia stracili całkiem widoczność z powodu zadymki, a byli przynajmniej cztery, pięć godzin marszu od chaty.

Hm, powiedział ojciec. Stał ledwie kilka metrów od Roya, ale ten i tak z trudem dostrzegał kurtkę, kaptur i szalik owinięty wokół twarzy ojca. Ojciec wydawał się cieniem, który może być, ale może go i nie być. Powiedział coś jeszcze, ale przez wiatr Roy nie dosłyszał co. Wrzasnął, że nie słyszy.

Powiedziałem, że spartoliłem sprawę, wrzasnął ojciec.

Świetnie, powiedział Roy, ale tylko on się słyszał.

Ojciec podszedł bliżej, opierając się o Roya. Mamy różne możliwości. Słyszysz mnie? Taa.

Możemy wrócić i próbować znaleźć chatę przed zmierzchem, ale nie wiem, czy nam się uda, i zmarzniemy albo utkniemy w zaspie. Możemy też wykorzystać resztkę dnia i energii, które nam zostały, i zbudować jaskinię w śniegu, i mieć nadzieję, że jutro się rozpogodzi. Nic nie zjemy, ale będziemy bezpieczni.

Jaskinia śnieżna fajnie brzmi, wrzasnął Roy.

To nie ma być fajne, powiedział ojciec.

Wiem, wrzasnął Roy.

Och, przepraszam.

Później ojciec się odwrócił i Roy musiał iść blisko, żeby się nie zgubić. Doszli do kępy cedrów i za drzewami, gdzie śnieg był gęsty, zaczęli wkopywać się w bok zasy. Schowali się już przed wiatrem i Roy zaczął słyszeć ciężki oddech ojca.

A jeśli się zapadnie? – zapytał.

Miejmy nadzieję, że się nie zapadnie. Nigdy nie kopałem niczego podobnego, ale wiem, że ludzie czasami coś takiego robią.

Kopali w dół, aż dotarli do ziemi, wtedy powiększali jamę od środka, pod złym kątem.

Nigdy nie uda nam się tu przespać, powiedział ojciec.

Przesunęli się więc trochę i wykopali mniejsze wejście niżej, i ojciec położył się na brzuchu, żeby kopać od środka, dopóki górna warstwa się na niego nie zapadła i wystawały tylko stopy. Roy rzucił się na śnieg i szaleńczo kopał, żeby wydobyć ojca, aż ten w końcu się wycofał, wstał i powiedział: Cholera.

Stali tak, ciężko dysząc, słuchając wiatru i czując, jak robi się jeszcze zimniej.

Jakieś pomysły? – zapytał ojciec.

Nie wiesz, jak to zbudować?

Dlatego pytam.

Może potrzebujemy głębszego śniegu, powiedział Roy. Może w tym, co tu jest, nie da się wykopać jaskini.

Ojciec przez chwilę się zastanawiał. Wiesz, powiedział w końcu, możesz mieć rację. Chyba wrócimy do chaty. Choć to głupi pomysł, to żadnego innego nie mam. A ty?

Nie.

Ruszyli więc po zboczu, znowu wystawieni na wiatr. Roy szedł z trudem, próbując nadążyć za ojcem. Wiedział, że jeśli straci go z oczu choćby na minutę, to ojciec nigdy nie usłyszy jego krzyków, a on się zgubi i nie znajdzie drogi powrotnej. Patrzył na poruszający się przed nim ciemny cień i miał wrażenie, że to właśnie czuł od dłuższego czasu, że ojciec jest czymś niematerialnym, co idzie przed nim, i jeśli Roy odwróci na moment wzrok albo zapomni, albo nie będzie szedł wystarczająco szybko, to ojciec zniknie, jakby tylko wola Roya utrzymywała go na miejscu. Roy był coraz bardziej przestraszony i zmęczony, nie miał siły iść dalej i zaczął się nad sobą litować: To dla mnie za dużo. Nie dam rady.

Kiedy ojciec w końcu się zatrzymał, Roy wpadł na jego plecy.

Przeszliśmy już zbocze. Chyba musimy iść dalej i przejść jeszcze jedno, wtedy dojdziemy. Szkoda, że nie wiem, która godzina. Wydaje mi się, że jeszcze jest dzień, ale nie da się powiedzieć, ile go zostało.

Przez chwilę stali i odpoczywali, po czym ojciec zapytał: Dajesz radę?

Jestem zmęczony, odparł Roy. I mam dreszcze.

Ojciec zdjął szalik i Roy myślał, że go dostanie, ale zamiast tego ojciec obwiązał szalikiem jego rękę i swoją. To hipotermia, powiedział. Musimy iść dalej. Nie możesz poddać się zmęczeniu i nie możesz zasnąć. Musimy się ruszać.

Szli więc dalej i kroki Roya stawały się coraz lżejsze, a czas między nimi był coraz dłuższy. Wspominał, jak jeździł z Fairbanks do Anchorage na pace samochodu ojca, na ułożonych tam śpiworach, a droga kołysała go i kołysała. Jego siostra również tam była, w śpiworze, i zatrzymali się w przydrożnej knajpie, gdzie zjedli gigantyczne hamburgery i największe naleśniki, jakie Roy w życiu widział.

Półprzytomnie zarejestrował zmrok a potem dzień, i mocne uderzenie, i budzenie się, i znowu kołysanie, a potem, kiedy się obudził, był już w chacie, w ciemności, leżał w śpiworze, ojciec leżał za nim, i czuł, że obaj są nadzy, czuł na swoich plecach włosy na piersi i nogach ojca. Bał się poruszyć, ale wstał, znalazł latarkę i poświecił na ojca, który leżał w śpiworze skulony, na boku, miał ciemny czubek nosa i coś było nie tak z jego skórą. Roy włożył szybko suche ubrania, ponieważ było bardzo zimno. Dołożył drewna do pieca, rozpalił, owinął ojca śpiworem, znalazł swój, wszedł do niego i pocierał dłonie i stopy, aż wystarczająco się rozgrzał, i znowu zasnął.

Kiedy się obudził, było już jasno, ciepło biło od pieca, a ojciec siedział na krześle i mu się przyglądał.

Jak się czujesz? – zapytał.

Bardzo chce mi się jeść i pić, odparł Roy.

Minęły dwa dni, powiedział ojciec.

Co?

Dwa dni. Wróciliśmy tutaj dopiero następnego dnia, później spaliśmy kolejną noc. Na piecu masz gorące jedzenie.

Zupa, grochówka, ale Roy był w stanie zjeść tylko małą miseczkę z kilkoma krakersami i poczuł się pełny, choć wiedział, że wciąż jest głodny.

Apetyt ci wróci, powiedział ojciec. Musisz trochę poczekać.

Co ci się stało w twarz?

To tylko drobne odmrożenie. Trochę mnie spaliło. Nie bardzo czuję czubek nosa.

Roy zastanawiał się przez chwilę, czy twarz ojca wygoi się całkowicie, ale bał się o to zapytać, powiedział więc w końcu: Niewiele brakowało, a by się nie udało, co nie?

Zgadza się. Przesadziłem. Niemal zabiłem nas obu.

Roy nie powiedział już nic więcej, ojciec również. Przez cały dzień jedli, dokładali do pieca i czytali. Poszli wcześniej spać, a kiedy Roy czekał na nadejście snu, nie czuł ani odrobiny ekstazy, którą jak sobie dotąd wyobrażał, mogli odczuwać ludzie, gdy udało im się umknąć śmierci. Czuł się tylko bardzo zmęczony i trochę smutny, jakby coś stracił tam, na zewnątrz.

Rano ojciec spędził ponad godzinę przy radiostacji, zanim udało mu się dodzwonić do Rhody, ale odezwała się tylko automatyczna sekretarka.

O, powiedział do mikrofonu. Miałem nadzieję, że uda mi się z tobą porozmawiać. To głupio zabrzmiało powiedziane do automatu, ale wydaje mi się, że chyba trochę się tutaj zmieniłem i może lepiej bym sobie teraz poradził. To wszystko. Chciałem z tobą porozmawiać. Spróbuję jeszcze kiedy indziej.

Gdy wyłączył radio, Roy zapytał: Czy gdyby udało ci się z nią porozmawiać i powiedziałyby, że możesz wrócić, to wyjechałbyś stąd od razu, żeby z nią być?

Ojciec pokręcił głową. Nie wiem. Nie wiem, co robię. Po prostu za nią tęsknię.

Spędzili w chacie kolejny dzień, czytając i jedząc, i ogrzewając się, i nie rozmawiając zbyt wiele. W końcu zagrali we dwóch w kierki dla czterech osób, co wyszło kiepsko.

Myślałem o Rhodzie, powiedział ojciec. Kiedyś poznasz może kobietę, która nie do końca będzie dla ciebie miła, ale przypomni ci, kim jesteś. Jej się nie da oszukać, rozumiesz?

Roy oczywiście nic nie rozumiał. Nigdy nie miał dziewczyny, może poza Paige Cummings, która mu się podobała przez trzy lata, i Charlotte, którą raz kiedyś pocałował, ale teraz lepiej chyba znał dziewczyny z pornosów niż jakąkolwiek prawdziwą.

Wieczorem, kiedy skończyli grać w karty, a Roy zmywał naczynia, ojciec znowu zadzwonił. Tym razem się połączył.

Co ty sobie myślisz, Jim? – zapytała Rhoda. Od kilku miesięcy w ogóle cię tu nie ma i wydaje ci się, że się zmieniłeś, ale jak to będzie, kiedy znowu znajdziesz się w tych samych sytuacjach, z tymi samymi ludźmi?

Roy poczuł się zażenowany. Przez radio nie można było zachować prywatności. Wytarł więc ręce, włożył buty, a ojciec w tym czasie się jąkał, czekając, aż on wyjdzie na zewnątrz.

I wtedy Roy wyszedł z chaty po raz pierwszy od czterech dni, zapadając się w zaspę po kolana, i ruszył w stronę brzegu. Bliżej wody nie było lodu ani śniegu. Nie było tam chyba wystarczająco zimno albo sól wszystko roztopiała. Podnosił kamienie i rzucał nimi w cienkie tafle lodu na strumieniu, rozbijając je jak szyby samochodowe. Nie wiedział, jak długo powinien tutaj zostać, ale domyślał się, że raczej długo. Minął

ujście strumienia i zszedł niżej, trzymając się blisko brzegu, z dala od głębokiego śniegu, i zastanawiał się, czy w zatoce są teraz jakieś ryby. Pewnie musiały być, przecież nie miały dokąd popłynąć, ale Roy nie miał pojęcia, jak udawało im się przeżyć. Rozmyślał również, co razem z ojcem robią w tym miejscu zimą. Dosyć głupi pomysł.

Kiedy ojciec zapytał matkę, czy Roy może tu przyjechać, nie odpowiedziała ani nie pozwoliła synowi odebrać sobie słuchawki. Rozłączyła się, przekazała mu prośbę ojca i powiedziała, żeby się zastanowił. Odczekała kilka dni i przy kolacji zapytała, czy chce jechać. Roy pamiętał, jak wtedy wyglądała: włosy miała spięte z tyłu, nie zdjęła fartucha. To przypominało jakąś ceremonię, nie był przyzwyczajony do takich poważnych sytuacji. Nawet jego młodsza siostra Tracy milczała i tylko patrzyła. Do teraz pielęgnował to wspomnienie. Czuł wtedy, że sam decyduje o swojej przyszłości, choć wiedział, że matka pragnie, żeby odmówił, i wiedziała, że to zrobi.

I właśnie tak odpowiedział tamtego wieczoru.

Dlaczego? – zapytała.

Nie chcę stąd wyjeżdżać, zostawiać przyjaciół.

Wciąż spokojnie jadła zupę. Lekko skinęła głową, nic więcej.

A ty co myślisz?

Myślę, że odpowiadasz tak, jak ci się zdaje, że chcę, żebyś odpowiedział. Ale proszę, zastanów się jeszcze, a jeśli znowu odpowiesz, że nie, to w porządku, i oczywiście musisz wiedzieć, że ja i Tracy chciałobyśmy cię mieć tutaj i będę tęsknić, jeśli pojedziesz. Chcę jednak, żebyś podjął dobrą decyzję, a wydaje mi się, że jeszcze jej nie przemyślałeś. Cokolwiek postanowisz, musisz mieć pewność, że to najlepsze dla ciebie w danej chwili, bez względu na to, co wydarzy się później.

Mówiąc to, nie patrzyła na niego. Mówiła tak, jakby wiedziała, co wydarzy się później, jakby znała przyszłość, a przyszłość, którą Roy wtedy widział, to ojciec, który popełnia samobójstwo, sam w Fairbanks, i on, Roy, który go porzucił.

Nie jedź, powiedziała Tracy. Nie chcę, żebyś jechał. A potem pobiegła do swojego pokoju i płakała, dopóki matka nie przysłała jej pocieszyć.

Roy zastanawiał się przez kilka następných dni. Wyobrażał sobie, jak pomaga ojcu, jak wywołuje u niego uśmiech, jak we dwóch chodzą na piesze wycieczki, łowią ryby i spacerują po lodowcu w pięknym słońcu. Już tęsknił za matką, siostrą i przyjaciółmi, ale czuł, że to nieunikniony wybór, że tak naprawdę nie ma wyjścia.

Kiedy kilka wieczorów później przy kolacji matka zapytała go znowu, powiedział: Tak, chciałbym pojechać.

Matka nie odpowiedziała. Odłożyła widelec i wzięła kilka głębokich wdechów. Dostrzegł, że drży jej ręka. Siostra znowu uciekła do swojego pokoju i matka musiała iść za nią. Czuł się tak, jakby ktoś umarł. Jeśli wtedy wiedziałby tyle, ile wie teraz, na pewno by nie przyjechał. Ale winił za to matkę, nie ojca. Ona do tego doprowadziła. Roy przecież chciał odmówić.

Rzadkie chmury wisiały wysoko, a księżyc otaczały ogromne białe kręgi. Powietrze było białe, wydawało się niemal zadymione, nawet nad cieśniną. Nie wiało, panowała właściwie całkowita cisza, więc Roy zaczął deptać po kamieniach i śniegu, żeby usłyszeć swoje kroki. Gdy zrobiło mu się zimno, powoli wrócił.

Kiedy wszedł do chaty, ojciec siedział na podłodze koło radia, choć było już

wyłączone, i gapił się tępo w podłogę.

No i? – zapytał Roy i zaraz tego pożałował.

Jest z jakimś facetem, z jakimś Steve'em, powiedział ojciec. Chcą razem zamieszkać.

Przykro mi.

W porządku. To i tak moja wina.

Niby dlaczego twoja?

Zdradzałem i kłamałem, i byłem samolubny, i ślepy, i głupi, i nie doceniałem jej i, no cóż, pewnie są jeszcze inne rzeczy, ogólne rozczarowanie, a teraz zostałem na lodzie i to moja wina. Najważniejsze jednak chyba jest to, że nigdy mnie przy niej nie było, kiedy przechodziła przez to wszystko z rodzicami. Chyba wydawało mi się, że to za dużo. I chyba zostawiłem ją z tym wszystkim, żeby radziła sobie sama. To znaczy, myślałem, że rodzina jej pomoże, no wiesz.

Rhoda straciła oboje rodziców dziesięć miesięcy wcześniej w wyniku morderstwa połączonego z samobójstwem. Roy nie wiedział wiele, tylko tyle, że jej matka zastrzeliła męża ze strzelby i siebie z pistoletu, później zaś Rhoda dowiedziała się także, że matka usunęła ją z testamentu. Roy nie rozumiał do końca, o co chodziło w tej ostatniej części, ale to był element czegoś zbyt okropnego, żeby o tym myśleć.

Uznała wtedy, że ją porzuciłem, powiedział ojciec.

Może sytuacja się zmieni, powiedział Roy tylko po to, żeby coś powiedzieć.

Na to liczę, powiedział ojciec.

Następnego dnia nadciągnęła wielka burza. Brzmiała tak, jakby woda całymi płachtami uderzała o dach i ściany, mocna jak ogromna rzeka, a nie zwykły deszcz. Przez okna nie widzieli nic oprócz wody i gradu, i od czasu do czasu śniegu, który siekł pod różnymi kątami. W piecu trzeba było już palić na okrągło, a ojciec wybiegł tylko na kilka minut, żeby przynieść drewno. Trzy razy chodził tam i z powrotem aż wrócił zmarznięty, przeklinając, ułożył drewno i jedzenie w drugim pokoju, a potem stał przy piecu, żeby się wysuszyć i ogrzać.

Wije tak, jakby świat miał się skończyć, powiedział. Jakby ktoś chciał wymazać czas z kalendarza.

Od czasu do czasu cała chata się trzęsła, a ściany zdawały się poruszać.

Chyba nie zwieje dachu czy coś, prawda? – zapytał Roy.

Nie, odparł ojciec. Twój tata nie kupiłby chaty ze zdejmowanym dachem.

To dobrze, powiedział Roy.

Ojciec znów włączył radio.

Szybko to załatwię, powiedział. Chcę jej tylko powiedzieć kilka rzeczy. Nie musisz wychodzić na dwór oczywiście.

W czasie burzy nie mógł jednak znaleźć sygnału i w końcu się poddał.

To jedna z tych rzeczy, w które ona nie uwierzy, powiedział. Próbowałem do niej zadzwonić, ale burza mi to uniemożliwiła. Koniec końców, po prostu się nie dodzwoniłem, a burza się nie liczy.

Może nie o to chodzi, powiedział Roy.

Co masz na myśli?

Nie wiem.

Posłuchaj, mówił ojciec. Męczyzna jest tylko dodatkiem do kobiety. Kobieta

stanowi całość i nie potrzebuje mężczyzny. Ale mężczyzna potrzebuje kobiety. Dlatego to ona rządzi. Dlatego zasady nie mają znaczenia i wciąż się zmieniają. Nie ustalają ich dwie strony.

Nie wiem, czy to prawda, powiedział Roy.

Bo dorastasz z matką i siostrą, beze mnie w pobliżu. Jesteś tak przyzwyczajony do kobiecych zasad, że mają dla ciebie sens. Pod pewnym względem to ci ułatwi sprawy, ale oznacza również, że niektórych kwestii możesz nie widzieć dość jasno.

Ja nie miałem przecież wyboru.

Widzisz? To jedna z zasad. Próbowałem coś ci pokazać, a ty odwróciłeś to tak, że bym poczuł się źle, że bym poczuł się tak, jakbym nie dopełnił swoich obowiązków, nie przestrzegał zasad i nie był dobrym ojcem.

Cóż, może nie jesteś. Royowi zbierało się na płacz, a bardzo tego nie chciał.

No widzisz? Znasz tylko babskie sposoby na kłótnie. Wypłakiwać sobie oczy do cholery.

Jezu, powiedział Roy.

Nieważne, powiedział ojciec. Muszę stąd wyjść. Nawet jeśli tam wieje ten pieprzony huragan. Idę się przejść.

Kiedy ojciec wkładał kurtkę, Roy patrzył w ścianę, próbując powstrzymać płacz, ale to wszystko wydawało się tak cholernie niesprawiedliwe i niespodziewane, że nie mógł przestać. Wciąż płakał po wyjściu ojca, zaczął też mówić na głos. Pieprzyć go, powiedział. Kurwa mać, wal się, tato. Wal się. Później płakał coraz bardziej i wydawał dziwne piszczące dźwięki, próbując zdusić łzy. Przestań płakać, kurwa, powiedział.

W końcu naprawdę przestał, umył twarz, dołożył do pieca, wsunął się do śpiwora i czytał. Ojciec wrócił dopiero po kilku godzinach. Zatupał na ganku, wszedł do domu, zdjął kurtkę, podszedł do pieca i przygotował kolację.

Roy słuchał dźwięków dobiegających z kuchni, zawrota wiatru i odgłosów deszczu smagającego ściany. Pomyślał, że mogłoby tak zostać, żeby nie rozmawiali, i tak może nawet byłoby łatwiej.

Jedzenie, powiedział ojciec, stawiając talerze na karcianym stoliku na środku pokoju. Roy wstał i zjedli, nie patrząc na siebie i nic nie mówiąc. Przeżywali tylko makaron z tuńczykiem z pudełka i kurem diabłem, słuchając ścian. Potem ojciec powiedział: Pozmywaj.

Dobrze.

I nie będę przepraszał, powiedział ojciec. Za często to robię.

Dobrze.

Burza trwała jeszcze pięć dni, dni czekania, rzadkich rozmów i poczucia uwięzienia. Od czasu do czasu Roy albo ojciec wychodzili na krótki spacer lub po drewno, ale przez większość czasu tylko czytali i jedli, i czekali, ojciec próbował dodzwonić się do Rhody na krótkich albo ultrakrótkich, ale mu się nie udało.

Wystarczyłoby mi z nią przez kilka minut porozmawiać, mówił ojciec. Co to gównie jest warte, skoro nie można z niego skorzystać przy złej pogodzie? Czy sytuacje awaryjne mogą się zdarzać wyłącznie w pogodne dni?

Roy chciał powiedzieć: Dobrze, że jeszcze nie potrzebowaliśmy radia, żeby znowu zacząć rozmawiać, ale bał się, że ojciec zrozumie to jak komentarz do jego tęsknoty za

Rhoda, więc postanowił milczeć.

Kiedy ojcu w końcu udało się znowu połączyć, burza niemal ucichła. Roy wyszedł na lekki deszcz i ziemię tak mokną, że miał wrażenie, jakby chodził po gąbce. Z drzew kapało, wielkie krople spadały na kaptur i ramiona sztormiaka. Zastanawiał się, kim naprawdę jest Rhoda. Oczywiście spędził z nią dużo czasu, kiedy była żoną ojca. Ale miał tylko wspomnienia dziecka. Pamiętał na przykład, jak straszyla, że dziabnie ich w łokcie widelcem, jeśli będą trzymali je na stole przy kolacji, albo jak kiedyś podejrzwał ją w łazience przez szparę w drzwiach. Kilka kłótni między nią a ojcem, ale nic konkretnego. Rozwiedli się dopiero rok temu, kiedy Roy miał dwanaście lat, lecz z jakiegoś powodu teraz wszystko się zmieniło, postrzegał świat inaczej. Jakby trzynaste oznaczało świat inny niż dwanaście. Nie pamiętał, jak wówczas myślał, jak pracował jego mózg, bo wtedy nie zastanawiał się nad pracą mózgu, teraz więc nie mógł pojąć sensu czegokolwiek z tamtego czasu, jakby to były wspomnienia innej osoby. Rhoda mogła zatem być kimkolwiek. Teraz znaczyła dla Roya tyle ile rzecz, którą ojciec musiał mieć, potrzeba, tak jak potrzeba pornografii, pragnienie, od którego ojciec chorował, choć Roy wiedział, że to źle, niewłaściwie tak myśleć, ponieważ ojciec nie chorował przez nią. Sam sobie to robił.

Roy obszedł cypel i usiadł na kłocu wyrzuconego na brzeg drewna, nasiąkniętego i zimnego. Obserwował chmurkę swojego oddechu, patrzył na wodę i dostrzegł nawet niewielką przepływającą łódź, jakieś półtora kilometra od brzegu. Wyjątkowo rzadki widok. Niewielka motorówka z kabiną, wędkarze albo turyści, z dodatkowymi kanistrami paliwa przymocowanymi przy burtach. Roy wstał i pomachał, ale nawet gdyby ktoś odpowiedział, to Roy był za daleko i nie mógłby tego dostrzec. Widział w środku ciemną plamę tam, gdzie stał człowiek albo kilka osób, nie potrafił jednak rozróżnić konkretnych kształtów.

Zastanawiał się, czy to, co ojciec przeżył z Rhoda, przydarzy się i jemu. Choć miał nadzieję, że nie, to jednocześnie wiedział, że w przyszłości pewnie tak będzie. Teraz myślał tylko o tym, że musi coś zrobić, i żałował, że nie jest w ciepłej chacie. Tutaj było po prostu za zimno. Parszywe miejsce.

Po powrocie okazało się, że i tak przyszedł za wcześnie, ale nie wychodził już na dwór. Wystarczająco długo tam siedział.

Wiem o tym, powiedział ojciec. Nie o to mi chodzi. A w ogóle przyszedł Roy. Siedział na dworze.

Przez radio głos Rhody był niewyraźny, zniekształcony. Jim, nie tylko Roy to wszystko słyszy. Każda osoba z krótkofalówką to odbiera.

Masz rację, powiedział ojciec. Ale to mnie nie obchodzi. To jest zbyt ważne.

Co jest ważne, Jim?

Żebyśmy ze sobą porozmawiali, żebyśmy wszystko naprawili.

A jak chcesz to naprawić?

Chcę, żebyśmy byli razem.

Przynajmniej przez pół minuty słuchali trzasków, zanim Rhoda znowu się odezwała.

Przepraszam, że muszę to powiedzieć w obecności Roya i innych osób, Jim, ale my nigdy nie będziemy już razem. Próbowaliśmy już, wiele razy. Musisz mnie posłuchać, posłuchać tego, co mówię. Poznałam kogoś, Jim, i mam nadzieję, że za niego wyjdę. Zresztą on tu nie ma znaczenia. I tak nie bylibyśmy razem. Czasami coś po prostu się

kończy i musimy na to pozwolić.

Roy udawał, że czyta, podczas gdy ojciec siedział schylony przed radiem.

Cholerne radio, powiedział do Rhody. Byłoby inaczej, gdybyśmy teraz byli ze sobą naprawdę, twarzą w twarz. A potem wyłączył radio.

Roy podniósł wzrok. Ojciec kucnął z rękami na kolanach i ze schyloną głową. Zaczął pocierać czoło. Przez długi czas po prostu tak siedział. Roy nie wiedział, co mógłby powiedzieć, dlatego milczał. Zastanawiał się jednak, po co w ogóle tutaj są, skoro wszystko, co ważne dla ojca, jest gdzie indziej. Nie znajdował sensu w tym, że ojciec tu przyjechał. Zaczęło mu się wydawać, że może ojciec po prostu nie potrafił wymyślić żadnego innego, lepszego sposobu na życie. A to był plan zapasowy i Roy stał się częścią ogromnej rozpacz, która mieszkła wszędzie, dokąd przenosił się ojciec.

Po tym dniu nie było już dobrze. Ojciec zamknął się w sobie i Roy czuł się samotny. Ojciec czytał, kiedy pogoda była fatalna, i chodził na samotne spacer, kiedy była tylko kiepska. Rozmawiali wyłącznie zdaniami typu: „Może niedługo zrobimy kolację” albo „Widziałeś moje rękawice?”. Roy przez cały czas przyglądał się ojcu i nie dostrzegał żadnego pęknięcia w skorupie jego rozpacz. Ojciec stał się nieczuły. Któregoś dnia Roy wrócił z samotnego spaceru i zobaczył ojca siedzącego przed radiostacją z pistoletem w dłoni. Było dziwnie cicho, tylko z radia dobiegały ciche buczenie i trzaski.

Jim? – odezwała się Rhoda przez radio. Nie rób mi tego, ty dupku.

Ojciec wyłączył odbiornik i się podniósł. Stał, patrząc na Roya w wejściu do chaty, rozejrzał się po pokoju, jakby jakiś drobiazg go zawstydził i jakby chciał coś powiedzieć. Ale nic nie powiedział. Podszedł do Roya, podał mu pistolet, po czym włożył kurtkę i buty i wyszedł.

Roy patrzył, aż ojciec zniknął między drzewami, potem spojrzął na pistolet w swojej dłoni. Kurek był odciągnięty, w środku widział mosiężny nabój. Zabezpieczył broń, odsuwając lufę od siebie, a potem znów ją odbezpieczył, przystawił sobie lufę do głowy i strzelił.

Część druga

Będąc w lesie, Jim usłyszał strzał, ale nie wiedział, o co chodzi. Przez chwilę zastanawiał się, czy naprawdę go słyszał, później jednak zrozumiał, że tak. Roy odstawił cyrk. Zamierzał strzelać w chacie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Jim szedł dalej. Oby Roy trafił w radiostację.

Mżyło, nadpływała mgła. Drzewa traciły kształty, wyspa wydawała się niezdatna do zamieszkania. Jim szedł dalej, jedynym słyszalnym dźwiękiem był jego oddech, tylko on się poruszał. Nie potrafił myśleć o Rhodzie. Teraz stała się zmysłem, częścią niego, której nie potrafił wystarczająco wyraźnie oddzielić, żeby o niej myśleć. Była tęsknotą i żalem wrośniętym w środek. I naprawdę to zrobiła, odeszła. Jim poczuł, że znów jest bliski płaczu, przyspieszył więc i rytmicznie liczył kroki, razdwatrzycztery razem, pięćsześćsiedemosiem, raz po raz. Szedł tak długo, aż musiał stanąć ze zmęczenia, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem, ale nie miał ochoty dotrzeć na miejsce, szukać kolejnej rzeczy, żeby wypełnić czas. Dni były takie długie.

Kiedy zbliżył się do chaty, zobaczył, że drzwi są uchylone, co go wkurzyło. To było w stylu Roya – wybiec na mały spacer i nie zamknąć drzwi, żeby zamarzli.

Po chwili dotarł do drzwi i spojrzał w dół, i zobaczył swojego syna. Ciało swojego syna, ale nie całkiem jego, ponieważ brakowało głowy. Oderwanej i okaleczonej, czerwonej, z ciemnymi gładkimi włosami. Wszędzie była rozbryźnięta krew. Odsunął się, bo spojrzawszy na podłogę, zobaczył, że depcze po oderwanym kawałku, po fragmencie głowy swojego syna. Odłamku kości.

Stał w miejscu, kołyszając się, patrząc i oddychając. Rozejrzał się po pokoju, ale nie było tu nic innego do zobaczenia, potem musiał usiąść, usiadł więc w drzwiach, niedaleko Roya, a kiedy tylko usłyszał to imię w głowie, zaczął się trząść i wydawało się, że płacze, nie płakał jednak i nie wydawał żadnego dźwięku. Co się tutaj dzieje? – zapytał na głos.

Dotknął kurtki Roya i delikatnie potrząsnął go za ramię. Spojrzał na krew na swojej dłoni, następnie na resztkę głowy, wszystko, co zostało teraz Royowi, i zaczął wyć z głębi siebie.

Wycie nic nie pomogło, tylko się dopełniło, a on był jak aktor we własnym bólu, nie wiedział, kim jest i jaką teraz ma grać rolę. Potrząsnął niezgrabnie rękami w powietrzu i uderzył nimi o uda. Odsunął się dalej od Roya, ale to był kolejny sztuczny gest i nie pomógł. Jim nie wiedział, co robić. Nikt nie patrzył. I choć to nie mógł być jego syn, to wciąż był jego syn.

Część w środku była biała. Wciąż czekał, aż wszystko zrobi się czerwone, ale nie chciało. Wkrótce pojawiły się małe muszki, komary i muchówki, lądowały tam, w głowie jego syna, pełzały i podskakiwały. Odganiał je, ale nie chciał dotykać głowy, a one wciąż przylatywały. Pochylił się i je zdmuchnął, i poczuł smród krwi, złapał za kurtkę Roya i wciągnął go na swoje kolana, odsłaniając teraz kikut z kawałkiem twarzy, szczękę i policzek, i jedno oko, które leżało dołem do podłogi. Spojrzał i wciąż patrzył, i potrząsał nim, i patrzył, kiedy mógł patrzeć i nie oślepiało go dyszenie, i jedyne, o czym potrafił myśleć, sprowadzało się do pytania: „Dlaczego?”.

Przecież to nie miało żadnego sensu. To on się bał, że może sobie to zrobić. Royowi nie było, nigdy mu nic nie było.

Nie, powtarzał wciąż na głos, choć wiedział, że to głupie tak mówić. Cały czas próbował myśleć, bo jeśli tylko przestawał na chwilę myśleć, zaczynał okropnie płakać. Choć nawet tego był świadom. Jakby nie mógł wejść do świata ponownie i działać nieświadomie. Jakby każda myśl, każde uczucie i słowo i wszystko, co widział, było udawane, nawet jego okaleczony syn. Jakby nawet jego martwy syn nie był wystarczająco prawdziwy.

Położył Roya z powrotem na podłodze, spojrzął na krew na rękach, na kurtce i dżinsach, wszędzie krew, więc wstał, zszedł nad wodę i zaczął brodzić. Sapnął z zimna, od razu zdrętwiały mu nogi. Były jak kikuty i przerażenie ogarnęło go ponownie od tego słowa, „kikuty”, i zaczął okropnie szlochać. Chodził w kółko po płyciźnie, pośliznął się i upadł, wynurzył się i wyszedł, trzęsąc się teraz również z zimna, i wrócił do Roya, który wciąż leżał tam martwy, który się nie ruszył. Dopiero co widział go żywego. Nie minęła nawet godzina, odkąd z Royem było wszystko w porządku.

I wtedy Jim poczuł niewytłumaczalny gniew. Wszedł do chaty, podszedł do radiostacji, podniósł ją i walnął nią o podłogę, a potem kopał i kopał, złapał lampę i rzucił ją o ścianę, o którą się rozbiła, wziął krótkofalówkę i nią również rzucił, rzucił torbę wędzonego łososia, która leżała otwarta na stole, kopnięciem przewrócił stół, ale potem przestał, stojąc na środku pokoju, bo minęło ledwie kilka minut, jeśli w ogóle, a niszczenie tego wszystkiego nie pomagało. Nawet go nie interesowało. Wcześniej to było życie, ale teraz stało się niczym.

Jim znowu usiadł przy Royu i patrzył na niego. Był wciąż taki sam, dokładnie taki sam. Jim podniósł magnum z podłogi, na którą upadło. Przystawił lufę do głowy, ale odłożył broń i dziko się zaśmiał. Nawet nie potrafisz się zabić, powiedział na głos. Potrafisz się tylko bawić w samobójstwo. A teraz będziesz świadomy i będziesz myślał o tym w każdej chwili przez następnych pięćdziesiąt lat. Tyle dostaniesz.

A potem się rozpłakał, z żalu nad sobą i z powodu Roya. Był tego świadom i dlatego gardził sobą, ale zdjął mokre ubrania, włożył najcieplejsze, jakie miał, i płakał, tym razem godzinami, i nie było przerwy, nie było końca, i zastanawiał się tylko, czy kiedykolwiek przestanie.

Oczywiście przestał, wieczorem, a Roy wciąż leżał na podłodze i Jim nie wiedział, co z nim zrobić. Zdał sobie sprawę, że będzie musiał coś zrobić, nie może go po prostu tak zostawić na podłodze. Poszedł więc na tył chaty i znalazł łopatę. Słońce już zaszło, zapadał zmierzch, ale Jim i tak odszedł jakieś sto metrów od chaty i zaczął kopać, zauważył jednak, że to za blisko wychodka, a tego nie chciał, wszedł więc głębiej między drzewa, w stronę cypla, i znów zaczął kopać, ale pojawiły się korzenie, dlatego wrócił po siekierę i rąbał, i kopał dalej, aż wykopał dół głęboki na jakiś metr dwadzieścia i dłuższy niż ciało Roya, i znów ta myśl, „ciało Roya”, zaczął płakać, a kiedy w końcu przestał i wrócił do chaty, był środek nocy.

Roy leżał w wejściu, blokując drzwi. Wciąż się nie poruszył. Jim uklęknął, żeby go podnieść, ale to, co zostało z głowy, opadło mokre i zimne na twarz Jima, który zwymiotował i upuścił Roya, a potem chodził w kółko na zewnątrz, powtarzając: Jezu.

Wrócił, znowu podniósł Roya i zaniósł go szybko do grobu, próbował ułożyć go

ostrożnie w dole, ale go upuścił i zawył, i uderzył się, i podskakiwał raz po raz przy krawędzi grobu, ponieważ upuścił swojego syna.

Później dotarło do niego, że nie może tego zrobić, nie może tak po prostu pochować tutaj Roya. Matka chciałaby go zobaczyć. Myśl, że będzie musiał jej powiedzieć, znów go przygniotła i poszedł w las, potykając się ciągle i użalając nad sobą, a kiedy wrócił, robiło się już jaśniej, mimo drzew.

Spierdoliłem, powiedział. Kucał przy dole i się kołysał. Tym razem naprawdę spierdoliłem. A potem znowu przypomniał sobie matkę Roya, Elizabeth. Będzie musiał jej powiedzieć. Będzie musiał powiedzieć jej i innym, ale wiedział, że nie będzie potrafił wyznać wszystkiego. Nie powie, że podał Royowi pistolet. I znów zaczął szlochać bez opamiętania, jakby jakaś zewnętrzna siła rozdzierała jego ciało, chciał, żeby przestała, ale jednocześnie żeby nie przestawała, bo przynajmniej zapełniała jakiś czas, tyle że po dłuższej chwili, kiedy już całkiem wyszło słońce, płacz nagle zamarł i Jim znów stał przy dole, spoglądając w głąb na Roya i zastanawiając się, co zrobić. Matka musi go zobaczyć. Nie można tak po prostu go tu pochować. Będzie chciała urządzić mu pogrzeb i musi wiedzieć, co się wydarzyło. Będzie musiał jej powiedzieć. I Tracy.

Mój Boże, powiedział. Musi powiedzieć Tracy, że jej starszy brat nie żyje. Ona również musi go zobaczyć. Zastanawiał się chwilę, czy jest jakiś sposób, żeby choć trochę poskładać twarz Roya, ale od razu zrozumiał, że to szalona myśl.

Sięgnął do dołu i wyjął z niego Roya, podniósł i zaniósł z powrotem do chaty. Chłopiec był ciężki, zimny i sztywny, dziwnie wygięty od leżenia w grobie i pokryty ziemią. W miejscu głowy była ziemia. Jim nie chciał tam patrzeć, ale wciąż zerkał i się martwił. To będzie źle wyglądać.

Położył syna z powrotem w chacie, w głównym pomieszczeniu, po czym usiadł pod ścianą naprzeciwko i patrzył. Nie wiedział, co zrobić. Wiedział, że wkrótce będzie musiał zdecydować, ale nie miał pojęcia jak.

No dobrze, powiedział w końcu. Muszę im powiedzieć. Muszę zawiadomić jego matkę. Podszedł do radia, ale zobaczył, że je zniszczył, tak samo jak krótkofalówkę. Cholera jasna! – wrzasnął z całych sił i znowu kopnął w sprzęt. A potem znowu zaczął płakać, w środku krzyku. Ten płacz wybuchał znieczeka, miał własną wolę i wcale nie przynosił ulgi, co powinien robić płacz. To był ten okropny rodzaj płaczu, który tylko bolał i sprawiał, że wszystko inne stawało się coraz bardziej nieznośne, choć wypełniał czas i za każdym razem zdawało się, że nie ma końca. Trzeba go było unikać, kiedy więc szloch trochę ustał, Jim poszedł do pontonu, który trzymali za chatą, wrócił jeszcze po pompkę, silnik i kapoki, flary, wiosła, syrenę, pompę zęzową, zapasowy kanister, wszystko, zaniósł to na plażę, potem wyniósł również ponton, napompował go tam, umocował silnik i włożył rzeczy do środka. Potem wrócił po Roya.

Roy wciąż dziwnie opierał się o ścianę, wciąż sztywny. Było widać tę stronę z twarzą, ale skóra zrobiła się cała żółta i niebieskawa jak u wzdętej ryby, aż Jim znowu zwymiotował i chodził w kółko, pragnąc, żeby nigdy nie musiał wracać do chaty, i powtarzał: Tam leży mój syn.

Wrócił, znowu spojrzął na Roya i uciekł wzrokiem, i zastanawiał się, jak go zanieść. Nie mógł go tak po prostu wrzucić do pontonu. Pomyślał o workach na śmieci, ale znowu zaczęło się szlochanie i krzyki: To nie jest jakiś cholerny śmieć. Kiedy się

uspokoił, rozłożył śpiwór i wsunął do niego Roya, zapiął suwak i zaciągnął sznurek na czubku. Przerzucił sobie Roya przez ramię i zaniósł do pontonu.

Okej, powiedział. To się uda. Znajdziemy kogoś, kto nam pomoże. Wrócił do chaty po trochę jedzenia i wodę, ale kiedy tam dotarł, nie pamiętał już, po co przyszedł, więc tylko zamknął drzwi i poszedł do pontonu.

Napompował go zbyt daleko od wody, więc wyjął Roya i kanistry, zaciągnął ponton na brzeg, po czym ponownie załadował kanistry i Roya. Kiedy w końcu odepchnął się od brzegu, było już popołudnie, niezbyt mądrze, pomyślał, ale pociągnął linkę startową i dodał gazu, kiedy silnik zakaszłał, wrzucił bieg i wyruszyli. Woda w zatoce była bardzo spokojna, niebo szare, a powietrze ciężkie i mokre. Próbował wyrównać, ale mieli zbyt duże obciążenie, mijając cypel, zwolnił więc do pięciu czy sześciu węzłów, Jim trzęsący się trochę na wietrze, jego syn zawinięty w śpiwór.

Kiedy minęli cypel, z cieśniny zaczął wiać zimny wiatr, małe fale rozbijały się o ponton i woda chlapała do środka.

Niedobrze, powiedział Jim do syna. Nie postępujemy zbyt mądrze. Płynął jednak dalej i zaczął się zastanawiać, dokąd płynie. Nie wiem, powiedział na głos. Może tam, gdzie są jakieś domy. Ale to ze dwadzieścia mil. Czyli daleko. Musimy trafić na jakąś łódź.

Potem myślał znowu o matce Roya, o jej twarzy, kiedy się dowie, o jej twarzy, kiedy dowiedziała się o wszystkich innych rzeczach, kiedy powiedział jej na przykład, że sypia z Glorią. Kiedy się przeprowadzili i próbowali wszystko naprawić, i przez cały miesiąc udawało mu się być takim, jak chciała, dokładnie trzydzieści dni bycia rozsądnym i czułym i prób niemyślenia o innych kobietach, przyszła do niego do łóżka uśmiechnięta i szczęśliwa, a on chciał tylko, żeby już nigdy więcej go nie dotykała. Powiedział jej, że przez ten miesiąc tylko udawał, że nie był sobą, i jej twarz wtedy, i jej twarz, kiedy powiedzieli dzieciom, że się rozwodzą, i teraz to. Tego nie dało się porównać z niczym. To nie jest coś, powiedział na głos, płacząc, i już nie widział, dokąd płynie, i zaczęli się kręcić po całej cieśninie, i przechylać się, i nabierać wody, dopóki Jim nie zebrał się znowu do kupy.

I Tracy. Znienawidzi go. Na całe życie. Ona i jej matka. Wszyscy. I będą mieli rację. A co powie Rhoda? Będzie wiedziała, czyja to wina.

Pontonem ciężko się sterowało, prąd spychał go z kursu. Jim znowu próbował wyrównać, ale dziób tylko wyskoczył w powietrze i nie chciał opaść, więc znowu dodał gazu. Wszędzie było szaro i zimno, i zupełnie pusto. Żadnych łodzi, domów, nigdzie. Kiedy byli w połowie drogi do następnej wyspy, zrobiło się już późne popołudnie, nie mógł powstrzymać dreszczy i martwił się, że skończy się paliwo i jak będzie wyglądał Roy, kiedy gdzieś dopłyną, i z kim będzie trzeba najpierw porozmawiać.

Dwa razy zatrzymał się, żeby wypompować wodę, i płynął w stronę brzegu, pragnąc już tylko tam dotrzeć i nie martwić się, że dalej dzisiaj nie dopłynęli. Był zmarznięty, zdrętwiał i nie potrafił myśleć. Zastanawiał się: Daleko jeszcze? A potem jego mózg na moment się wyłączał, a potem znów się zastanawiał: Jak daleko do brzegu? Aż w końcu zrozumiał, że wpada w hipotermię i jeśli nie dotrze do brzegu i się nie ogrzeje, będzie źle. Zastanawiał się także, dlaczego nie wziął więcej ubrań, czegoś

do spania i jedzenia. Był głodny.

Kiedy dotarł do brzegu, słońce niemal już zachodziło, Roy był przemoczony, a nikogo nie spotkali. Jim poszedł po drewno, Roy został w pontonie. Jim chciał rozpalić ogień i ułożył patyki, które znalazł, ale wszystkie były mokre, a on nie miał zapalek i się rozplakał. Później wrócił do pontonu, powiedział do Roya: Przepraszam i wyjął go ze śpiwora na plażę, i sam wpełzł do mokrego śpiwora, i próbował się ogrzać, i obudził się w ciemności, i wciąż było zimno, ale wciąż żył. Miałem szczęście, pomyślał, ale potem przypomniał sobie o Royu i wyszedł ze śpiwora, żeby go znaleźć, przestraszony, że Roya coś nadźarło albo zabrało, kiedy go jednak znalazł niedaleko, chłopiec wyglądał raczej tak samo jak przedtem, choć trudno było to stwierdzić na pewno, ponieważ Jim nie miał latarki, a Roy miał tylko pół głowy. To zabrzmiało zabawnie i Jim przelotnie się zaśmiał, ale potem znów zaczął płakać. Och, Roy, powiedział, co my zrobimy?

Jim znów zasnął, a rano zobaczył, że Roya jednak coś podziobało. Mewy kłębiły się niedaleko, więc Jim zaczął w nie rzucać kamieniami, ścigając je tak daleko po plaży, że kiedy wrócił, to już inne mewy dziobały Roya, wykradając jego małe kawałki.

Jim włożył syna z powrotem do śpiwora, zawiązał go i zaniósł do pontonu. Tym razem, powiedział, tym razem kogoś znajdziemy.

W drodze zrobił się głodny, zmarzł i z trudem bronił się przed zaśnięciem. Nie widział domków ani łodzi, mimo to płynął dalej przez fale, próbował się rozglądać i nie myśleć, ale i tak myślał o tym, co powie. Nie wiem, dlaczego to zrobił, wyobrażał sobie rozmowę z Elizabeth. Któregoś popołudnia wróciłem ze spaceru i on tam leżał. Nie było żadnego znaku, wskazówki. Nie przyszło mi do głowy, że mógłby zrobić coś takiego. Później jednak znów się posypał, bo naprawdę nie było żadnego znaku i naprawdę nie przyszło mu do głowy, że Roy mógłby zrobić coś takiego. Roy zawsze był stabilny, pewnie, że trochę się kłócili, ale nie było między nimi źle, nie miał powodu, żeby to zrobić. Niech cię szlag, powiedział na głos. To nie ma sensu, do cholery.

Opływając kolejny przylądek, zobaczył daleko jakąś łódź kierującą się do następnego przesmyku. Zatrzymał silnik i szamocząc się, odpakował flarę, w końcu ją odpalił i trzymał wysoko nad głową, dymiącą na pomarańczowo i płonąca, i śmierdząca siarką, ale łódź, jakaś duża, jakiś wielki jacht z setką cholernych pasażerów, z których choć jeden musiał patrzeć w jego stronę, przepłynęła i zniknęła za horyzontem.

Jim płynął więc dalej wzdłuż wyspy, powoli, może jakieś pięć węzłów, znów walczył z prądem i zastanawiał się, jak dobrze zna tę okolicę. Zastanawiał się, czy po prostu płynąć dalej w ten sposób, koło następnych wysp, aż skończy się paliwo, ale nikogo nie napotkają. To zdawało się możliwe. Nie mieszkały tu tłumy. Potem jednak, późnym popołudniem, kiedy wlał już zapasowe paliwo i był pewien, że zaraz mu się skończy i będzie tak dryfował bez końca, zobaczył motorówkę płynącą w stronę wyspy, na której mieszkali z Royem, z której przy płynęli. Stamtąd mogliby ją zatrzymać. Jim wyjął kolejną flarę i odpalił, i nic się nie wydarzyło, potarł więc raz jeszcze i podniósł wzrok, widząc szybko płynącą łódź, która się od nich oddalała. Złapał ostatnią flarę, potarł ją i odpalił, trzymał wysoko i łódź lekko skręciła w ich stronę, na pewno go zauważono. Po chwili skręciła gwałtownie w przeciwnym

kierunku, by uniknąć kłody lub czegoś innego w wodzie, a flara zgasła i tamta łódź stała się ledwie kropką znikającą w szarości.

Jim krzyczał, raz po raz, wrzeszczał na brzeg i na wodę, i powietrze, i niebo, i wszystko i rzucił wypaloną flarą, i tylko siedział, patrząc na śpiwór, w którym leżał Roy, i na swoje ręce na kolanach. Ponton kołysał się i dryfował, a zimna woda zalewała mu dolną część pleców i siedzenie.

Jim płynął dalej, minął niewielki cypel i obejrzał się w samą porę, żeby dostrzec chatę znikającą między drzewami. Zawrócił i popłynął z powrotem, i zobaczył, że to coś większego, wyglądało jak dom, letni dom, wpłynął więc pontonem na małą żwirową plażę, zostawił Roya i poszedł wybadać sytuację.

Dom był ukryty za zagajnikiem świerków, cud, że w ogóle dało się go zauważyć, mimo że nie stał daleko od brzegu. Prowadziła do niego ścieżka i kiedy Jim podszedł bliżej, zobaczył, że to chata z bali, ale wystarczająco duża, żeby być czymś domem, miała kilka pomieszczeń i osłony przeciwburzowe na oknach, wszystko zamknięte na zimę.

Dzień dobry, powiedział. Potem wszedł na ganek, na którym po burzy leżało pełno śmieci, i już wiedział, że na pewno nikogo nie było w środku. Ej, krzyknął, tak się składa, że jest ze mną mój zmarły syn. Może zajrzemy pogadać, zjeść kolację i się przespać, co myślicie?

Nikt nie odpowiedział. Jim wrócił na łódź do Roya i próbował się zastanowić. Pora była późna, nikogo dotąd nie widział. Płynął na rezerwie paliwa. Na długo nie wystarczy, a on wciąż drżał z zimna i głodu i kręciło mu się w głowie. Może ktoś zostawił w domu coś do jedzenia. I może radio. Na pewno mają tu jakieś koce, komin i trochę drewna. Widział komin na dachu. Poprzedniej nocy tylko cudem udało mu się rozgrzać. Myślał, że w mokrym śpiworze to będzie niemożliwe i drugi raz raczej się nie uda, bo teraz miał dużo mniej sił. Musiał dowieźć Roya, wiedział o tym, choć mówiąc szczerze, chłopak i tak nie wyglądał najlepiej. Jim zaśmiał się ponuro. Jesteś pajacem, powiedział na głos. Kiepski z ciebie ojciec i w dodatku klaun.

Poczekaj tutaj, powiedział do Roya, wrócił do chaty i tym razem obszedł ją wokoło. Szukał jakiegoś wejścia. Wszystkie okna były zabite deskami i pewnie zamknięte od środka. Na frontowych drzwiach, jak się okazało, wisiała wielka kłódka, na tylnych również. Rozejrzał się i nie dostrzegł nic otwartego, nawet szyby do zbiccia.

Okej, powiedział. Było spokojnie, tylko z drzew trochę kapało. Zbliżał się zachód słońca. Jim nie miał latarki i jedzenia. Szedł dalej i znalazł szopę na drewno. Na drzwiach wisiała wprawdzie kłódka, ale wyglądały marnie, więc znalazł porządną kamień, rzucił, kamień zgrzytnął o drzwi i odbił się od nich, a Jim musiał przed nim uskoczyć. Cholera jasna, powiedział. Podbiegł do drzwi i rzucił się na nie, upadł, wstał i powtórzył próbę. Oddychał z trudem. Kopnął w sam środek drzwi i czuł, jak deski się uginają, ale nie puściły. Wrócił do łódki.

Zobaczył w niej opartego Roya i zdał sobie sprawę, że na kilka minut o nim zapomniał. Ta myśl wydała mu się okropnie smutna, ale Jim nie poddał się słabości. Przed zmrokiem musiał popracować. Poluzował silnik, wyjął go i z trudem zaniósł do chaty, położył na ganku. Ważył przynajmniej ze dwadzieścia kilo, czysty metal.

Jim wrócił do szopy po ten sam kamień i z powrotem do chaty. Miał nadzieję, że w szopie znajdzie siekierę albo piłę, ale teraz postanowił działać tylko przy chacie.

Walił kamieniem w każde drzwi i każdą deskę, aż znalazł w kuchennym oknie jedną, która wydawała się nieco słabsza. Pewnie dlatego, że okno jest większe, pomyślał. Przyniósł więc silnik, obiema rękami złapał za obudowę i wbił się w deskę, która tylko nieco się zadrapała i nie ustąpiła, za to Jim z wysiłku niemal przewrócił się pod ciężarem silnika.

Nie miał siły przeklinać ani wrzeszczeć. Czuł tylko zimno, morderczą nienawiść i pragnienie zniszczenia tej chaty. Podniósł silnik, tym razem za lżejszą, cieńszą końcówkę przy sterze, a cięższą mógł tylko unieść, obracając się, jakby pchał kulą, zakręcił więc tak kilka kółek, rzucił silnikiem w deskę i odskoczył.

Trzask był koszmarnie głośny, a silnik spadł z powrotem na ganek z rozwaloną obudową.

No tak, powiedział Jim. Obudowa jest z plastiku. Zdjął ją, podniósł, powykręcaną i zmiażdżoną, ale teraz miał odsłonięty silnik, zakręcił nim raz jeszcze i rzucił z krzykiem – silnik znowu się odbił, prawie go trafił, tym razem jednak rozwalił kawałek deski. Jim podniósł go i rzucił jeszcze dwa razy, aż w końcu całkiem zniszczył silnik, lecz rozwalił też deskę i szybę za nią i mógł się dostać do środka.

W chacie było ciemno, brak elektryczności, żadnego światła. Tłukąc się w mroku po kuchni, Jim znalazł w końcu zapałki i lampę naftową, która rzucała dziwne cienie, kiedy chodził z pokoju do pokoju. W kuchni był piec na drewno, w salonie drugi. Przy tym w salonie leżał stos suchego drewna. Obok sypialnia, ale na łóżku goły materac, bez pościeli. Całe to miejsce likwidowano na zimę. Zaglądał jednak do wszystkich szaf, szuflad i na półki, pod łóżko i kanapę, aż w końcu w jakiejś szafie znalazł dwa komplety pościeli i koc.

Dobra, powiedział. A teraz gdzie jest jedzenie? Nie da się za każdym razem wszystkiego przywozić. Coś musieliście zostawić. Jakies puszki albo coś. Gdzie to jest?

Zajrzał do kuchni, która okazała się zaskakująco pusta. W szafce znalazł jednak kilka puszek zupy, a w innej jeszcze warzywa w puszkach.

Nie wystarczy, powiedział. Nie wystarczy. Jest ze mną dorastający chłopak, postawny młodzieniec. Na pewno macie tu piwnicę. Własną spiżarnię, w takim eleganckim miejscu. Tupał po kuchennej podłodze, szukając kłapy, zajrzał do salonu, odsunął niewielki chodnik, poszedł do sypialni, gdzie też nic nie znalazł, a potem w drodze powrotnej do kuchni, śledzony przez własny naftowy cień jak przez zwinnego sobowtóra, dostrzegł właz w podłodze między salonem a kuchnią.

Sezanie, otwórz się, powiedział, podniósł klapę i zobaczył piwnicę z mnóstwem puszek, słoików, butelek i paczek liofilizowanej zupy minestrone i lodów waniliowych, a w dużym worku nawet próżniowo zapakowanego wędzonego łososia. No dobra, powiedział.

Roy wciąż był w śpiworze. Jim zarzucił go sobie na ramię i wepchnął przez kuchenne okno, próbując nie podrzeć śpiwora o wystające odłamki szkła, ale i tak go trochę podarł. Potem sam wlaź do środka.

Czas się zabrać do pracy, powiedział. Musimy z tego miejsca zrobić dom. Zaciągnął Roya do sypialni, gdzie miał nie przeszkadzać i gdzie było zimno. Następnie rozpałił w piecu w kuchni i postanowił nie palić w salonie, żeby oszczędzać drewno. Będzie spać w kuchni. To również pomoże trzymać w chłodzie Roya.

Otworzył puszkę ravioli i postawił ją bezpośrednio na płycie, ale uznał, że nie

będzie aż taką świnią, i przełożył zawartość do rondelka. W drugim podgrzał mleko i przyrządził sobie kakao. Rozpusta, powiedział. Zjadł w kuchni, w świetle lampy, i rozglądał się cały czas, próbując się na czymś skupić, znaleźć coś do czytania. Wciąż myślał o Royu i matce Roya i nie chciał tego robić, więc zaczął szukać w chacie czegoś do czytania, nic jednak nie znalazł, za to w końcu trafił w sypialni na jakieś rodzinne zdjęcia i przyniósł je do kuchni, i gapił się na nie, jedząc.

Ta rodzina nie była szczególnie ładna. Córka miała nos jak dziób papugi, a syn wielkie uszy, zbyt blisko osadzone oczy i dziwnie wygięte usta. Rodzice też niespecjalnie przystojni, on przysadzisty i kujonowaty, ona próbująca udawać zaskoczenie przed obiektywem. Najwyraźniej jeździli na wakacje w różne miejsca. Wielbłądy, tropikalne ryby i Big Ben. Jim od razu ich zniechęcił i miał satysfakcję, objadając ich. Walcie się, powiedział do fotografii, siorbiąc nie swoje ravioli. Ale to trwało zaledwie chwilę, a potem siedział już tylko przy stole w świetle lampy i nie miał się na czym skupić. Do roboty, powiedział.

Wrócił na dwór do pontonu, choć zrobiło się już ciemno i bardzo zimno, przyniósł cały sprzęt na ganek, potem zaciągnął ponton za dom, zostawił go tam i wniósł swoje rzeczy przez okno. Potem zgromadził je w pokoju u Roya, który wciąż tam leżał w śpiworze, nic nie robił, w niczym nie uczestniczył, jak to dzieciak z gimnazjum. Trudno, powiedział do niego Jim. Wrócił do kuchni i zrobił sobie posłanie na podłodze.

Tamtej nocy nieustannie się budził, przestraszony, że stało się coś okropnego, przypominał sobie o Royu i płakał, a potem z ogromnego zmęczenia ponownie zasypiał. O niczym nie śnił i nic nie widział. To strach budził go raz po raz, urwany oddech i przyspieszony puls, poczucie, że wali się na niego niebo. A rano, kiedy już od kilku godzin na zewnątrz było jasno i Jim w końcu podniósł się z podłogi, to poczucie całkowicie nie zniknęło.

Rozpalił w piecu i chciał zagotować wodę na owsiankę, ale z kranu nic nie leciało. Dobra, gnojki, powiedział, papugi, gdzie jest zawór? Przeszukał kuchnię i piwnicę, później obszedł chatę dokoła, szukając kurków, ale nic nie znalazł. Poszedł do szopy i wciąż nic, przez dwie czy trzy godziny przeszukiwał więc całe wzgórze za domem, metr po metr, aż w końcu znalazł częściowo zakopaną i pokrytą korą rurę. Szedł wzdłuż niej na czworakach, dopóki nie trafił na zawór. Odkręcił go i wrócił do chaty, okazało się, że z kranu pryskają woda i powietrze.

No dobra, powiedział, a teraz niech poleci normalny strumień. I jakby rzeczy były posłuszne jego woli, kran przestał parskać i popłynęła z niego czysta, zimna woda.

Zrobił sobie owsiankę, dodał brązowego cukru i usiadł, ale znów szukał czegoś, by skupić wzrok, i nic nie znalazł. Poszedł więc i przyciągnął Roya, wciąż w śpiworze, i próbował go posadzić na drugim krześle w kuchni, ledwie jednak mógł go zgiąć. Niebieski śpiwór był teraz koszmarne poplamiony, wciąż mokry i ciemny w górnej części.

No dobra, powiedział Jim. Skoro nie zamierzasz normalnie usiąść. Grzebał w szufladach, dopóki nie znalazł sznurka i nożyczek, przywiązał Roya w śpiworze do krokwi, do nogi od stołu i do haka, który wystawał ze ściany jakby na wiszące doniczki czy coś, i Roy w końcu stanął w swoim śpiworze, a Jim mógł usiąść i zjeść.

Twój ojciec staje się dziwakiem, powiedział. I ty też miałeś w tym swój udział.

A jednak, tak naprawdę, chcesz znać prawdę? Cóż, w pewnym sensie czuję się teraz lepiej. Nie wiem dlaczego.

Skoncentrował się na jedzeniu, a kiedy skończył, pozmywał naczynia. Wytarł dłonie o dżinsy i zwrócił się do Roya. No dobra, chłopcze, powiedział, czas wracać do chłodziarki. Odwiązał go i zaniósł z powrotem do sypialni, ale nagle poczuł się tak bardzo zagubiony, że położył się na gołej drewnianej podłodze przy łóżku i przez resztę dnia tylko jęczał, nie mając pojęcia, co właściwie robi i dlaczego. Pokój był zimny i ciemny i zdawał się rozciągać bez końca, a on był maleńką drobinką zagubioną w jego wnętrzu.

Kolację po zmierzchu Jim zjadł sam. Nie mam ochoty na towarzystwo, powiedział na głos. Potem poszedł się przejść po lesie.

Jim, Jim, Jim, mówił na głos, musisz coś zrobić. Nie możesz tak po prostu zostawić swojego syna w zawiązanym śpiworze w zimnym pokoju. Roy musi mieć pogrzeb. Trzeba go pochować. Matka i siostra muszą go zobaczyć.

Szedł jeszcze jakiś czas, nie pochylając się, wiszące nisko gałęzie bardzo go podrapały i pokłuły, a pokrzywy poparzyły. Księżyc nie wzeszedł i gównem było widać.

Mówiąc, wyobrażał sobie, że jest w wielkiej sali, na procesie, i ktoś zwraca się do niego. Siedział przy ciężkim stole, słuchał i nie mógł się odezwać.

Jak był związany? – pytał ktoś. Dlaczego przywiązał pan syna do stołu? Czy to w ogóle miało sens? I co z tym śpiworem? To też był pana pomysł? Planował to pan wcześniej? Czy tak naprawdę o to chodziło w tej wyprawie? To oczywiście mogło być samobójstwo, ale równie dobrze morderstwo.

Ta myśl sprawiła, że się zatrzymał. Stał w miejscu w lesie, ciężko oddychając, nic innego nie słysząc. Tak, mogliby tak pomyśleć. Jak miałby udowodnić, że nie zastrzelił syna? A teraz jeszcze uciekł, włamał się do czyjegoś domu i ukrywał się tam z ciałem. Jak miałby wyjaśnić to wszystko?

Przestraszył się i chciał zawrócić do chaty, ale nie był pewien, w którą iść stronę. Szedł chyba przez ponad godzinę, bez wątplenia zaszedł dużo dalej niż wcześniej, wciąż jednak nie widział ani chaty, ani nic znajomego, ani w ogóle nic. W tamtą stronę po prostu szedł w ciemność i nie zwracał uwagi na to, dokąd się kieruje.

Grunt był nierówny, Jim raz po raz wpadał w spróchniałe drewno i rośliny, miał zadrapania na szyi i twarzy. Wyciągnął ręce i odwrócił głowę, idąc bokiem i mając nadzieję, że jakimś cudem znajdzie drogę, i nasłuchiwał, ale słyszał tylko siebie i zaczynał już bardzo bać się lasu, jakby wszystko, co zrobił źle, zebrało się tutaj teraz i chciało go dopaść. Wiedział, że to bez sensu, i to przerażało go jeszcze bardziej, bo mimo wszystko zdawało się takie prawdziwe. Miał wrażenie, że jest niewiarygodnie mały i zaraz się rozpadnie.

Od czasu do czasu się zatrzymywał, stawał spokojnie i cicho i słuchał. Próbował usłyszeć, w którą stronę iść, ale to przecież nie miało sensu, może więc bardziej usłyszeć, co go ściga. Na górze między koronami drzew zobaczył kilka słabo świecących gwiazd, lecz dopiero później, kiedy niebo nieco się roz pogodziło. Było mu zimno, drżał i mocno biło mu serce, a strach zmienił się w przeczucie, że to przekleństwo, że nigdy nie znajdzie bezpiecznej drogi powrotnej i nie będzie mógł biec wystarczająco szybko, żeby uciec. Las był niemożliwie głośny, głośniejszy od bijącego

serca Jima. Łamały się gałęzie i gałązki, każdy liść poruszał się na wietrze, wszędzie dokoła coś biegało po mchu, gdzieś z tyłu trzaskało coś większego, Jim nie był pewien, czy przypadkiem sobie tego nie wyobraził. Powietrze w lesie miało objętość i wagę i było częścią ciemności, jakby stanowiły jedność i atakowały go gwałtownie ze wszystkich stron.

Przez całe życie tak się boję, pomyślał. Taki właśnie jestem. Później jednak kazał się sobie zamknąć. Myślisz tak tylko dlatego, że się tutaj zgubiłeś, powiedział.

To niemożliwe, że tak długo próbuje znaleźć chatę. Nigdy w życiu nie zgubił się przecież w lesie, a był w lasach nieustannie, polował i łowił. Kiedy jednak zrobisz pierwszy krok w złym kierunku, tłumaczył sobie, wtedy może się zdarzyć, że już nigdy nie odnajdziesz drogi, ponieważ nie wiesz, skąd przyszedłeś, i nie masz żadnej trwałej podstawy i żadnego kierunku. Miał wrażenie, że to opisuje też jego życie, szczególnie z kobietami. Sprawy tak szybko się pokomplikowały, że trudno było zdecydować, co jest dobre, a teraz, po śmierci Roya, nie zostało już absolutnie nic. Nie miałoby znaczenia, gdyby teraz zniknął w tym lesie, gdyby po prostu się poddał, położył i zamarł.

Szedł jednak dalej, dopóki w końcu niebo się nie rozjaśniło i nie wzeszło słońce, i nie znalazł brzegu, idąc konsekwentnie w dół. Nie był to brzeg przed chatą i Jim nie wiedział, w którą stronę teraz podążyć, ale przynajmniej był to brzeg, poszedł więc tam, gdzie wydawało mu się, że powinien, licząc, że trafi na chatę.

Dzień wstał słoneczny, zimny i pogodny, pierwszy pogodny dzień od bardzo dawna. Jim był głodny i zmęczony, i obolały, ale wdzięczny za słońce. Po kilku godzinach nie znalazł chaty, zawrócił więc i nawet to mu nie przeszkadzało. Chyba mniej więcej w południe, bo słońce miał nad głową, minął punkt, z którego wyruszył, szedł zatem dalej przez jakąś godzinę, zanim dotarł na plażę przed chatą. Zatrzymał się, stanął i patrzył na nią przez chwilę, zanim wszedł do środka.

Wszystko było tak, jak zostawił, Roy wciąż w sypialni. Jim zjadł zupę prosto z puszki, bez podgrzewania, potem położył się na podłodze, zawinął w koc i zasnął.

Kiedy się obudził, była noc, bardzo zimna. Znalazł lampę i rozpałił w piecu. Teraz będę ostrożniejszy, powtarzał sobie, dokładając do ognia. I zajmę się wszystkim. Znajdę kogoś na tej wyspie, zawiadomię matkę Roya i urzędników przyzwoitych pogrzeb. Ruszę dzisiaj.

Zjadł następną puszkę zupy, później piure ziemniaczane z proszku, znów zasnął na kilka godzin i obudził się rano. No dobra, powiedział, gdy tylko otworzył oczy. Ruszam.

Dołożył do pieca i zrobił sobie śniadanie. Jedząc, pomyślał, że musi zostawić jakąś wiadomość. Gdyby ktokolwiek się tutaj pojawił i zobaczył rozwalone okno, Roya w sypialni i ślady, że ktoś tu mieszkał, zrozumiałby to opacznie. Jim będzie też musiał zasłonić to okno w kuchni, żeby nic nie weszło i nie znalazło jedzenia albo Roya.

Przeszukał szuflady, znalazł długopis i kopertę, na której napisał list. POSZEDŁEM PO POMOC. MÓJ SYN SIĘ ZABIŁ, JEST W POKOJU Z TYŁU. NIE MIAŁEM JAK KOGOKOLWIEK ZAWIADOMIĆ. NIE MOGŁEM PŁYNAĆ DALEJ. TERAZ CHODZĘ PO WYSPIE, PRÓBUJĄC ZNALEŹĆ POMOC, ALE WRÓCĘ. Przeczytał list kilka razy i nie przyszło mu do głowy nic lepszego, podpisał się więc, zabrał trochę jedzenia i koc w worku na śmieci, na wypadek gdyby musiał spać na dworze.

Problemem było okno. Jim nie miał młotka ani gwoździ, ani nawet porządných desek. Zaniósł więc rozwalony silnik do szopy i wywalił nim drzwi, tak samo, jak zrobił z kuchennym oknem. Kiedy dostał się do środka, odpoczywał, dopóki oddech mu się nie uspokoił, potem odsunął kawałki rozwalonych desek i wrócił po lampę, żeby przeszukać szopę.

Były tu wszystkie narzędzia: siekiera, łopata, piła, młotek, gwoździe, szlifierka i piła łańcuchowa, i łańcuchy, i zębatki, i śrubokręty, i kombinerki, leżały i rdzewiały. Jim siekierą odrąbał spory kawałek drzwi i poszedł przybić go do kuchennego okna. Zanim to jednak zrobił, wszedł do środka pożegnać się z Royem i powiedzieć mu, co zamierza. Zajmę się teraz wszystkim, powiedział, stając w drzwiach sypialni. Przepraszam, że do tej pory wszystko szło tak paskudnie, teraz się ogarnę. Wyniósł na dwór worek z jedzeniem i kocem oraz liścik, przybił deskę, do niej liścik i ruszył w drogę.

Był już bardzo późny poranek. Powinien był wyjść wcześniej. Przynajmniej idę, mówił sobie. Szedł wybrzeżem, minął miejsce, do którego dotarł dzień wcześniej. Nie stawał, poruszał się szybko, wypatrując łodzi i chat, i jakiegokolwiek śladu szlaku, którym mogliby chodzić ludzie. Widoczność była dostatecznie dobra, żeby wezwać na pomoc przepływającą łódź. Nie było też zbyt zimno, a jedyne chmury, rzadkie, stały wysoko.

Wybrzeże naznaczone smugami kamieni i zwałonymi drzewami, i ciemnym piaskiem wydawało się Jimowi stare, prehistoryczne. Kiedy w milczeniu szedł wiele godzin, słysząc tylko dźwięk własnych kroków, od czasu do czasu śpiew ptaka, szum wiatru i niewielkich fal, miał wrażenie, że jest tu jedynym człowiekiem, który wyszedł zobaczyć, jak wygląda świat. Myślał o tym i szedł bardziej jak kot, przeskakując z kamienia na kamień, tęskniąc za taką prostotą, taką niewinnością. Chciał nie być tym, kim jest, i nikogo nie znaleźć. Jeśli kogoś znajdzie, będzie musiał opowiedzieć swoją historię, która, przyznał w duchu, mogła zabrzmieć tylko strasznie.

Mijał jeden cypel za drugim i wydawało mu się, że idzie wokół wyspy, choć nie mógł tego wiedzieć na pewno, dopóki słońce nie zaszło nieco bardziej z tyłu niż wcześniej. To najwyraźniej była długa wyspa i nie dało się sprawdzić, czy w ogóle ktoś tu mieszka i gdzie. Prawdopodobnie chata była tylko jedna.

Zachodzące słońce wciąż stało czerwone na niebie, ale coraz trudniej przychodziło odróżnić kamienie pod stopami. Niebo nad czerwienią było zielone, a potem zbladło do błękitu. Szedł dalej, dopóki było to bezpieczne, do chwili, kiedy niemal zarył twarzą w ziemię z powodu wystającego korzenia, którego nie zauważył. Stanął, po czym zagłębił się trochę w las, zawinął w koc i otworzył nożem paczkę wędzonego łososa na kolację. Łosoś był wyrazisty i smaczny, z przyprawami innymi niż tylko sól i brązowy cukier. Jim jadł, patrząc na blade światło na wodzie, i słuchał lasu wokół, który zdawał się cichszy niż zazwyczaj, bezdźwięczny poza lekkim wiatrem i rzadkim szumem, bez ruchu jakiegokolwiek żywego stworzenia, który dałoby się usłyszeć.

Roy nie chciał tutaj przyjeżdżać. Jim teraz to rozumiał. Roy przyjechał, żeby go ocalić, przyjechał, bo się bał, że jego ojciec się zabije. Ale Roya to miejsce nie interesowało, nie chciał się tu osiedlać. Jim sądził wówczas, że każdy chłopiec pragnąłby zamieszkać ze swoim ojcem na Alasce (choć oczywiście wcale się tu nie osiedlali, bo ziemia była kupiona i chata już stała), ale Jim tak naprawdę nie myślał wtedy o Royu i o tym, czego Roy by pragnął, nawet przez chwilę. Tak było również

po przyjeździe. Jim traktował swojego syna jako coś oczywistego, a teraz syna nie było. To bardzo dziwne.

Gdyby Roy żył i Jim mógł go teraz zabrać w podróż, popłynęliby w rejs dokoła świata. Tego właśnie chciał Roy. Mówił o tym. I Jim mógłby to zorganizować równie łatwo jak chatę. Miał pieniądze na łódź, potrafił żeglować, miał czas. Ale żeby to było możliwe, musiałyby służyć Roya. Musiałyby go zauważyć, kiedy jeszcze żył. A to po prostu nie mogło się wydarzyć, bo Jim myślał w tym czasie o Rhodzie i innych kobietach.

Próbował zasnąć, leżał na mchu owinięty w koc i trzymał jedzenie przy brzuchu. Miał gdzieś, że może nadejść niedźwiedź, nie zamierzał oddawać zapasów.

Nie mógł zasnąć. Szukał gwiazd, patrzył w niebo, choć ich tam nie było, oczy miał otwarte, choć nie było światła i niczego do oglądania. Wyobrażał sobie, jak by to było żeglować po Południowym Pacyfiku. Widział zdjęcia Bora-Bora. Ciemnozielona dżungla, czarne skały, jasnoniebieska woda i biały piasek. Zawsze byłoby ciepło i wygodnie, mogliby nurkować z rurką. Mogliby nawet nauczyć się nurkować z butlą. Po co w ogóle spędzać choćby część życia w zimnych miejscach? Bez sensu.

Jim nie czuł zmęczenia, nie mógł zasnąć, wstał więc, schował koc do worka z jedzeniem i ostrożnie szedł z powrotem na brzeg.

Noc była ciemna, bez gwiazd i księżycy. Nic nie widział, choć przecież oczy miały dość czasu, żeby się przyzwyczaić. Ostrożnie stawiał stopę przed sobą i badał nią teren, zanim przenosił na nią ciężar. Poruszał się powoli, krok za krokiem wzdłuż brzegu, aż doszedł zbyt blisko wody, pośliznął się na glonach i upadł na mokry kamień. Szybko się podniósł i znów upadł, jęknął z bólu w łokciu i biodrze, znalazł worek i przeczołgał się na suche kamienie, gdzie mógł bezpiecznie stanąć. Wrócił do lasu, zraniona noga drżała, i położył się pod kocem, by odpocząć, a rano obudził się i zrozumiał, że zasnął.

Tego drugiego dnia zrobił postępy, choć po upadku był poobijany. Łokieć bolał, pewnie stłuczony, a noga sprawiała wrażenie lekko bezwładnej, ale to nie miało specjalnego znaczenia. Jim wypatrywał łodzi i chat i idąc, powtarzał sobie, że na pewno kogoś spotka. Później jednak zaczął się zastanawiać, czy to może być Wyspa Księcia Walii, ta duża. Nie znajdowała się daleko od tej, z której przyплыł, wyglądała dokładnie tak samo jak wszystkie inne i z powodu dużej powierzchni zdawała się wręcz bardziej opuszczona od Sukkwanu. Długie pasy wybrzeża były niezamieszkane. No i na dużej wyspie, przypuszczał, może być więcej problemów z niedźwiedziami. Nie było sposobu, żeby stwierdzić na pewno, czy to jest mniejsza wyspa, dopóki jej nie okrąży, ale na razie wciąż szedł wzdłuż brzegu, mając zachodzące słońce po lewej stronie.

W południe odpoczywał i zjadł. Siedział w cieniu, choć słońce tylko słabo przebijało się przez mgłę. Żadnych łodzi nie widział. W ogóle nie widział łodzi, ani razu tutaj. Niesamowite, jak bezлюдne było to miejsce. Przyjechał w pustkę i z jakiegoś powodu myślał, że to dobrze. Kiedy dawno temu patrzył na mapę, uznał, że jego chata jest zbyt blisko Wyspy Księcia Walii i kilku miasteczek na jej południowo-zachodnim wybrzeżu, teraz jednak żałował, że nie pamięta położenia tych miasteczek i innych niewielkich osad rozrzuconych na sąsiednich wyspach. Właściwie kolonii, dwa lub trzy domy, niemal żadnych dróg. Takie miejsca zawsze idealizował. Znał kilka rodzin, które tam mieszkały, odwiedzał ich jednoizbowe domy zbudowane bez maszyn, widział

ręcznie robione komody i koce rozwieszane, by stworzyć sypialnię. Niedźwiedzie skóry na podłodze i ścianach. Co tworzyło magię takich miejsc? Co powodowało, że jemu tylko życie osadnika zdawało się prawdziwe? Bez sensu, bo przecież nie lubił czuć niewygodny i nie znośił być sam. Teraz w każdej chwili każdego dnia pragnął kogoś spotkać. Chciał kobiety, jakiegokolwiek kobiety. Krajobraz nic dla niego nie znaczył, jeśli musiał oglądać go w samotności.

Spakował się i szedł dalej. Po godzinie linia brzegowa ostro skręciła na prawo i Jim był już pewien, że to nie jest tamta duża wyspa. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, widział róż w chmurach na wschodzie, ale zachód zasłaniały drzewa.

Wciąż nikogo, powiedział. Być może spędzę tutaj całą zimę.

Każdej nocy robiło się zimniej. W mijającym tygodniu miał szczęście, że pogoda była dobra, ale teraz śnieg i deszcz znowu zaczął padać, na pewno. Miał ze sobą tylko ciepłe ubranie na sobie i jeden koc. Do tej pory wystarczyło, wiedział jednak, że szybko musi kogoś znaleźć albo wracać do chaty, w której zostawił Roya, zanim jeszcze bardziej się ochłodzi.

Tamtej nocy kilka razy budził się, drżąc z zimna, i nie zdołał porządnie się ogrzać. Śniło mu się, że chodzi w kółko i w kółko, a coś go ściga. Rano na drzewach leżał drobny śnieg, który do południa zdążyła roztopić mżawka. Jim miał przeciwdeszczową kurtkę, ale i tak czuł się przemoczony i zmarznięty. Zjadł lunch, siedząc na zwalonej kłodzie nad wodą, i myślał. Jeśli na tej wyspie nikogo nie ma, będzie musiał tu zostać i poczekać. Pierwsze łodzie pojawią się dopiero późną wiosną, może w maju czy nawet w czerwcu, a właściciele chaty raczej nie wrócą przed lipcem czy sierpniem. On zaś zniszczył silnik i radio. Może tu utknąć na długo. Zastanawiał się, czy wystarczy mu jedzenia. Marne szanse, a nie przywiózł ani strzelby, ani sprzętu wędkarskiego. Nie było też jak wrócić do wszystkich tych zapasów, które zrobili z Royem.

Wariactwo, jak wiele jedzenia schowali w spiżarni. Wystarczyłoby do wykarmienia przez zimę małej osady. Ale tym właśnie stała się dla Jima ta podróż, próbą przetrwania. Zamiast odpoczywać i poznawać swojego syna, martwił się tylko, jak przeżyć. A kiedy w końcu nadszedł czas, żeby przestać gromadzić jedzenie, wtedy ogarnęło go przerażenie – nie miał pojęcia, jak zagospodarować czas, jak przetrwać zimę. Zaczął więc dzwonić do Rhody przez radio. Był pewien, że w ciągu miesiąca zdecydowałby się wyjechać. Nie dałby rady zostać. Roy jednak wierzył, że zostaną.

Jim znowu zaczął płakać. Roy chciał wyjechać, a on mu nie pozwolił. Uwięził go. Zmusił się, by przestać płakać, i wstał. Szedł aż do zmroku i wtedy zdał sobie sprawę, że od wielu godzin niczego już nie wypatruje, tylko bez przerwy idzie i nie szuka żadnych łodzi czy domów. Nie wierzył już, że ktokolwiek tu jest.

Noc była tak zimna, że nie mógł spać, spróbował więc zamiast tego sklecić jakieś legowisko. Znowu ciemno, żadnego światła, szukał więc po omacku gałęzi i paproci, żeby zrobić poślanie, na którym mógłby się przespać. Przygotował kocyk długości swojego ciała i ostrożnie się położył, próbując go nie rozwalić. Tak było dużo ciepłej, ale zasypiając, myślał o wszystkich owadach i stworzeniach, które włożą mu teraz pod ubranie.

Dni mijały jeden za drugim i przestały się od siebie różnić. To była niewyobrażalnie długa wyspa. Gdyby Jim miał pewność, że odnajdzie chatę, przeszedłby po prostu w poprzek wyspy i wrócił, bo teraz już wiedział, że nikt tu nie mieszka, ale nie był

pewien, jak szeroka jest wyspa i czy rozpozna wybrzeże po drugiej stronie, nawet jeśli już je widział. Szedł więc dalej, wykorzystując całe krótkie dni, a potem przeczekiwał noce, więcej nie śpiąc, niż śpiąc.

Nocami myślał o Royu, wspominał go jako dziecko, jak jeździł na zabawkowym zielonym traktorze w Ketchikan, jak w kucharskiej czapce jako trzylatek stawał na stołku, żeby sięgnąć do miski. Pamiętał Roya w czerwonej kurtce zbierającego jagody, rozbijającego sople lodu i znajdującego poroże, które Jim przerzucił za płot. Jim rzucił je tam, bo było za małe, ale Roy odkrył je i przechowywał starannie, jakby było pamiątką po innych ludziach. Wydawało mu się tajemnicze i wspaniałe. Jim nie wiedział, jak to się stało, że tamte chwile okazały się ostatnimi latami z Royem, nie rozumiał żadnej z tych zmian, a wspominając, zdał sobie sprawę, że na całe lata zniknął z życia syna, nawet w Ketchikan, kiedy jeszcze wszyscy mieszkali razem, ponieważ wtedy Jim myślał o kobietach, kombinował, zaczął już zdradzać. Wpadł w to drugie życie z innymi kobietami i nie znał nikogo, niczego innego. Po rozwodzie też się nie ocknął, wciąż gonił za kobietami. I w końcu nie wiedział już, kim jest Roy. Stracił zbyt wiele lat, które do niego prowadziły.

Teraz Jim rozmyślał o tym spokojniej, jakby nie stać go było na męczący płacz, bo musiał zachować ciepło i przetrwać kolejne noce. To nie czas na ekstrawagancje. Musi oszczędzać się, jeśli ma przeżyć do wiosny.

W ciągu dnia próbował iść jak najdalej, ale jego kroki stawały się coraz wolniejsze. Już niemal przed tygodniem skończyło mu się jedzenie i teraz żywił się wyłącznie glonami i grzybami, i małymi krabami, które łapał w trakcie odpływu. Pił ze strumieni, które przekraczał, ale czasami przez wiele dni z rzędu odczuwał pragnienie.

Krabby okazały się naprawdę dobre i zawsze na nie czekał. Miały zaledwie osiem, dziesięć centymetrów, ale czyścił je tak, jakby sprawał większe okazy, łapiąc wszystkie zginające się nogi od spodu, pod skorupą, potem rozbijając wierzch o ostry kamień, żeby odpadł górny pancerz. Następnie łamał kraba na pół i wytrząsał z niego wnętrzności. Mył w morskiej wodzie i wysysał delikatne jasne mięso. Robił to w ciągu całego dnia, zjadając na raz cztery lub pięć krabów. Sytuacja stawała się trudna, kiedy nie mógł przez kilka dni znaleźć dość świeżej wody, usta zaczynały mu pierzchnąć, a gardło boleć. Pewną ulgę dawało ssanie igieł świerków o poranku i często padał deszcz. Śnieg na szczęście nie. Miał fart, jeśli chodzi o pogodę.

Na jawie śnił o Południowym Pacyfiku, o picciu wody z wielkich dziwnych liści, jedzeniu owoców, które rosły wszędzie. Mango, gujawy, kokosy i dzikie owoce, których w życiu nie widział. Wyobrażał sobie, że te nowe owoce są fioletowawe i bardzo słodkie. Słońce nieustannie by świeciło, a on kąpałby się w wodospadach.

Aż w końcu któregoś wieczoru zobaczył skrawek zachodzącego słońca na zachodzie i zrozumiał, że obszedł południowy kraniec wyspy. Był teraz w drodze do domu. Wszedł kawałek w głąb wyspy, usiadł pod drzewami, patrząc na cienką linię zachodu pożeraną przez wodniste szare chmury. Potem zgarnął trochę ściółki, zrobił stertę, wsunął się w nią i zasnął.

Minęło jeszcze pięć dni, zanim doszedł do chaty. Było to dość wczesnym rankiem, po nocy, którą próbował przespać jakieś półtora kilometra od niej. Szlag, powiedział. Tutaj jest. Stał na plaży i przez chwilę przyglądał się jej zza drzew.

Kiedy się zbliżał i wchodził na ganek, wiedział już, że nikogo nie było. Wszystko

wyglądało tak jak w dniu, gdy opuścił to miejsce. Koperta rozmiękła i wyblakła od deszczu, ale to była jedyna zmiana. Poszedł za dom po młotek. Sflaczały ponton wciąż tam leżał, zniszczone drzwi do szopy, żadnych zmian.

Jim wyjął gwoździe z desek, którymi zabił kuchenne okno, i poczuł Roya, jeszcze zanim całkiem zdjął pierwszą deskę. Gdy wszedł do środka, odór miał już ciężar. Miał masę. Jim zwymiotował prosto na kuchenną podłogę, zwymiotował cenne kraby i grzyby, i świeżą wodę, którą wyszał wczoraj z rosy. Okropne marnotrawstwo, choć wiedział, że teraz będzie miał lepsze jedzenie i wodę.

Umył się nad zlewem, wypłukał usta. Smród stał się obezwładniający. W kuchni było jasno, ale w tylnych pomieszczeniach ciemno, więc Jim zapalił lampę naftową i wszedł w ten zapach jakby przeciwko silnemu wiatrowi.

Roy nie był tak sztywny jak przedtem. Śpiwór leżał na podłodze, mokry biały meszek porastał go nawet z zewnątrz. Jim próbował złapać za koniec śpiwora, ale nie mógł i znowu się cofnął. Przepraszam, Roy, powiedział, szlochając pierwszy raz po długiej przerwie. Wiedział, że teraz musi go pochować. Próbował przecież kogoś znaleźć, próbował znaleźć sposób, żeby pokazać Roya matce i siostrze i urządzać mu pogrzeb, ale teraz musi wystarczyć pochówek na tej wyspie. Nie było wyjścia. Nie da się żyć z tym zapachem, jego syn nie może tu gnić.

Musiał wyjść na zewnątrz, żeby odetchnąć. Odczekał, aż płacz ustanie, potem szybko wrócił do środka, złapał mokry śpiwór i wyciągnął go przez okno. Kiedy go przeciskał, zawartość przelała się w środku i trochę Roya wyciekło przez rozdarcia w materiale. Jim wydał dźwięk obrzydzenia. Nie mógł uwierzyć w to, co robi.

Złapał łopatę i zaciągnął Roya głęboko między drzewa. Nie chciał, żeby grób Roya był za blisko domu, żeby ci ludzie go potem nie przenieśli. Poszedł więc tak daleko w las, żeby nikt nie znalazł Roya, zatrzymał się i zaczął kopać. Pierwsze trzydzieści centymetrów ziemi było twarde, potem drugie tyle luźne, w końcu łopata zaczęła uderzać w kamienie, korzenie i piasek. Bardzo trudno się kopało. Jim pracował przy grobie cały dzień, wyrывая i wycinając korzenie, wykopując kamienie, wdzierając się głębiej czubkiem łopaty.

Często musiał odpoczywać i za każdym razem odchodził od dołu i koszmarnego zapachu swojego gnijącego syna. Siadał między drzewami jakieś sto metrów dalej i myślał, jak o tym wszystkim opowie. Nie był pewien, czy ta historia ma jakikolwiek sens. Każda rzecz czyniła następną rzecz konieczną, ale osobno nie wyglądały najlepiej. Choć nie przyznał tego głośno, jakaś jego część pragnęła, żeby nigdy go nie znaleziono. Jeśli nikt nigdy nie przyjedzie do tej chaty lub nie zauważy, że on z Royem zniknęli ze swojej, to nie będzie musiał nikomu nic mówić. Czuł, że może teraz żyć z tym, co się stało, jeśli nie będzie musiał mierzyć się z innymi. Jego syn się zabił, z winy ojca, który teraz musiał pochować syna. Wierzył w to. Nie chciał jednak, by ktokolwiek inny o tym wiedział.

Kopał aż do późnego popołudnia, niemal końca dnia, wreszcie uznał, że to musi wystarczyć, bo nie dałby rady pracować w ciemności, zaciągnął więc Roya w śpiworze do dołu, nie próbując go stamtąd wyjmować, a potem stał i zastanawiał się, jak zrobić pogrzeb w kilka minut, po czym zaczął zrzucać ziemię.

Nie chciałem tego robić pospiesznie, powiedział synowi. Wiem, że to twój pogrzeb. Powinien być wyjątkowy i twoja matka powinna tu być, ale nic nie mogę poradzić. Ja

po prostu... Urwał i nie wiedział, co powiedzieć. Kocham cię, jesteś moim synem, myślał tylko, ale to powaliło go tak, że nie mógł mówić, więc tylko szlochał, zrzucił ziemię, ubijał ją, a potem wrócił do chaty niemal po ciemku, nie przejmując się, czy nie zabłądzi.

Zapach Roya pozostał w chacie tamtej nocy i następnego dnia, i przez ponad tydzień. Później Jim wciąż myślał, że go czuje, lecz woń stała się tak słaba, że równie dobrze mogło to być złudzenie. W zimne dni, kiedy zapach wydawał się znikać, Jim chodził po pokojach, próbując go sobie przypomnieć. W trakcie wędrówek przez las czasami również go wyczuwał, zatrzymywał się i myślał o Royu. Wmawiał sobie, że tylko wtedy myśli o swoim synu, jakby wyłącznie ten jeden rodzaj wspomnienia był dość silny, ale to oczywiście była nieprawda. Myślał o Royu zawsze, w ten czy inny sposób. Nic innego nie miał do roboty. Został tu na zimę, przeczekiwał.

Jim doszedł do wniosku, że nie rozumiał Roya. Wydawało mu się, że syn okazał się bardziej niebezpieczny, niż sądził. Jakby przez wszystkie te lata był gotowy się zabić, tylko czekał na właściwy moment. Nie było to do końca składne, ale Jim przez jakiś czas rozważał tę myśl. A jeśli samobójstwo leżało w naturze Roya? Co wtedy? Przynajmniej przeniosłoby to odpowiedzialność. I dlaczego w ogóle ktokolwiek popełnia samobójstwo? Co sprawiało, że Jim był pewien, że może to zrobić? Teraz trudno to było pojąć. Trudno sprawić, by ta myśl stała się wiarygodna. Jim nie wierzył, że on sam tak naprawdę kiedykolwiek był gotów się zabić, nawet wtedy, kiedy postanowił zejść z klifu. Nawet wtedy tylko się nad sobą litował, nic więcej.

Ta myśl go zatrzymała. Od jakiegoś czasu nie myślał o klifie. Zastanawiał się, co sądził o tym Roy, czy wiedział, że ojciec zszedł celowo. Jim nigdy nie przyznał się synowi, że tak było. Gdyby to zrobił, trudniej byłoby namówić Roya do pozostania. Ale Roy na pewno coś podejrzewał.

Żeby uciec od tych myśli, Jim próbował zająć głowę czymś innym. Znajdował sobie rozrywki. Wyobrażał sobie, jak i co powie, gdy ktoś go znajdzie. I kto to będzie. Nieciekawa para przejdzie ścieżką, za nimi ociągające się dzieci. Zatrzymają się, spojrzą na niego, uznają za niebezpiecznego. Może uciekną. Może przyjadą i wyjadą, zanim on zdąży ich zobaczyć, i nie będzie o tym wiedział, dopóki później nie pojawi się jakiś przedstawiciel władzy. Wierzył jednak, że wejdą tutaj i będą oburzeni. Przecież są właścicielami i zwykle wszyscy ich ignorowali, był tego pewien, więc zachowają się gwałtownie. Wyciągną go z chaty i zaatakują swoimi papuzimi dziobami i dziwnymi oczami, zadziobią i wyrwą zeń małe kawałeczki. Pomyślał wtedy o Royu na tamtej plaży i mewach i torturował się tą myślą każdego dnia i każdej nocy, udając, że próbuje zapełnić sobie czas i przetrwać.

W pogodne dni czasami wypatrywał łodzi. Rzadko jakieś widywał i zawsze były zbyt daleko. Nie miał już flar. Przyszło mu do głowy, że mógłby wywołać na jednym końcu wyspy wielki pożar lasu, co przynajmniej przyciągnęłoby samoloty, ale nie wiedział, jak długo by to trwało i czy nie zginąłby w ogniu. Jeśli spowodowałby pożar na wyspie, to prawdopodobnie by zginął. W końcu wylądowałby w wodzie, szukając tlenu. Nie podobało mu się też, że strażacy grzebaliby w ziemi, w której leży Roy.

Potem pomyślał, że mógłby podpalić las na jakiejś innej wyspie, gdyby udało się znaleźć niedaleko jakąś niezamieszkaną. Mógłby dowiosłować tam, rozpalić ogień,

używając benzyny, która mu została, następnie wrócić albo zostać na wodzie, gdzie ktoś by go zauważył.

Nie najgorszy pomysł, powiedział sobie. Mogłoby się udać.

Ale tego nie zrobił. Wiosłowanie w tych przesmykach nie było łatwe, a Jim nie czuł się jeszcze gotowy na spotkanie z ludźmi. Czekał więc w chacie i planował, i wszędzie widział płomienie, i wyobrażał sobie, jak zostaje uratowany, i próbował sobie przypomnieć, jak wyglądał Roy, zanim odstrzelił sobie połowę twarzy. To okropne, że Roy zostawił ojca z tym obrazem. Jim nie pamiętał tej twarzy wcześniej, tego, jak wyglądał jego syn. Jakby Roy przyszedł na świat tak okaleczony.

Przynajmniej nikt inny nie musiał go oglądać w tym stanie. Minęło tyle czasu, że już nic nie byłoby widać. To przynosiło mu jakąś ulgę. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego ten widok wydawał mu się tak zawstydzający, lecz tak właśnie było. Teraz pragnął znaleźć jakiś sposób opowiedzenia, co się wydarzyło, który byłby smutny, ale który przedstawiłby wydarzenia jako nieuniknione. Na przykład, że sytuacja była ciężka, ale Jim nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ciężka dla Roya, ponieważ Roy nic nie mówił. Gdyby tylko Jim wiedział, natychmiast opuściliby wyspę, ale nie mógł tego wiedzieć.

Tyle że te myśli budziły w Jimie obrzydzenie. Nie miał cierpliwości do własnego umysłu.

W połowie stycznia wciąż nikt się nie pojawił. To naprawdę było zaskakujące. Jakby świat o nich zapomniał, choć znajdowali się przecież mniej niż piętnaście kilometrów od miejsca, w którym powinni mieszkać. Jim zakładał, że ktoś już odkrył ślady krwi w ich chacie, zniszczone radio i brak pontonu. Szeryf albo ktoś inny na pewno przeszukał okolicę, ale Jim nie słyszał helikoptera ani samolotu, od wielu tygodni nie widział też łodzi, a nigdy żadna nie przepłynęła dość blisko.

Jedzenie powoli się kończyło, Jim schudł, próbując oszczędzać. Jadł teraz tylko jeden posiłek dziennie i kilka lekkich przekąsek. W ten sposób powinno wystarczyć zapasów na jakiś miesiąc, góra dwa, potem będzie skazany na głony albo umrze z głodu.

Teraz przesypiał całe noce, a czasami część dnia. To było najłatwiejsze, nie zużywał wtedy jedzenia ani drewna do pieca. Z pontonu wyciął kilka dużych kawałków, które kładł na kocu i pościeli, wkładał też dodatkowy sweter, który znalazł, na ubrania, w których tu przypłynął. Nie kąpał się od prawie trzech miesięcy. Z tego, co sam stwierdził, zaczynał już na powrót pachnieć niemal czysto.

Przez cały ten czas próbował nie myśleć. Kiedy zaczynał, spoglądał na coś, na przykład na deskę w suficie, albo po prostu w ciemność, próbował się w tym zatracić i zablokować płynące myśli, choć nie zawsze mu się udawało. Pojawiały się nieustannie i uparcie. Roy, który mówi, że chce wyjechać. Jim raz po raz widział tę scenę, nie potrafił o niej zapomnieć. Inna scena: ich sąsiadka z Ketchikan, Kathleen, pierwsza kobieta, z którą chciał zdradzić. Widział wciąż tamto szare popołudnie, kiedy stał na ganku, rozmawiając z nią, i zapytał, czy chce wejść do środka, ponieważ Elizabeth nie ma w domu. Ten wyraz obrzydzenia na jej twarzy. Dobrze wiedziała, co miał na myśli. Elizabeth leżała w szpitalu przed urodzeniem Tracy. Teraz rozumiał, że wybrał kiepski moment. Rozmyślał też o jedzeniu. Przede wszystkim o szejkach. Na nie najbardziej miał ochotę. I na żeberka w sosie barbecue. Głównie jednak myślał o Royu i odwiedzał go, kiedy pogoda się uspokajała i kiedy odczuwał niepokój.

Od deszczu grób się zapadł. Był teraz płytkim dołem zarośniętym grzybami i paprociami. Najpierw Jim wyrывał grzyby, które tam wyrastały, uważając, że są obłe, ale kiedy wciąż wyrastały, zostawił je, szaro-białe bulwy i ostrzejsze, mniejsze stożki przypominające tipi. Zastanawiał się, jak długo będzie się rozkładał nylonowy śpiwór, i podejrzewał, że to zajmie bardzo dużo czasu.

Wciąż żyjesz, powiedział do Roya któregoś dnia. Myślałem o tym. Już niczego nie doświadczasz, twoje życie zatrzymało się dla ciebie, kiedy umarłeś. Ale z tego powodu mnie wciąż coś będzie się przydarzało i to sprawia, że w pewnym sensie wciąż żyjesz. A ponieważ nikt inny nie wie, ponieważ twoja matka nie wie, nie umarłeś zupełnie. Umrzesz ponownie, kiedy się dowie, i potem bardzo długo ona będzie utrzymywać cię przy życiu. I nawet gdy my wszyscy umrzemy, ktoś wykopie ten śpiwór i odnajdzie cię na nowo. Choć prawdopodobnie wykopią cię jednak wcześniej. Pewnie będą chcieli się upewnić, że to na pewno ty. Po tym wszystkim w nic nie uwierzą mi na słowo.

Lubił mówić do Roya na głos, uczynił to więc swoim zwyczajem. Jeśli nie było wyjątkowo paskudnie, wychodził na dwór i każdego popołudnia przez jakiś czas rozmawiał. Mówił o tym, jak go uratują, i o pogodzie, od czasu do czasu zwierzał się z różnych rzeczy. Byłem niecierpliwy, opowiadał. Wiem o tym. Powinienem być trochę odpuścić. Ale po prostu czułem się odpowiedzialny. Rozmawiał z Royem o drobiazgach, które go dręczyły. Tamtego dnia, kiedy cię zaskoczyłem, mówił. Kiedy masturbowałeś się w wychodku. Wciąż źle się z tym czuję. Wiem, że nie zareagowałem wtedy właściwie. Powinienem być coś powiedzieć, ale po prostu nie wiedziałem co.

Na początku marca Jim zaczął przeczesywać brzeg w poszukiwaniu krabów. Wciąż tutaj były, nawet zimą, ale teraz zdawały się szybsze. Za każdym razem, kiedy sięgał ręką, wycofywały się pędem w zagłębienia i znikwały. Sporo czasu minęło, zanim zrozumiał, że to nie kraby zrobiły się szybsze, tylko on stał się wolniejszy. Od niemal tygodnia nie zjadł normalnego posiłku. Żywił się głównie glonami i pił wodę. A od dawna musiał oszczędzać jedzenie. Wiedział już, że popełnił błąd. Stracił przez to za dużo sił. Wrócił do chaty i myślał, jak przechrzyć kraby.

Następnego dnia zapolował na ich młode. Odwracał kamienie i rzeczywiście, jak miał nadzieję, czasami odnajdywał pod nimi kolonie małych krabików, zbyt małych, by zdołały uciec. Podnosił je garściami, ale nie znalazł sposobu, by oczyścić je tak, jak zawsze to robił, więc po prostu miażdżył je i zjadał w całości, skorupki i wnętrzności, wszystko.

Będę srał sznurkiem z muszelek, mówił do nich. Naprawdę uroczo. Starannie przeżuwał, żeby kawałki nie wychodziły zbyt duże.

Przy grobie Roya całymi godzinami opowiadał o jego matce, o tym, jak się poznali i co poszło nie tak. Była dopiero moją drugą dziewczyną na poważnie, mówił. Mój brat uważa, że popełniłem błąd, wiążąc się na stałe już z drugą, pewnie ma rację. Chodzi jednak o to, że tamta pierwsza mnie rzuciła i kiedy zacząłem chodzić z twoją matką, to głównie się bałem. A niektóre sprawy między nami nigdy się nie ułożyły. Na przykład jej rodzice. Nie lubili mnie, uważali, że jestem wieśniakiem, bo byli bogaci. Szczególnie twój dziadek, nie dogadywaliśmy się. Ten facet był draniem. Twoja mama nie chciała go krytykować, ale bił swoją żonę i robił różne inne okropne rzeczy.

Nie mogliśmy o tym rozmawiać. A potem ona chciała, żebym w ogóle więcej mówił, żebym ją zabawiał. Jakiś rok po ślubie powiedziała mi, że czekała, aż w końcu znajdę jakieś interesujące rzeczy do powiedzenia. Nie było miło to usłyszeć. Chyba czasami nie zastanawiała się wystarczająco nad tym, co mówiła. Nieważne.

Kiedy któregoś razu Jim mówił do Roya, usłyszał zbliżającą się i zwalnającą łódź. Zerwał się na nogi i tak szybko, jak potrafił, zaczął człapać w kierunku plaży, ale się zatrzymał. Słyszał silnik, pracował na niskich obrotach, ktoś pewnie sprawdzał chatę, Jim jednak nie potrafił się zdecydować, czy przebiec resztę drogi i zatrzymać przybysza. Zdawało się, że to będzie za dużo jak na ten konkretny dzień. Nie czuł się gotowy. Dlatego ukrył się między drzewami i czekał niepewny, a potem usłyszał warkot i łódź odpłynęła.

Jim wrócił na grób. Mój Boże, powiedział. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłem. Coś jest nie tak. Nie jestem jeszcze gotów powiedzieć o tobie innym.

Tamtej nocy leżał w łóżku pod wieloma nakryciami, zastanawiając się, co teraz będzie. Nie mógł zostać tutaj i umrzeć z głodu, ale właśnie takiego wyboru dokonał tego popołudnia. Nie mógł wiecznie ukrywać Roya. Jego matka i siostra musiały się dowiedzieć. Jim był tak zdezorientowany, że po raz pierwszy od wielu tygodni się rozpłakał. Po prostu nie wiem, powtarzał na głos, patrząc w sufit.

Następnego dnia nie wstał z łóżka, nie poszedł na grób. Nie poszedł też łowić krabów ani szukać żadnego innego jedzenia. Zamierzał wstać, ale na zewnątrz było zimno i dręczyły go sny na jawie, które wciąż wydłużał, zamykając oczy, aż znowu zapadła noc, a on nadal leżał w łóżku.

Rozmyślał o Lakeport, o liceum, o tym, jak przepracował wiele godzin w Safewayu. Nienawidził tego, wiedział już wtedy, że to strata czasu, że nic nie przyniesie, bo w końcu i tak będzie się w życiu zajmował czymś innym. Wiosną tępił komary. Pamiętał, jak spryskiwali stawy środkami owadobójczymi, żeby komary się nie mnożyły. Wielkie pojemniki chemikaliów. Zastanawiał się, co w nich było. Na pewno nic dobrego.

To wtedy zaczęły się jego problemy z zatokami. Nawracające infekcje, a potem bóle głowy. Teraz wróciły. Właśnie to doprowadziło go na próg samobójstwa, ten ból w głowie. Nie można było od niego uciec, nie można było się przespać. Od jakichś dwudziestu lat niemal nieustannie cierpiał na bezsenność. Powinien przejść zabieg, ale nie lubił nawet myśli o operacji. Zbyt wieloma pacjentami zajmował się w gabinecie. Wiedział, jak brutalny może być zabieg, i znał związane z nim ryzyko.

Kolejne wspomnienie, z jeszcze wcześniejszych czasów, łódź, którą pływali po jeziorze, stara przerobiona motorówka wojskowa z lat dwudziestych. Obili na nowo kadłub i wypływali w ciepłe letnie noce, śpiewali. Tego właśnie teraz pragnął, zdał sobie sprawę, czego nie miał od dziesięcioleci: grupy ludzi, wspólnoty, konkretnego miejsca i poczucia przynależności. Co się z nimi stało?

Rano wstał i poszedł na poszukiwanie krabów. Był odpływ, miał więc z czego wybierać. W jednej z kałuż znalazł rodzaj niewielkiej skorpeny, którą udało mu się w końcu zabić kijem. Była kolczasta, ale oczyścił ją scyzorykiem od razu, na kamieniu, i zjadł na surowo. Potem usiadł w słońcu i oblizał usta. To było cholernie dobre, powiedział. W końcu jakiś posiłek. Zagryzł wodorostami i wrócił do chaty, żeby napić się wody, a później poszedł odwiedzić Roya.

Nie myślę już o tobie tak często, powiedział Royowi. Myślę o sobie, kiedy byłem w twoim wieku. Jak polowałem na kaczki tuż przed domem. Nocami z lampą łowiłem z pomostu okonie, strzępiele i sumy. O tym wszystkim także myślałem. Wydaje mi się, że jedno życie to tak naprawdę wiele żyć i razem tworzą coś zaskakująco długiego. Moje życie wtedy nie przypominało mojego życia teraz. Byłem kimś innym. Ale smuci mnie chyba, i dlatego o tym wszystkim mówię, że ty nie będziesz już miał szansy na kolejne życia. Miałeś dwa, może trzy. Wczesne dzieciństwo w Ketchikan, potem po rozwodzie przeprowadzka z matką do Kalifornii. To dwa. Może bycie tutaj ze mną to początek trzeciego. Ale wiesz, sam się zabiłeś, ja cię nie zabiłem, więc tyle z tego masz.

Przez resztę popołudnia Jim grzebał w szopie, patrząc na różne rdzewiejące narzędzia i porzucone projekty. Robił się bardziej aktywny, głównie dlatego, że nagle zaskakująco się ociepliło. Zazwyczaj nie zostawałby na dworze tak długo. W zasadzie zima na południowym wschodzie Alaski nie była taka zła. Wcześniej za bardzo się zestruchał, spiżarnią i w ogóle. Nie było wcale tak trudno tutaj przetrwać.

A potem wszedł w fazę, w której nie miał w ogóle żadnych myśli ani wspomnień. Leżał w łóżku i gapił się w sufit. Kiedy wychodził, gapił się na drzewa albo na wodę. Była spokojna, żadnych fal. Czasami lekki przypływ, woda szara, matowa i jakby gęsta. Czasami siedział przy Royu, nic już jednak nie gadał. Był gotów wrócić do swojego życia, wrócić do innych ludzi.

Ale został. Niemal przez tydzień trwała burza, Jim nie miał nic do jedzenia. Nie chciał wychodzić na zewnątrz. Wydawało mu się, że chata zawali się pod naporem żywiołu. W okna waliły grad, deszcz, śnieg, potężne wiatry, wciąż było ciemno. Nienawidził tego miejsca. Marzył o gorącej kąpieli.

Kiedy burza w końcu ucichła, był już tak zdesperowany i głodny, że postanowił wzniecić pożar. Wszystko ociekało wodą, wszedł jednak do lasu, zabrawszy zapasowy kanister benzyny i pudełko zapalek. Idąc, przystawał po drodze kilka razy. Znalazł miejsce z dużą liczbą spróchniałych drzew i takich rosnących w skupiskach, oblał tyle pni, ile mógł, potem zapalił zapałkę i cofnął się, kiedy buchnął płomień. Zaczął wrzeszczeć z ekscytacji, patrząc, jak ogień pożera próchno i podchodzi pod niższe drzewa. Żar był piękny. Po raz pierwszy od lata Jimowi zrobiło się w końcu ciepło i trzymał się bardzo blisko ognia, tak blisko, że twarz miał gorącą, być może płonącą. Dym zasłonił czubki drzew i wieczorne niebo, a huk ognia zagłuszał wszystko. Jim tańczył na jego skraju, pragnąc, by pochłonął wszystko. Rośnij, wrzeszczał. Rośnij.

A pożar rósł szybko. Objął całą okolicę, w której pochowany był Roy, wypalił sobie drogę nad wodę i przesunął się wzdłuż brzegu w stronę chaty. Jim miał nadzieję, że rozchodzi się również w innych kierunkach. Wiatr jednak wiał w stronę domu, więc ogień szedł głównie tam. Przez moment Jim się zastanawiał, czy nie powinien był podpalić drzew po drugiej stronie, żeby chata pozostała bezpieczna, ale miał to gdzieś. Niech się wszystko spali, pomyślał, a potem niech po mnie przyjdą. Nie mogę tak tutaj tkwić do końca życia.

Pożar wzrastał przez następną godzinę, po zachodzie słońca, i dotarł do budynku w chwili, kiedy zaczęło padać. Jim wygrażał niebiosom, pomstując, że ukarze deszcz, ale on nie ustawał. Ogień strawił część dachu i jedną ścianę chaty, po czym przygasł, dymił i w końcu już tylko śmierdział. Był środek nocy. Jim poszedł do sypialni, która ocalała i teraz śmierdziała bardziej dymem niż Royem, i zasnął.

Obudził się, kiedy dach w kuchni zapadł się pod naporem deszczu. Huk był niewyobrażalnie głośny, ale Jim wiedział, co się stało, dlatego nawet nie wstał. Zasnął i znów obudził się w południe, mokry i drżący. Mimo że fragment dachu nad nim jeszcze się trzymał, deszcz zacinął z boków i padał na posłanie.

Lepiej mnie znajdźcie, powiedział. Lepiej znajdźcie mnie teraz.

Tego dnia przeszedł przez spalony las do grobu Roya. Deszcz ustał. Jim nie miał pewności, czy dobrze trafił, ale dół wciąż tam był, a spalone pnie znajdowały się raczej w tych samych miejscach, usiadł więc w mokrym, czarnym popiele, drżąc na całym ciele, i został na chwilę.

Sam nie wiem, odpowiedział Royowi. Może to widzieli, a może widzieli, ale ich nie obeszło. Już się zresztą nie pali. Nie ma już pożaru.

Przeszedł do niespalonej części lasu i odrywał właśnie korę, żeby ją zjeść, kiedy usłyszał nad głową helikopter, który przeleciał, a potem wrócił i zawisł niedaleko brzegu nad chatą. Jim tak szybko, jak mógł, wyszedł na spotkanie, ale był bardzo powolny i kilka razy musiał odpoczywać. Jednak kiedy wyszedł z lasu i zaczął machać, helikopter wciąż tam był.

Hej, zawołał. Jesteś piękny. Nie przestawał machać. No chodź, zawołał.

Założył, że nie mają jak wylądować, bo tylko wisieli nad ziemią. Helikopter biura szeryfa, ale bez pływaków. Widział twarze w środku, dwie, w słuchawkach, hełmach i goglach. Machał i pocierał ręce, by zrozumieć, że mu bardzo zimno, a oni odmachali w odpowiedzi. Maszyna wydała się Jimowi istnym cudem nowoczesności. Wisieli tak przez jakieś pięć minut, a potem włączyli głośnik.

Wezwaliśmy przez radio hydroplan, powiedzieli. Przyleci po ciebie za godzinę lub dwie. Jeśli nazywasz się James Edwin Fenn, podnieś prawą rękę.

Jim podniósł prawą rękę. Helikopter się wzniósł, zawrócił i odleciał. Jim był podekscytowany. Gotowy, żeby znów mieć normalne życie.

Jakąs godzinę czy dwie później, kiedy wrócił już do chaty, odgruzował piec i rozpałił w nim ogień, żeby się rozgrzać, bojąc się hipotermii, hydroplan przeleciał nad cieśniną, zakręcił i ciężko usiadł na wodzie niedaleko plaży. Jim stał na brzegu i machał. Czekali, dopóki pływaki nie uderzyły o piasek, potem wyłączyli silnik i dwóch mężczyzn w mundurach zeszło po pływakach na brzeg, a pilot czekał w kabinie.

Witamy, zawołał pierwszy mężczyzna.

Jim zamachał. Cieszę się, że przylecieliście, powiedział. Byłem na Sukkwanie z moim synem.

To już wiemy, odparł mężczyzna. Szukaliśmy pana i pańskiego syna. Jestem szeryf Coos.

Uścisnęli sobie dłonie.

Martwiliśmy się o was. Od dwóch miesięcy jesteście uznani za zaginionych.

No, ja byłem tutaj. Ale mój syn, on umarł. Zabił się. Popłynąłem szukać pomocy, ale nic nie znalazłem. Trafiłem tutaj i musiałem przetrwać zimę. Zniszczyłem tym ludziom dom, ale zapłacę. Musiałem to zrobić, żeby przeżyć. Pochowałem mojego syna w lesie.

Moment, powiedział Coos. Powoli. Pana syn się zabił?

Taa.

No dobra, powiedział Coos. Leroy spíše pana zeznanie. Wszystko musi zanotować.

Jim poczekał więc i już wolniej podał pełniejszą wersję, choć i tak niepełną, całej historii. Powiedzieli, że po powrocie do miasta będą potrzebowali więcej szczegółów. Teraz przyjęli najważniejsze fakty i chcieli zobaczyć, gdzie pochował Roya.

Szli zaraz za nim. Jim próbował iść szybciej, ale nie miał siły. Potem się zgubił i nie mógł znaleźć Roya. Poczekajcie chwilę, powiedział. To gdzieś tutaj. Trudno mi teraz to znaleźć z powodu pożaru. Dzisiaj rano byłem tutaj i z nim rozmawiałem, ale teraz nie mogę go znaleźć.

Stali tylko blisko i nic nie mówili. Wiedział, że kiepsko wygląda, jakby celowo próbował nie znaleźć Roya, więc spanikował i zrobiło się jeszcze trudniej. Spalony las wyglądał wszędzie tak samo.

Nie dam rady. Przepraszam, ale dzisiaj nie dam rady go znaleźć. Odwrócił się do Coosa. Wiedział, że powinien być rozsądny. Od tak dawna nikogo nie widziałem, powiedział.

Przykro mi z powodu pana nieszczęścia, powiedział Coos. Dziś zabierzemy pana do domu. Ale musi pan znaleźć syna.

Jim szukał więc dalej, a kiedy stanął w jednym miejscu i spojrzął w dół, zauważył, że znajduje się w niewielkim zagłębieniu, zobaczył swoje wcześniejsze ślady z tego samego dnia i zrozumiał, że stoi na grobie. Zaczął płakać i powiedział im: To tutaj.

Jim odsunął się od grobu i usiadł, podczas gdy mężczyźni oglądali zagłębienie, Leroy zrobił zdjęcia, a potem wrócił do samolotu po łopatę.

Przepraszam, powiedział szeryf. Ale nie możemy tutaj zostawić ciała. Na pewno pan rozumie.

Jasne, odparł Jim. Położył się na boku i ich obserwował. Blisko ziemi smród spalenizny był tak silny, że trudno się oddychało, ale Jim czuł się bezpiecznie, leżąc tak, i nie zamierzał wstawać. Popatrzy, a niedługo zobaczy, jak chowają Roya w przyzwoity sposób. Jeśli zaś będą próbowali go o coś oskarżyć, znajdzie dobrego prawnika i się z tego wytłumaczy. Przecież nie zrobił nic złego. Jego syn popełnił samobójstwo i choć potem Jim wielokrotnie złamał prawo, zrobił to, bo musiał, bo inaczej by nie przeżył. Zaczął niemiłosiernie się nad sobą użalać, nienawidził szeryfa i Leroya, choć wiedział, że to bez sensu. Po prostu wykonywali swoją pracę, nawet o nic go nie oskarżyli.

Byli ostrożni. I robili zdjęcia. Kiedy w końcu dokopali się do śpiwora, zrobili bardzo dużo zdjęć, od pierwszego widocznego kawałka do całkowitego odsłonięcia, a potem Leroy go otworzył i zwymiotował.

Coos musiał do końca otworzyć śpiwór, następnie zrobili z lampą błyskową zdjęcia tego, co było w środku, ale nic nie wyjmowali. Zamknęli śpiwór i Leroy poszedł do samolotu po duży przezroczysty plastikowy worek. Włożyli do niego śpiwór z Royem, po czym zakleili go ciasno taśmą.

Aresztuję pana, powiedział Coos do Jima. I odczytał mu jego prawa.

Co? – zapytał Jim, ale nie odpowiedzieli. Podnieśli go we dwóch i Leroy trzymał go pod ramię, kiedy szli z powrotem przez popiół i skały, i plażę na brzeg.

Włożyli Roya na tył, Jima posadzili na jednym z tylnych siedzeń. Pilot zawrócił, potem dodał gazu i samolot się uniósł. W trakcie lotu Jimowi kręciło się w głowie, zasnął i obudził się, kiedy znowu lądowali na wodzie.

Gdy wysiedli, Jim z zaskoczeniem zauważył, że są w Ketchikan. Mieszkał tu kiedyś

z Elizabeth i Royem i tutaj urodziła się Tracy, zanim wszystko się rozpadło.

Zadzwoniliśmy do matki chłopca, powiedział Coos. A pana zabieramy do szpitala na badania.

Dzięki, powiedział Jim.

Nie ma sprawy. Ale musi pan wiedzieć, że jeśli zabił pan syna, a myślę, że tak było, to dopilnuję, żeby znalazł się pan w więzieniu, a jeśli pan wyjdzie, własnoręcznie pana zabiję.

Jezu, powiedział Jim.

Lekarz szybko go zbadał i stwierdził, że trzeba mu tylko jedzenia, wody i odpoczynku. Obejrzał też czubek nosa Jima i powiedział, że niewielki fragment jest odmrożony, ale nic się nie da z tym zrobić. Potem Jima zabrano do biura szeryfa, żeby złożył obszerniejsze zeznania. Przez resztę dnia kazali mu powtarzać to samo raz po raz. Wciąż wracali do pytania, dlaczego jego syn chciał się zabić.

Ja chciałem się zabić i byłem tego bliski. Rozmawiałem przez radio z Rhodą i zamierzałem to zrobić. Roy ciągle musiał o tym słuchać. Nie tylko przez radio, ale też rozmawiałem z nim o tym, i kiedy słyszał, jak płaczę, i w ogóle.

Jim potrząsnął głową. Nie mógł już mówić, miał problem z oddychaniem. Płuca zrobiły się jakby kleiste. No więc stałem tam z pistoletem przy głowie, gotów strzelić. Od jakiegoś czasu tak miałem, ale nie potrafiłem pociągnąć za spust. Wciąż myślałem: A jeśli się mylę? Wtedy wchodzi Roy i widzi mnie, i patrzy na mnie tak, że nie wiem, co zrobić, więc wyłączyłem radio, podałem mu pistolet i wyszedłem. Nie zrobiłem tego rozmyślnie. Nie miałem pojęcia, co on robi.

Co stało się później, Jim?

No cóż, byłem na dworze, szedłem, usłyszałem strzał, ale nawet wtedy nie domyśliłem się, co się stało, więc jak debil chodziłem dalej w kółko, a potem wróciłem i go znalazłem.

Co zobaczyłeś, kiedy go znalazłeś?

Jezu. Czego jeszcze ode mnie chcecie? Leżał tam. Odstrzelił sobie głowę. Wiecie, jak to wygląda.

Nie, nie wiemy.

Nie wiecie? No to miał tylko pół twarzy, a kawałki leżały wszędzie, nie mogłem nic zrobić, żeby go pozbić.

Co potem zrobiłeś z ciałem?

Pochowałem je. Ale zrozumiałem, że Roy potrzebuje pogrzebu z matką i siostrą, więc go wykopałem, potem, no cóż, popłynąłem szukać łodzi albo domu, albo kogoś z radiostacją.

Co się stało z twoim radiem?

Rozwaliłem je.

Kiedy?

Zaraz po tym, jak on się zabił. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

Rozwaliłeś radio zaraz po śmierci syna. Może dlatego, żeby nikt nie mógł się z tobą skontaktować? Chciałeś coś ukryć?

Przestańcie, powiedział Jim. Przestańcie gadać jak idioci. Po prostu je rozwaliłem, później popłynąłem na poszukiwania, ale nikogo nie mogłem znaleźć i musiałem włamać się do tamtej chaty, żeby przetrwać, kiedy czekałem. Wieki wam zajęło

odnalezienie mnie, i to dopiero kiedy spaliłem połowę wyspy. Gdyby nie to, wciąż bym tam gnił.

Kto gnił?

Zamknij się, palancie.

Panie Fenn, przypomnę coś panu. Jest tu pan z powodu wielu zarzutów, nie tylko morderstwa. Powinien pan z nami współpracować i odpowiadać na nasze pytania.

Jestem dentystą. To oburzające. Nie zabiłem syna.

Być może.

To było dopiero pierwsze z wielu przesłuchań. Kazali mu powtarzać całą opowieść raz po raz, wszystkie szczegóły, szukali niepasujących elementów. Dlaczego Roy był w śpiworze? Gdzie jest pistolet? Tego Jim naprawdę nie wiedział. Gdzie go położył? Nie pamiętał, żeby gdziekolwiek go kładł. Ostatnie, co pamiętał, to to, że broń leżała na podłodze, ale oni nic nie znaleźli. Najwyraźniej więc coś z nią zrobił.

Zniszczenie radiostacji to kolejna rzecz, do której nieustannie wracali. I do tego dnia, kiedy zszedł z klifu. I do tego, jak podał Royowi pistolet. Wszystkie te sprawy raz po raz, aż Jim nie był już całkowicie pewien, czy cokolwiek z tego, co mówi, wydarzyło się dokładnie tak, jak pamiętał. Jakby opowiadał historię kogoś innego.

Przez kilka dni trzymali go w areszcie i nie pozwalali mu do nikogo zadzwonić. Nikt oprócz lekarza nie wiedział, gdzie jest Jim, dopóki w końcu nie przysłali jakiegoś prawnika. Ale ten niemal nic nie mówił. Tylko chodził w tę i z powrotem przed celą Jima, a potem powiedział: Chciałby pan własnego prawnika, tak? Czy o to pan mnie teraz prosi?

Właśnie, powiedział Jim.

Dobrze, odparł mężczyzna. Zadzwoń do jednego i przyjdzie tu dzisiaj.

Potem wyszedł. Dużo później tego dnia pojawił się inny mężczyzna w garniturze i pod krawatem.

Norman, przedstawił się. Niech się pan cieszy, że tu jestem. Wygląda na to, że ma pan kłopoty. Ale najpierw muszę wiedzieć, czy pana na mnie stać.

Muszę się stąd wydostać, powiedział Jim. Za kaucją czy coś. I tyle. Nieważne, ile mnie to będzie kosztować.

Okej, powiedział Norman. Mogę coś na to poradzić.

Minął niemal tydzień, zanim postawili mu zarzuty i mógł opuścić areszt. Chciał polecieć do Kalifornii, spotkać się z Elizabeth, Tracy i Rhodą, spróbować wyjaśnić, ale warunkiem wyjścia za kaucją było pozostanie w Ketchikan, wziął więc taksówkę i pojechał do hotelu, obskurnego, małego, nazywał się Royal Executive Suites. Kiedy osiem lat wcześniej Jim mieszkał w Ketchikan, zaprzyjaźnił się z właścicielem tego miejsca, wtedy młodym facetem, który dopiero zszedł z promu. Przeprowadził się tutaj i choć był mormonem, a Jim nie, Jim zabierał go na ryby, pozwolił mu u siebie pomieszkać i pomógł znaleźć pracę. Chłopak nazywał się Kirk i teraz nie miał dla Jima czasu, ale wynajął mu pokój za dwa razy wyższą cenę, niż pokój był tego wart.

Jim siedział tam z włączonym ogrzewaniem i dzwonił. Zadzwoił do matki Roya, Elizabeth, ale włączyła się sekretarka. Po usłyszeniu sygnału stał tylko ze słuchawką w ręku i nie miał pojęcia, co powiedzieć. W końcu powiedział tylko „Przepraszam”

i się rozłączył. Potem chciał zadzwonić do Rhody, ale nie był jeszcze na to gotowy. Nie czuł się gotowy na rozmowę z kimkolwiek, dał więc sobie spokój z telefonami.

Resztę dnia spędził na krześle przy oknie, patrząc na wodę i nie myśląc o niczym konkretnym. Śnił na jawie, że Roya ktoś postrzelił, a on zabił tych, którzy to zrobili, załatwiając ich, jednego po drugim, ze swojej strzelby, potem zaniósł Roya do pontonu i pędem popłynął na następną wyspę, tam napotkał łódź rybacką i wziął Roya na pokład. Położyli go na pokładzie z czerwonym łososiem, a Jim uciskał synowi klatkę piersiową, żeby utrzymać go przy życiu, aż w końcu przyleciał helikopter i go zabrał. Jim próbował zatrzymać w głowie ten ostatni obraz Roya obracającego się nad nim powoli na noszach, zabieranego w bezpieczne miejsce. Czuł w piersi ciężar swojej miłości do Roya i przytłaczał go smutek po uratowaniu syna.

Nie mógł jednak wiecznie tak marzyć, później więc siedział już tylko na krześle przy oknie i był to kolejny pochmurny dzień przy włączonym grzejniku. Spojrzał na swoje stopy w skarpetkach na czystym beżowym dywanie i na kremowe ściany, i bielony sufit, a potem w dół, na kiepską akwarelę przedstawiającą rybaków wciągających połów na łódź. Chciał porozmawiać z bratem albo z Rhodą, ale nie był w stanie zadzwonić. Kiedy zgłódniał na tyle, że nie mógł już tak siedzieć, ubrał się i przygotował, żeby stawić czoło dobrym ludziom z Ketchikan.

Jim przeszedł przez lobby, nie patrząc na nikogo, i ruszył na drugą stronę ulicy do knajpy, w której podawali rybę z frytkami. Usiadł w narożnym boksie i gapił się na swoje zaciśnięte dłonie. Kelnerka, która w końcu podeszła, chyba go nie rozpoznała, choć widział ją tu lata temu. Najwyraźniej jeszcze nie zyskał sławy z powodu tego, co się stało na wyspach. Przedtem wydawało mu się, że wywoła więcej zamieszania.

Jim stukał palcami w czerwony laminat, czekał, popijał wodę i zastanawiał się, jak to się stało, że skończył tu bez żadnych przyjaciół. Nikt nie przyleciał, aby go odwiedzić ani mu pomóc. John Lampson z Williams i Tom Kalfsbeck z Lower Lake: do nich jeszcze nie dzwonił, więc nie mogli wiedzieć, ale nawet gdyby zadzwonił, raczej by nie przyjechali. I to również z powodu kobiet. Z powodu swojej obsesji na punkcie Rhody przez te ostatnie lata stracił kontakt z przyjaciółmi z Kalifornii, a nowych w Fairbanks nie miał. Wykonywał swoją pracę, kupował różne rzeczy, rozmawiał przez telefon, spotykał się z prostytutkami i kilka razy poszedł na kolację z innymi dentystami czy ortodontami oraz ich żonami, ale nic poza tym. Nie dziwi zatem, że upadł tak nisko. Odciął się od wszystkich i dbał o to, co zdawało mu się miłością, lecz było tylko tęsknotą, rodzajem choroby, która nie miała zresztą nic wspólnego z Rhodą. Trzeba było tego wszystkiego, by zrozumiał, zobaczył. Jego syn musiał się zabić, żeby Jim mógł odzyskać swoje życie. Ale to też się nie uda, bo przecież nie tylko o śmierć syna chodziło.

Jim ze wszystkich sił starał się powstrzymać szloch ze strachu, że ktoś zauważy, że będzie wyglądał jak człowiek winny, choć przecież nikt nie mógł wiedzieć o zbrodniach, które w rzeczywistości popełnił. Nie tak oczywistych jak morderstwo, ale innych, jeszcze poważniejszych.

Kelnerka w końcu postawiła przed nim danie. Zjadł, choć nie miało smaku, i był w stanie myśleć tylko o Royu.

Późnym wieczorem znowu wyszedł, żeby pochodzić nad wodą. Minął centrum, w którym pracował, i ruszył dalej, do dawnej dzielnicy czerwonych latarni, teraz

zachowanej jako zabytek i zmienionej w okolice niewielkich sklepów dla turystów. Małe drewniane budynki niepewnie wisały nad brzegami wąskiej rzeki. Jim stanął na moście i patrzył na nie, próbując wyobrazić sobie życie tutaj przed swoim urodzeniem. Ale tego właśnie nigdy nie potrafił zrobić, wysłać swojego życia w inne.

Rano usłyszał pukanie do drzwi, a kiedy otworzył, zobaczył Elizabeth i swoją córkę Tracy.

Rany, powiedział. Boże, nie spodziewałem się was.

Och, Jim, powiedziała Elizabeth i objęła go po raz pierwszy od lat. Niewiarygodnie wspaniałe uczucie. Potem Jim schylił się i uściskał Tracy. Musiała niedawno płakać, wyglądała na wyczerpaną. Jim nie wiedział, co powiedzieć.

Wejdźcie, rzucił tylko. Weszły za nim i usiadły na kanapie.

Tracy zaczęła szlochać. Elizabeth przytuliła ją i ucałowała w czubek głowy, potem spojrziała na Jima i zapytała: Co tam się wydarzyło, Jim?

Nie wiem, odparł Jim. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

Może jednak spróbujesz?

Ale ona również zaczęła płakać, Tracy płakała i wyszły, Elizabeth obiecała, że wróca później tego samego dnia.

Jim czekał więc, siedząc na krześle, twarzą do drzwi pokoju, nie mogąc uwierzyć, że obie są tutaj, w mieście. Tak długo go nie było i jeszcze trudniej było mu pojąć, że wszyscy są tutaj razem, w Ketchikan, wszyscy oprócz Roya oczywiście, ale potem jego umysł znów się zatrzymał. To już za dużo. Poczuł ogromny strach, nie miał jednak pojęcia, czego konkretnie się boi.

Kiedy Elizabeth i Tracy wróciły, minęła pora kolacji, ale nie byli głodni, siedzieli więc w pokoju w milczeniu i Jim pragnął odzyskać rodzinę i to życie, i marzył na jawie, że Roy zaraz wejdzie.

Zabiłeś go? – zapytała Elizabeth, po czym znów pograżyła się w głośnym, okropnym, wstrętnym szlochu, który u Tracy także wywołał płacz.

Jim nie płakał; kalkulował, próbował znaleźć sposób, żeby je odzyskać, ale nie widział żadnego.

Przepraszam, powiedział. Przez cały czas się bałem, że się zabiję. On się mną zajmował. Potem mnie zaskoczył i to on popełnił samobójstwo.

Co się wydarzyło, Jim?

Wychodząc z chaty, podałem mu pistolet. Ale nie po to, żeby go użył.

Podajesz mu pistolet?

Jim już wiedział, że nie powinien był jej tego mówić.

Ale nie chciałem mu niczego sugerować, dodał.

Podajesz mu pistolet? Elizabeth wstała, przeszła przez pokój i zaczęła bić Jima, mocno, a on widział Tracy, której twarz zamarła w potwornym grymasie; tylko patrzyła. Później wyszły, a on czekał cały wieczór, aż wróca, i następnego ranka, ale nie wróciły, zaczął więc chodzić po mieście, szukać i w końcu znalazł ich hotel, zdążyły się jednak wymeldować. Szukał do wieczora, aż wpadł na pomysł, że może zadzwonić do linii lotniczych, ale tam słyszał tylko nagranie, żeby zadzwonić rano, a wtedy się dowiedział, że poleciały do Kalifornii, zabierając szczątki Roya.

Jim wciąż dzwonił i dzwonił do Elizabeth, aż w końcu któregoś dnia odebrała. Próbował się wytłumaczyć, ale nie chciała słuchać.

Ja tego nie rozumiem, Jim, powiedziała. Nigdy tego nie rozumiem. Jak mój syn stał się chłopcem, który zrobił sobie coś takiego? Co mu zrobiłeś, żeby go takim uczynić? Później się rozłączyła i nie odbierała przez wiele dni, potem zmieniła numer telefonu i go zastrzegła, a Jim nie mógł wyjechać z Ketchikan ani skontaktować się z kimkolwiek znajomym, kto dałby mu ten nowy numer. Wszyscy, nawet jego brat i przyjaciele, byli przeciw niemu. Jediną osobą, do której nie zadzwonił, była Rhoda. Nie mógł do niej zadzwonić, bo w pewnym sensie ona również zabiła Roya.

Jim próbował podjąć decyzję o tym, jak funkcjonować. W pewnym momencie będzie musiał wrócić do swojego życia. Nie może spędzić następnych pięćdziesięciu lat, siedząc tu i cierpiąc. Ale tak naprawdę to się bał. Nie był pewien, czy potrafi udowodnić, że nie zamordował syna.

Jakoś po drugiej nad ranem Jim zdał sobie sprawę, że minął niemal rok, odkąd ostatnio był z kobietą. Ubrał się więc i poszedł szukać jakiejś prostytutki.

Ulice były mokre, mgła wisiała nisko. Przez wodę dźwięki z drogi niosły się dziwnie. Dzwony rybackie, syreny przeciwmgienne, mewy i syk opon na asfalcie. Szedł do centrum, do swojego dawnego gabinetu.

Odnowili front budynku. Wyglądał teraz nowocześniej, miał ciemnozielony kolor. Złote litery na oknach z nazwiskami dentystów, dwóch.

Mogłem tutaj zostać, powiedział. Gdybym nie zdradzał i wszystkiego nie zepsuł. Gdybym wytrzymał przy swojej żonie. Gdyby łososie jak ptaki latały nad ulicami.

Nie był pewien, co robić tu, przy gabinecie. Odwrócił się od niego, przeszedł przez ulicę i ruszył drugą stroną w kierunku dawnych przetwórni.

Latem w tej okolicy pracowało mnóstwo studentów, ale teraz, wiosną, ulice były zupełnie wyludnione. Jim minął jakiegoś staruszka siedzącego na ławce przed przetwórną, zignorowali się nawzajem. Mijał budynek za budynkiem, nie znalazł jednak żadnej prostytutki. Poszedł wzdłuż rzeki do dawnej dzielnicy domów publicznych, żeby po prostu iść, ale wiedział, że nikogo tam nie spotka, i nie spotkał. Stał przy drewnianej poręczy, patrząc w zielonoczną wodę płynącą gładko do morza, i się poddał.

Zamiast jednak wrócić do hotelu, ruszył w przeciwnym kierunku, oddalając się od miasta. Minął przetwórnę, maszerował wzdłuż szosy, szedł we mgle i mżawce, jedyny pieszy na drodze. Dobrze iść i dobrze być na zewnątrz, samotnie. Nie mógł już wytrzymać w tym hotelu.

Las po obu stronach drogi niewyraźnie wyłaniał się zza mgły. Na wyspie było lepiej, teraz Jim to rozumiał. Wtedy wciąż wierzył, że ktoś go uratuje, mógł chodzić i rozmawiać z Royem. Teraz Roy był dwa i pół tysiąca kilometrów stąd.

Ciemnozielony pikap wyjechał nagle z mgły i gwałtownie skręcił, żeby nie uderzyć w Jima. Zatrzymał się jakieś trzydzieści metrów za nim i przez tylną szybę spojrzęło dwóch mężczyzn. Długo na niego patrzyli, Jim nie ruszał się z miejsca i także patrzył, dopóki nie odjechali. Ale bał się, że tamci wrócą z innymi. Głupio zrobił, zostając tutaj. Ryzyko było zbyt duże. Potem zrozumiał, że to tylko paranoja, bo nikt nie mógł wiedzieć, kim jest.

Tak czy inaczej, zawrócił pospiesznie, szedł poboczem i ukrywał się w zaroślach, gdy tylko usłyszał nadjeżdżający samochód. Do miasta było daleko. Nie zdawał sobie

sprawy, że tyle uszedł.

Zakręt po zakręcie i nabrzeże pojawiające się dwukrotnie za mgłą, spokojna szara woda oświetlona przez przysłonięty księżyc.

W końcu dotarł do przetwórnicy i przestał ukrywać się przed samochodami. Minął dzielnicę burdeli, okolicę turystyczną, a potem centrum, idąc dalej wokół przylądka do hotelu. Było niemal ciemno, ale zgarnął tych kilka rzeczy, które miał: zmianę ubrań w reklamówce, maszynkę i szampon, portfel, buty. Wszystko wrzucił do torby, zostawił Kirkowi liścik: Dzięki, że ze mnie zdarłeś, i wyszedł na wieczór, w stronę promu, który zabrały go na drugą stronę, na lotnisko.

Terminal promowy znajdował się pięć kilometrów dalej, za Jackson Street, na końcu miasta. Jim był zmęczony, kiedy tam dotarł, i głodny, a nie miał gdzie zjeść. Spojrzał na rozkład i pojął, że to niewłaściwy terminal, jeśli chciało się dotrzeć na lotnisko. Do tego przyływały duże promy Alaska Marine Highway, które później kierowały się w górę do Haines i w dół do stanu Waszyngton.

Uznał, że nie musi wcale lecieć. Po prostu pragnął wyjechać, a wczesnym rankiem odpływał prom do Haines. Do tej pory prześpi się na ławce.

Na promie Jim zamówił hot doga i małą pizzę, i mrożony jogurt. Nieustanne wibracje i dźwięk silników pod podłogą uspokajały. Pomyślał, że gdyby całe życie spędził w drodze, mógłby być dużo szczęśliwszy. Te promy były ciężkie, potężne i niemal nigdy się nie chybotwały i opierały falom, ale kiedy tak siedział, jedząc, już czuł się inaczej. Potem zaczął myśleć o żeglowaniu na Południowym Pacyfiku. Jeśli uda mu się to wszystko przetrwać, może spróbuje. Miał ochotę komuś o tym powiedzieć, porozmawiać z kimś i sprawdzić, co ten ktoś pomyśli.

Rozejrzał się dokoła, ale wszyscy siedzieli w grupach. Dojadł posiłek i zaczął obchodzić górny pokład, szukając kogoś samotnie stojącego przy burcie, ten prom jednak, przynajmniej jeśli chodzi o pokład, wydawał się arką Noego: wszyscy w parach.

Choć nie pił alkoholu, poszedł do baru, bo tam ktoś mógł siedzieć samotnie, mimo że był dopiero ranek. I rzeczywiście, zobaczył przy stoliku kobietę. Ciemne włosy, wyraz twarzy nieszczęśliwy, a może tylko znudzony. Wyglądała na kilka lat młodszą od Jima. Nie sprawiała wrażenia, że na kogokolwiek czeka.

Mogę się przysiąść? – zapytał.

Chyba tak, odparła, ale zdawała się tak znudzona, niemiła, że się zawahał. Patrzyła na niego.

Okej, powiedział i usiadł.

Nie żeby robił mi pan przysługę, powiedziała.

Jim wstał i odszedł. Stanął na rufie i patrzył na kilwater. Chciał opowiedzieć tej kobiecie o Royu. Potrzebował tylko jednej osoby, której mógłby opowiedzieć całą tę historię, żeby ją sobie poukładać, bo kiedy zostawał z nią sam, coraz bardziej brzmiała tak, jakby zabił Roya.

O tym również Jim nie mógł myśleć. Gapił się na kilwater. Choć ciągnął się daleko, rozszerzał i znikał, to z jego punktu widzenia pozostawał dokładnie taki sam. Nigdy nie dogoni promu, nigdy nie zniknie. Może to coś znaczyło, ale przecież Jim tylko się zastanawiał, jak wygląda teraz jego życie, i nie wiedział. Rzeczy działały się jedna po drugiej, wydawało mu się jednak przypadkowe i dziwne, że potoczyły się właśnie tak,

a nie inaczej.

Z tego miejsca Jim czuł spaliny diesla. Poczł tęsknotę za Osprey, swoją łodzią rybacką. Ostatecznie mu się nie udało i musiał sprzedać łódź, ale tak naprawdę to nie była porażka. Spędził mnóstwo czasu ze swoim bratem Garym, łowili białe tuńczyki i halibuty; nauczył się wtedy rozpoznawać flotę rybacką, wszystkich Norwegów, choć tak naprawdę z nimi nie rozmawiał. Każdego ranka i wieczoru słuchał przez radio ich meldunków, raportów o połowach, wieczornych rozrywek. Na zmianę śpiewali stare piosenki, grali na harmonijce, a nawet na akordeonie. Naprawdę niesamowity czas, choć razem z bratem byli wśród nich obcy. Blaszak, tak inni nazywali jego łódź, z powodu surowego aluminium. Tamci w większości mieli starsze, drewniane łodzie. Niektóre z włókna szklanego. Jim słyszał, jak czasami wspominają o nim przez radio, ale nigdy nie zaprosili go, żeby dołączył do rozmowy. Tęsknił za tamtym życiem. Żałował, że nie wypaliło. Roy mógłby w wakacje pracować na łodzi.

Którejś nocy Norwegowie stracili jedną ze swoich jednostek. Rano włączyli radio, zameldowali się i nikt nie wiedział, gdzie się podziała tamta łódź. Większość mówiła tylko po norwesku, ale wtręcali tyle angielskiego, że Jim i Gary rozumieli, co się dzieje. Im również zdarzyło się kiedyś zgubić kotwicę, kiedy zapadła się dryfkotwa. Woda była zbyt głęboka na zwykłe kotwice, więc cała flotylla wyciągnęła dryfkotwy, żeby w ten sposób się zatrzymać, w nocy jednak dryfkotwa się zapadła, a Jim i Gary obudzili się daleko od flotylli, w pobliżu nie było żadnej innej łodzi rybackiej, za to znajdowali się na środku trasy wielkich kontenerowców. Pewnie to samo przydarzyło się tym Norwegom, a ich łodzi nigdy nie odnaleziono.

Z Haines Jim zadzwonił do swojego brata Gary'ego.

Hej, powiedział, to ja, a potem zapadła cisza. Czekał.

Hm, powiedział Gary. Szukają cię.

Szukają mnie?

Uciekłeś mimo kaucji, prawda?

Nie.

Znowu cisza. Ktoś mógłby to zrozumieć inaczej, powiedział Gary. I powinienes pomyśleć, jak się z tego wytłumaczyć, bo to zdanie szeryfa będzie się liczyło.

Dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy? – zapytał Jim. Zadzwoniłem, żeby pogadać o innych sprawach. Chciałem pogadać z bratem. Dużo myślałem o naszych tygodniach na Osprey i że bardzo szkoda, że to nie wypaliło. Żałuję, że już na niej nie pływamy. Myślałem też, jak byłoby fajnie, gdyby Roy latem pracował na łodzi.

Jim, gdzie jesteś?

W Haines.

Słuchaj, musisz się zgłosić. Nie możesz przed nimi uciekać, a bardzo źle wypadniesz przed ławą przysięgłych, jeśli się dowiedzą, że zwiatałeś.

Czy ty mnie słuchasz? – zapytał Jim. Chciałem porozmawiać o czymś innym. Myślisz czasem o Osprey i o tym, jak się żyło na morzu?

Jim czekał. Słyszał, jak brat oddycha.

Taa, myślę, odparł w końcu Gary. Myślę o tamtych czasach. I choć było wtedy ciężko, cieszę się, że to robiliśmy. To była przygoda. Ale drugi raz bym jej nie przeżył.

Nie?

Nie.

Szkoda, powiedział Jim. Wiesz, od kiedy wróciłem, jestem trochę samotny. Nie mam z kim porozmawiać. Nikt nie przyjechał mnie odwiedzić ani mi pomóc.

Teraz nikt ci nie pomoże, odparł Gary. Byłby współnikiem. Ukrywającym zbiega. Nie wiem, jak to się nazywa.

Nie mam szans, żeby sobie z tym poradzić, prawda? – powiedział Jim.

Umilkł, a Gary się nie odzywał i Jim w końcu zdał sobie sprawę, że taka jest prawda. Po prostu czekał na swój upadek. Zrozumiał, że nie może mówić bratu nic więcej.

Muszę już kończyć, powiedział tylko.

Okej, odparł Gary. Chciałbym ci pomóc. Naprawdę. Powinienem był przyjechać odwiedzić cię w Ketchikan.

Trudno.

Jim poszedł prosto do centrum, szukając swojego banku. Na pewno mieli tu oddział. Znalazł kilka innych, dotarł niemal do końca niewielkiego miasta i zaczął już panikować, ale wtedy go zobaczył. Wszedł, trzymając w ręku książeczkę czekową i prawo jazdy, odczekał w kolejce, potem poproszono go do bocznej kasy z powodu wysokości wypłacanej sumy, niemal sto piętnaście tysięcy dolarów w gotówce. Zamierzał całkowicie wyczyścić konto, choć szeryf pewnie je zablokował. Coos wiedział o pieniądzach, ponieważ Jim wybrał już dwieście tysięcy dolarów na kaucję i opłaty oraz kilka tysięcy na życie w Ketchikan.

Urzędniczka, która go obsługiwała, właściwie nie chciała go obsłużyć. To bardzo duża i niezwykła wypłata, powiedziała. Szczególnie gotówką. Muszę pana poinformować, że jesteśmy zobowiązani ją zgłosić. Musimy zgłaszać każdy depozyt lub wypłatę takiej wysokości.

Rozumiem, powiedział Jim.

Czy mogę zapytać, na co są przeznaczone pieniądze?

Na kupno domu, odparł Jim.

Na to mogę panu wypisać czek bankowy.

Nie, to musi być gotówka.

Czek to również wypłata gotówką.

Gotówka w gotówce.

Kobieta zmarszczyła czoło.

Niech pani posłucha, powiedział Jim. To moje pieniądze, tak?

Tak, oczywiście, odparła kobieta. Nie jestem jednak pewna, czy mamy na stanie tyle gotówki. Właściwie to jestem pewna, że nie mamy.

A ile macie?

Słucham?

Wezmę tyle, ile macie.

Kiedy Jim wyszedł, miał przy sobie dwadzieścia siedem i pół tysiąca dolarów w gotówce. Wiedział, że go oszukali, że mieli więcej, ale i tak wystarczy. Nie musi kupować łodzi na własność. Może znaleźć jakąś rybacką łajbę, która właśnie wypłynęła pierwszy raz w sezonie i czekała niedaleko. Będą potrzebowali pieniędzy.

Jim zaczął od większych łodzi. Trudno było kogokolwiek znaleźć. Popytał i udało mu się zdobyć numery telefonów, adresy domów i nazwy barów. Potem znalazł faceta

czyszczącego jedną z mniejszych łódek.

Dobry, zaczął Jim, ale mężczyzna tylko na niego spojrzał, po czym wrócił do pracy. Wyglądał tak typowo, że było to niemal śmieszne. Broda, zniszczona stara czapka, żalony pijak.

Potrzebuję podwózki do Meksyku. Zapłacę piętnaście tysięcy. Zainteresowany?

Wtedy facet na niego spojrzał. Zabiłeś kogoś? – zapytał.

Tylko siebie, odparł Jim.

To może przejdę się do szeryfa i wypytam, a potem pogadamy.

To twoja łódź?

Nie, ale znam kapitana.

To może darujemy sobie szeryfa, a ja zapłacę dwadzieścia tysięcy.

Facet zdjął czapkę i podrapał się w głowę.

Straż przybrzeżną też mamy sobie darować? I może w Meksyku pokazać listę załogi bez jednego nazwiska?

Tak, byłoby dobrze.

Muszę pogadać z Chuckiem. Właściwie nie mamy nic lepszego do roboty.

Facet poszedł do kabiny i długo go nie było. Jim nie słyszał żadnych głosów. Łódź była gówniana, pordzewiała i podrutowana. Ale w dół wybrzeża go dowiezie. W górę byłoby piekielnie trudno, w dół da radę.

Facet wrócił z Chuckiem, który był po sześćdziesiątce, okazał się kapitanem i właścicielem. Wyjątkowo paskudnym człowiekiem, z plamami wątrobowymi na łysym czubku głowy otoczonym ciemnym wianuszkiem tłustych włosów. Gapił się na Jima z taką nienawiścią, że ten od razu wiedział, że nie powinien mu ufać, ale jaki miał wybór? Nic mu nie zostało. Musiał wyjechać, a nie znajdzie nikogo innego niż ci kolesie.

Jakie masz kłopoty? – zapytał Chuck.

Jim nie odpowiedział, tylko czekał. W końcu Chuck rzucił: No dobra, pewnie chcesz wypłynąć od razu?

Zgadza się.

Musimy zabrać prowiant, paliwo, zapasowe filtry i tak dalej. Silnik czasem sprawia kłopoty. To nie będzie szybki ani elegancki rejs. Ale cena wynosi dwadzieścia pięć.

Nie mam dwudziestu pięciu. Nie próbuję się targować ani oszczędzić. Po prostu nie mam.

Dobra, powiedział Chuck. Potrzebujemy jakichś trzech, czterech godzin i dziesięciu tysięcy z góry. I chcę zobaczyć drugie dziesięć, żeby się upewnić, że je masz.

Jim wszedł na pokład, dał mu dziesięć tysięcy i pokazał drugie dziesięć. Został tam, kiedy poszli po prowiant. Nie zamierzał pozwolić, żeby wypłynęli bez niego. Dziewięć godzin później, wieczorem, byli już w drodze.

Wiatr wiał w twarz, zimny i na tyle mocny, że krople przelatowały przez burtę. Ale było pogodnie. Stojąc na rufie, Jim widział wszystkie światła w Haines, kilka pojedynczych wzdłuż brzegu i czekające na wodzie, zbite w kupę łodzie rybackie. Z tyłu porzucona ziemia i wody wśród lądu, a między nimi ciemna i zmieniająca się granica. Płynąc nocą przez dziwne miejsca, człowiek mógł uwierzyć niemal we wszystko, w każdy kierunek, każdą głębokość, Jim o tym wiedział. Folgując

wrodzonym lękiem, łatwo zapominało się o kompasie i sonarze do chwili, kiedy uderzyło się w skały. Miał nadzieję, że Chuck i Ned wiedzą, co robią.

Przez resztę nocy płynęli w stronę Juneau, prześlizgując się obok ciemnego lądu, ledwie dostrzegalnego pod ciemnym niebem. Jim czuł się obcy. Mieszkał na tej ziemi przez większość życia, ale mimo upływu czasu nie stała się ona łaskawsza ani bardziej znajoma. Była tak samo wroga jak wtedy, kiedy pierwszy raz na niej stanął. Miał wrażenie, że jeśli pozwoli sobie na sen, to będzie jego koniec. Chuck pijany przy sterze, prąd ich zniesie, będzie rzucał na boki, aż dno się uniesie, spotykając z kadłubem, potem przewrócą się, nabiorą wody i utoną. To uczucie zawsze było gdzieś blisko. Bezpieczniejsi byłiby dalej od lądu. Jim myślał o tym, jak myślałby o Royu. Roy również był mu wrogi. Nigdy się nie poznali, nigdy nie zmiękli. Niewystarczająco uważnie pilnował syna. Zatracił się we własnych problemach i nie widział niebezpieczeństwa, jakie stanowił Roy. Jim pozwolił sobie zasnąć.

Dzień nadchodził powoli. Cienka linia szarości, a może mniej ciemnego granatu, potem szczyty zarysowane jakby siłą własnej woli, a później szybsze rozświetlenie nad nimi, aż w końcu krawędzie zajęły się ogniem i nagle wszystko było już białe, a pomarańczowe słońce wschodziło cienkimi, podzielonymi liniami między dwoma szczytami, aż zrobiło się ciężkie i żółte i wtopiło w świat zbyt gorące, żeby na nie patrzeć. Wszystko stało się oslepiające. Woda i góry, i powietrze nabrały tej samej jasności, lśniąć. Jim nie mógł odróżnić ludzi ani fal, ani lądu, nie widział nic przez niemal pół godziny, dopóki dzień się nie rozwinął i ląd znów nie stał się lądem, fale nie zrobiły się odleglejsze i wszędzie dokoła nie zobaczył łodzi. Powierzchnia wody pozostawała matowa, szarobiała, jak gruba membrana. Łódź płynęła powoli, osiem, dziewięć węzłów, Haines zostało daleko za nimi, zbyt odległe, żeby je zobaczyć.

Koło ósmej, kiedy Ned zmienił Chucka i rzucił się na całe pudło pączków, minęli coś, co na początku Jim uznał za Juneau, ale co okazało się, jak zobaczył na mapie, tylko parkiem stanowym Point Bridget, połączonym z Juneau niewielką szosą.

Jeśli potrafisz czytać mapy, możesz nas zmieniać przy sterze, powiedział Ned.

Niedługo później Jim miał najlepszą jak dotąd szansę spojrzenia na Juneau, gdy płynęli kanałem Favorite. I potem jeszcze kanałem Saginaw, ale tak naprawdę niewiele widział. Nie byli wystarczająco blisko. W południe Jim stał u steru wyczerpany, gdy opływali wyspę Couverden, kierując się na zachód przez Icy Strait, lodowaty przesmyk.

Uśmiechnął się szeroko, kiedy weszli w Icy Strait, ponieważ rzeczywiście zrobiło się nagle dużo zimniej. Taki żart. A przez wszystkie pęknięcia i otwory czuło się to nawet wewnątrz kabiny.

Kanał był ogromny – przynajmniej osiem kilometrów szerokości – i panował tu duży ruch. Kilka większych motorówek i dwie żaglówki, dużo więcej komercyjnych jednostek łowiących łososie i halibuty oraz barki ciągnące spore ładunki. Tych musiał się wystrzegać. Nie był przyzwyczajony do tak wolnego pływania. Nie potrafił dość szybko manewrować tą łodzią, a nie włączał krótkofalówki, nie chcąc zwracać na siebie uwagi.

Około trzeciej minęli wyspę Pleasant, potem Point Gustavus, a wiatr szalał od zatoki Glacier na północ, przez całe Sitakaday Narrows.

Kiedy nieco później minęli kolejną niewielką zatokę, Dundas, Jim zobaczył statek

straży przybrzeżnej, jeden z tych większych, mijający ich po drugiej stronie wysp Inian, i zaczął panikować. Jeśli podpłynęliby i zrobili rutynową inspekcję sprzętu lub szukali narkotyków, złapaliby go. Nie wierzył, że Chuck i Ned by go kryli. Bał się nawet zasnąć, choć w tej chwili był ledwie przytomny. Ale straż przepłynęła daleko, po drugiej stronie najbardziej wysuniętej na północ wyspy, i wpłynęła do następnej zatoki. Jim trzymał się tak daleko od nich, jak się dało, umykając do zatoki Taylor, gdy się mijali. Lodowiec Brady wydawał się ogromny, jak coś z innej epoki, w innej skali, przeczący wszystkiemu, co istniało teraz, jakby Jim nie mógłby być Jimem, bo ta myśl była zbyt mała, ulotna jak lśnienie. Przy lodowcu góry wyglądały jak krasnoludki.

Wiatr odrywał się od lodowca porywami, od których łódź się kołysała, i dobrze, ponieważ dzięki temu Jim zachowywał czujność.

A potem wypłynął. Około ósmej minął przylądek Spencera i znalazł się na morzu, z dala od brzegu, od wysp i południowo-wschodniej Alaski. Z mapy wynikało, że za mniej niż godzinę znajdzie się poza wodami Stanów Zjednoczonych. Przekroczy je jeszcze raz z powodu przebiegu granic, ale na krótko. Za noc i dzień będzie wystarczająco daleko od brzegu, żeby nikt go tam nie znalazł i nie szukał. Wpłynię do innego życia.

Znowu pomyślał o Royu. Nie dało się nie myśleć. Myślał i nie oczekiwał zwrotu, nagle widział pistolet, który podawał Royowi, albo widział, jak wchodzi i znajduje syna na podłodze, to, co z niego zostało. Myślał o śpiworze i zastanawiał się, co się z nim stało. Zabrali go w plastikowym worku razem z ciałem Roya i nie chcieli próbować go z niego wylewać. Trudno się tak myślało o synu, ale też co innego mogli uczynić. Musieli to zrobić w którymś momencie później, zanim go pochowali. Ale kto? Kto go wylał? I co widziała Elizabeth? Co widziała Tracy? Być może jej również już nigdy nie zobaczy. Ją również stracił.

Zatoka Alaska była bardzo zimna. Wiał porywisty wiatr, fale były duże i chaotyczne, wiatrowe i wirowe, łamały się wokół Jima i moczyły pokład, czasami przelewając się przez burtę. Chuck przyszedł zmienić go o czwartej. Prześpij się trochę, powiedział.

Jak daleko od brzegu płyniemy? – zapytał Jim. Chciałbym być przynajmniej sto od brzegu przez całą drogę.

Da się zrobić, odparł Chuck. Choć będziemy musieli zatrzymać się po drodze po paliwo. Pewnie w Oregonie.

Jim szedł pod pokład i rzucił się na niewielką koję, ohydnie śmierdzącą stęchłym potem Chucka i alkoholem. Zgłodniał, ale był zbyt zmęczony, więc tylko próbował zasnąć.

Płynąca łódź jest głośna. Wiedział o tym wcześniej. Ale ściany tej łodzi skrzypiały i strzelały tak, że nie mogło to znaczyć nic dobrego. Silnik pracował wyjątkowo nierówno, najpierw na niskich obrotach, potem gwałtownie przyspieszał, nie tylko z powodu fal i kawitacji. Jim leżał zwinięty ze strachu i zmęczenia, czekając, aż to minie, czekając na sen, ale bał się, myśląc zbyt wiele o wszystkim. Myślał o skarbówce, o szeryfie, o straży przybrzeżnej, o swoim bracie, o Elizabeth, Tracy, Rhodie, Royu. Wyobrażał sobie długą rozmowę z Rhodą, w której przekonywałby ją, że nie zabił Roya. Tłumaczył, że Roy miał trzynaście lat i własną wolę, mógł dokonywać własnych wyborów.

Własnych wyborów? – spytała Rhoda.

To nie ja zrobiłem, odparł Jim. Nigdy nie chciałem, żeby się zabił.

Nigdy nie chciałeś, Jim?

Nie, powiedziałby Rhodie. Ale potem wyznał coś jeszcze. Powiedział o tym, jak strzelał w sufit.

Dlaczego to zrobiłeś?

Nie wiem. Po prostu strzelałem.

Po prostu strzelałeś?

Zamknij się, powiedział Jim w ciemności, ale było tak cholernie głośno, że ledwie usłyszał własne słowa. Potem zaczął się martwić, jakim kursem płyną. Skąd będzie wiedział, jeśli łódź zawróci, jeśli Chuck postanowi wracać? I co z wyspami? To był jego dawny irracjonalny strach podczas pływania. Zawsze się bał, że uderzy w jakąś nieoznaczoną na mapie wyspę, nawet na środku oceanu.

Cały czas ruszała mu się głowa. Dlatego nie spał. Nieważne, jak usilnie próbował ustabilizować głowę między koszulami i brzgiem koi, nie mógł przestać nią kołysać, kiedy łódź się kołysała. Nie potrafił odprężyć karku. W dodatku wąsy drapały o kozułę za każdym razem, kiedy głowa się ruszyła. Roy nie zdążył zapuścić wąsów. Miał tylko lekki meszek. Któregoś dnia rozmawiali o goleniu, Roy bał się zaciąć, bo nie wiedział, że główka maszynki się porusza. Jim uśmiechnął się szeroko. Potem znów się rozpłakał, wściekły na swoją słabość. Widział siebie w Meksyku, może kiedyś na Południowym Pacyfiku, przy ładnej pogodzie, w ciepłej, pięknej błękitnej wodzie i w zielonych górach, i wiedział, że wciąż będzie sam. Roy nigdy za nim nie nadąży. Zastanawiał się, jak wygląda grób Roya. Pomyślał, że nigdy go nie zobaczy.

Spojrzał na drugą stronę, żeby sprawdzić, czy Ned też nie śpi, ale najwyraźniej spał.

Jim leżał w koi z zamkniętymi oczami i niczego nie mógł znaleźć. Była w nim tylko owiana wiatrem przestrzeń, próżnia. Zupełnie nic go nie obchodziło i chyba lepiej byłoby po prostu się zabić, ale zrobił to Roy i on teraz już nie mógł. Roy zabił się w zamian, w formie wymiany, i dlatego Jim był odpowiedzialny za śmierć Roya. Nie tak przecież miało to wszystko wyglądać, ale ponieważ Jim okazał się tchórzem, ponieważ nie miał odwagi po prostu się zabić przed powrotem Roya, przegapił tę chwilę, tę jedną jedyną chwilę, którą miał, żeby wszystko naprawić, zmarnował tę chwilę na zawsze i podał pistolet Royowi, i kazał mu naprawić wszystko tak, jak potrafił, choć to nie był ten właściwy sposób.

I Roy to zrobił. Roy nie był tchórzem i nie zadrżała mu ręka, przystawił lufę i nacisnął spust, i odstrzelił sobie pół głowy. A Jim nie zrozumiał, co się wydarzyło, nawet kiedy usłyszał strzał. Nie wiedział dość, by rozpoznać ofiarę w chwili, kiedy się dokonała.

Jim nie wierzył w to, co się wydarzyło, nawet wtedy, kiedy zobaczył ciało Roya leżące w drzwiach, całą tę krew i mózg, i kość. Wciąż nie wierzył i nie widział, choć dowód leżał tuż przed nim. A teraz proszę, uciekał, myślał, że może zwiąć, uniknąć kary i wieść swoje idealne życie, zajadając mango i kokosy jak Robinson Crusoe, jakby nic się nie stało, jakby jego syn nic nie zrobił, a Jim nie odegrał w tym żadnej roli. Ale wiedział już, że tak być nie może, wiedział też, co powinien zrobić.

Wstał z koi i poszedł do kabiny sternika. Chuck siedział odchylony w swoim kapitańskim krześle, oglądał jakieś pisemko pornograficzne. Na moment podniósł wzrok i zapytał: Czego chcesz?

Musimy zawracać, powiedział Jim. Nie mogę od tego uciekać. Oddam się w ręce władz.

Chuck patrzył na niego bez słowa, a Jim nie miał pojęcia, co mu chodzi po głowie.

Oddasz się w ręce władz, powtórzył w końcu Chuck.

Tak.

A co z nami w takim razie? Pomogliśmy ci wydostać się z miasta, pamiętasz?

Jim nie był pewny, co robić. Dobra, masz rację, powiedział. Dostaniecie pełną zapłatę, a ja odczekam kilka dni, aż znikniecie, zanim cokolwiek zrobię.

Chuck wrócił do pornosy.

Dobra, powiedział. Idź i obudź Neda na następną wachtę, zanim znowu uderzysz w kimę.

Jim obudził Neda, który narzekał, że jest za wcześnie. Jim znowu się położył i próbował zasnąć. Zасыpiając, ćwiczył swoje zeznanie. Ja, Jim Fenn, zamordowałem swojego syna Roya Fenna, jesienią, mniej więcej dziewięć miesięcy temu. Zabiłem go, strzelając mu z bliska w głowę ze swojego pistoletu, rugera kaliber 44 magnum, który został chyba znaleziony przez szeryfa. Miałem myśli samobójcze, rozmawiałem przez radio z moją byłą żoną Rhodą, która powiedziała, że nie chce do mnie wrócić i zamierza poślubić innego mężczyznę, a ja nie mogłem tego znieść, byłem jednak zbyt wielkim tchórzem, żeby się zabić, więc zabiłem syna.

Nie do końca tak było. Wrócił do motywów swojego działania, przecież o nie zapytają. Przeanalizował po kolei wszystkie obciążające go szczegóły: pistolet, radio, wszystko. Był tak zmęczony, że nie potrafił logicznie myśleć. Jego umysł się zatrzymał, ciało zdawało się maleńkie, jakby był dzieckiem. Był maleńkim złotym dzieckiem skurczonym wewnątrz siebie, ze sznurkami sięgającymi do każdej części większego ciała i zbierającymi je w całość. Znikał.

Obudził się ze sznurem wokół szyi, za który wyciągano go z koi. Próbował krzyczeć, ale nie mógł. Spadł na podłogę, uderzył w gródź, szamotał się, później zobaczył, że Ned drewnianym kijem bije go w nogi. Upadł, ciągnęli go, kątem oka widział Chucka na końcu liny i wiedział już, że powinien był to przewidzieć. To takie oczywiste. Potem zemdlął.

Kiedy uderzył w wodę, zrobiło się lodowato i oprzytomniał, chciał, żeby go znaleźli i uratowali. Chciał, żeby Chuck i Ned go wyciągnęli. Walczył ze sznurem na szyi, uwolnił się z łatwością, ale był w ubraniu, tonął, szedł na dno, a nie miał kapoka. Było mu potwornie się żal. Otwarty ocean to niesamowity widok. Wszędzie tworzące się szczyty, wyskakujące i znikające, wzgórza płynące obok. Trudno było uwierzyć, że to tylko woda, trudno było uwierzyć, jak wiele jest jej pod Jimem. Walczył chyba przez całą wieczność, ale minęło pewnie z dziesięć minut, kiedy zdrętwiał, zmęczył się i zaczął łykać wodę. Myślał o Royu, który nie miał okazji poczuć tego przerażenia, o Royu, którego śmierć była natychmiastowa. Zwymiotował wodą, połknął wodę i oddychał wodą, taką, jaki był jego koniec: zimny, trudny i niepotrzebny, i wtedy Jim już wiedział, że Roy go kochał i to powinno było wystarczyć. Po prostu niczego nie zrozumiał w porę.

Ketchikan

Jako trzydziestolatek płynąłem alaskańskim promem wzdłuż wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej, mijając otoczone bielą wyspy, lasy wykraczające poza horyzont, mewy i bieliki, morświny, wieloryby, wszystkie z bliska, płynąłem przez zachody słońca na otwartym oceanie, obok latarni morskich, niewielkich rybackich wiosek, na alaskańskie wody, gdzie góry wyrastały stromo prosto z fiordów, i dalej, aż do miasta mojego dzieciństwa, wąsko rozciągniętego wzdłuż brzegu, nieustannie zatopionego we mgle, miejsca duchów, miejsca, w którym mój zmarły ojciec po raz pierwszy się zagubił, miejsca, gdzie ten ojciec, jego samobójstwo, jego zdrady, kłamstwa i moje współczucie dla niego w końcu miały odnaleźć spokój: Ketchikan.

Pierwszego dnia i wieczoru znalazłem nocleg tam, gdzie domy były wąskie, ciasne ulice kluczyły i nie prowadziły dokądkolwiek bezpośrednio. Długie drewniane schody – ich szare drewno w morskim odcieniu śliskie od mgły i zmęczone jak kamień – schodziły przez paprocie, mchy i kolczaste krzewy w stronę doków i oceanu poniżej, gdzie łodzie rybackie odpoczywały niczym zjawy, małe żółte bojki, sieci patrzyły tysiącami oczu, zwinięte, w oczekiwaniu. Stałem przed nimi tamtego pierwszego wieczoru po powrocie, nie mogąc spać, i podziwiałem rozpiętość ich sieci, pełną przemianę, pawie oczka i wachlarz przesiewany cicho przez powierzchnię otwartego oceanu, dryfujące, z pozoru tak ogromne i nieplanowane jak meduzy, ale okropniejsze, bardziej wyrachowane w swoim jednym celu. To była przesada, ale wydawała się pasować do ekstrawagancji tej podróży, próby powrotu do dzieciństwa. Świat na chwilę się ożywił, a ja byłem jego tymczasowo nieskrępowanym obserwatorem.

Szedłem wśród sejnerów i trawlerów, kutrów pławnicowych i innych wielkich jednostek, mijając pokłady lśniące od rybiej łuski, pomachałem dwóm czy trzem rybakom w ich oświetlonych kabinach, którzy usłyszeli mnie albo wyczuli i mimo dziwnej pory podnieśli wzrok znad swojego wyobcowanego, samotnego życia, żeby skinąć mi głową i znów ją spuścić. Pamiętałem, że większość trzyma pod ręką strzelbę. Większość nie czuła się też wcale samotna ani wyobcowana, ale zmęczona i uwięziona, ograniczona i oszukiwana. Rybacy jako grupa są zgorzkniali i narzekają, choć pozornie tego nie widać. Wszystko wróciło do mnie na nowo, podarunki z jakiegoś innego życia. Choć byłem intruzem, być może wtedy najbardziej w dorosłym życiu czułem, że gdzieś przynależę.

Szedłem jednak dalej, wciąż intruz, jeszcze turysta, i pragnąłem znowu odnaleźć kobietę, z którą rozmawiałem tuż przed wyjazdem, pracowała na łodzi niedaleko Seattle. Opowiadała o trzystukilogramowym halibucie, niemal trzy metry od głowy do ogona i niemal tak samo szerokim. To było podczas przymusowego postoju, kiedy grupa łodzi musiała przez trzy dni przeczekiwać burzę na północy swojego szlaku. Załoga tamtej kobiety miała wyłowić pół tony halibuta, żeby nakarmić załogi wszystkich łodzi, a kiedy wyciągnęli tę wielką rybę na powierzchnię, strzelili jej sześć

razy w głowę z pistoletu kaliber 45, zanim wrzucili ją na pokład. Nawet postrzelona i dusząca się na powietrzu, z przeszytym małym mózgiem i ogromnymi legendarnymi skrzelami, które eksplodowały, ryba wciąż była zbyt silna, by się do niej zbliżyć. Mniejsze halibuty wrzucano od razu na długą deskę ze szpikulcem na końcu, od razu obierano ze skóry i cięto na filety, ale tę rybę załoga zostawiła samotnie na białym betonowym pokładzie i patrzyła z odległości.

Tamta kobieta, Kate, została wylosowana, żeby oczyścić i wyfiletować rybę. Po odczekaniu godziny zaczęła długim nożem kroić od końca jeden bok, nakrapiany, ciemnozielony i brązowy, w grube steki. Kręgosłup i odchodzące od niego cienkie ości leżały przed Kate, kiedy przeszła do głowy, żeby odciąć policzki, których mięso jest pożywne i włókniste, to przysmak. Jeden policzek został przestrelony i dało się uratować tylko kawałek, ale drugi odszedł w całości, wielki kotlet, biały jak marmur, który leżał na dłoni Kate, ona zaś podeszła do węża, żeby umyć mięso i wrzucić do wiadra. Kiedy jednak szła, policzek halibuta drgnął i wyskoczył łukiem na ponad metr w górę, przez linę i na pokład, gdzie uderzył z tąpnięciem i plaśnięciem tuż przed Kate, mała pozostałość wielkiego ciała. „Bogowie rodzili się z mniejszych fragmentów”, powiedziała, nachylając się do mnie ze śmiechem.

„Zimny, ciemny, głęboki i absolutnie klarowny żywioł, nie do zniesienia dla śmiertelnych, tylko dla ryb, dla fok”[*] – mamrotałem wiersze Elizabeth Bishop w kierunku wody, plam paliwa przypominających w tym sztucznym świetle tęczę i czerwonych rozgwiazd falujących poniżej. Zawsze wyobrażałem sobie, że te wiersze dzieją się tutaj, w Ketchikan, nie na Atlantyku.

Daleko na kanale światła: dwadzieścia do trzydziestu łodzi zebranych razem, czekających, aż minie sztorm, czekających na chwilę, kiedy będą mogły opuścić płytcznę i znowu wyjść na otwarty ocean. Ustawione w przyjemny sposób, do tego jasne światła wysoko na górze, niewielkie światła w kabinach, z tyłu wszędzie żarówki ujawniające wspinał się sieci, wypolerowane aluminium, czerwone i pomarańczowe boje, wszystkie zmieszane i odbijające się w wodach tak spokojnych jak lustro, bez widocznego horyzontu, wyrazistego szwu na powierzchni między wodą i powietrzem, odbiciem i światłem. Jedyne dźwięki pochodzą z niewielkich dzwonów, jakby płynął gdzieś z daleka, dzwonków wysoko zawieszonych na linach trawlerów, dzwonków, które sygnalizowały ryby. Żadnych głosów.

Doszedłem do końca doków, przez długi czas przyglądałem się niewielkiej wiosłowej łódce. Noc cicha jak rzadko, na tym dalekim końcu żadnego rybaka, nikt nie mógł mnie zobaczyć, a ta łódka przywiązana tylko dwiema postrzępionymi linami, dziób i rufa. To była stara drewniana łódź pomalowana na zielono, z odłóżką i popękaną farbą, spod spodu wyzierały plamy bladej bieli, a nazwa na dziobie – Lady J – wypisana czarną farbą, też się łuszczyła. Wszedłem na nią, nie decydując się wciąż, żeby wypłynąć, ale marząc już o *rendez-vous* z oceanicznymi liniowcami, o gościach w smokach i cekinach, głosy niemal dziecięce, ściszone, twarze szczupłe i wyraziste jak dzioby. Ciepły, silny wiatr niosący wszystko prócz wody, nietworzący fal, a jednocześnie trzymający wszystko, uniemożliwiający zachowanie odległości. Wiosłowałem niezauważony, a nade mną przesuwali się maszty i dzwony, reflektory i sonary, wiosłowałem bezdźwięcznym ruchem meduzy w swoim żywiole, wiosłowałem, mijając ostre skały na morzu nostalgicznym i matowym, powoli się

wzdymającym, jakby miało ochotę przelać się przez krawędź świata, jeśli ta nie podniesie się niezauważenie, a ja siedziałem w łodzi, mokry od mgły i drżący, słuchając plaśnień wiosła, skrzypienia dulek. Śpiewałem, bo moment fali minął i tyle z niego zostało, śpiewałem piosenkę Memphisa Slima, zawodząc lament zakochanego głupca, wracałem do przystani, głośny i oszołomiony, i najwyraźniej niewidzialny. Ciche ssące odgłosy od przycumowanych łodzi, kiedy wracałem, woda uwięziona pod ścigaczami, odgłos odbijaczy uderzających o drewno.

Mój ojciec z jakiegoś powodu kochał Alaskę. Choć sam był sfrustrowany, miał wielu przyjaciół żyjących życiami takimi, jakie on wyobrażał sobie dla siebie. Jednym z nich był Healy, który mieszkał sto sześćdziesiąt kilometrów od Parks Highway, między Anchorage i Fairbanks, gdzie autostrada z niczym się nie krzyżowała. Żadnego innego domostwa aż po horyzont, więc w chłodny letni wieczór, kiedy odległe góry, których śnieg koło północy robił się fioletowy, wydawały się unosić nad tundrą, jakby z oceanów, a ziemia wszędzie traciła stabilność, wyjątkowość, mój ojciec zniknął u Healy'ego, stawał się nim i zaznawał wolności.

Potem wieczór robił się zimniejszy, światło niemal zniknęło i mój ojciec wchodził do środka, oglądał szafki, które robił Healy, ściany jego małego domu i koce wiszące między łóżkiem małżeńskim a łóżkiem dwojga małych dzieci. Nad kanapą Healy powiesił skóry niedźwiedzia czarnego, niedźwiedzia brunatnego, kozłów śnieżnych, jeleni i karibu, a mój ojciec dotykał ich jedną ręką, a drugą trzymał w kieszeni. W tym momencie nie znajdował słów, zbyt załamany, by chwalić. Ja również dotykałem tych skór, zapomniany przez ojca, ale patrząc na niego, czując dziecięcy żal, pożądanie, tęsknotę, tęsknotę mojego ojca. Gdyby tylko życie dało się ułożyć w kształt cudzego życia, gdyby dało się wytracić impet. Kiedy po długiej podróży, którą przesyphiałem, późno w nocy docieraliśmy do domu, ojciec znów wstawał wcześniej rano, by borować, usuwać zainfekowane nerwy, uzupełniać ubytki, robić odciski, zalecać i mrużyć oczy, i oglądać całe swoje życie zredukowane do czegoś tak ciasnego i małego.

Podczas przerw w myciu beczek rozmawiałem o gatunkach i długości życia ryb z pewnym starszkiem, który zatrzymał się, żeby popatrzeć, o miejscu i domu, podczas gdy on czekał na czas, kiedy będzie mógł wrócić. Kłopoty, nadmienił tylko, ale nie zadawałem pytań. Miał ręce i ubranie poplamione olejem, grube żółtobrązowe paznokcie. Na bejsbolówce widniał napis „Ptak Stanu Alaska”, a poniżej rysunek komara, który miał oczy z czerwonych paciorków.

Choć się sobie nie przedstawiliśmy, wiedziałem, kim jest ten człowiek. Mieszkałem w Ketchikan już od trzech tygodni i szukałem sposobu, żeby go poznać, bo jego żona była recepcjonistką, z którą sypiał mój ojciec, co okazało się pewnym punktem zwrotnym w życiu nas wszystkich. Nazywała się Gloria Sills, choć po wyjściu za mąż przyjęła nazwisko Billa – Douglas. Zamierzałem zaprosić ich oboje na kolację, porozmawiać z nią i może powiedzieć, kim jestem.

– Kiedyś pracowałem w drewnie – opowiadał Bill. – Ale teraz to już kiepski interes.

Należał do tych składnie gadających pijaków, którzy mówią wszystko każdemu. Bill jeszcze mi się nie przedstawił, a już powiedział, że szuka pracy, że robił to i owo od przejścia na emeryturę, ale warsztat, w którym od ośmiu lat dostawał zlecenia, został zamknięty. Amway nie przyniósł fortuny, jak obiecywali. Za to z powodu

przeinwestowania w produkty, których nie mógł sprzedać, i czasu straconego w stałej pracy musiał sprzedać dom i teraz mieszkał z żoną w przyczepie. Nie miał cadillaca, nie miał nawet pikapa. Miał za to starego, pordzewiałego chevroleta monzę, któremu brakowało kilku części. Nie przypuszczał, że żona może się stać aż tak zgorzkniała.

– Ona to prawdziwe чудо – powiedział, chichocząc. – Nie wiedziałem, że to w sobie ma.

Uśmiechnąłem się z nim. Absurd czyni smutek znośniejszym.

– Ile wypuszczacie na rok? – zapytał Bill. I pokazał najbliższy staw z młodymi łososiami.

– Pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy – odparłem. – A przyjmujemy jakieś dwieście pięćdziesiąt, może trzysta. Ale ja dopiero tu zaczynam. To mój pierwszy sezon.

Wracające łososie pływały w betonowych zbiornikach bliżej rzeki, płytkich, w których odsłaniały ciemne ogony nad kamykami i falami, małe nerki i te czerwone pomieszane z olbrzymimi, trzy razy od nich większymi. Zostawiając węzowe ślady na wodzie, prześlizgiwały się wąską zjeżdżalnią i skakały nad czterema niskimi betonowymi ścianami pod prąd – sztuczne wodospady – aż wypełniały ciasne granice ostatniego zbiornika tak, że wiele wypadało i musiało skakać ponownie. Były silne i autentyczne, zdeterminowane, czyste mięśnie, marniejące, a jednak eleganckie w swoich ruchach.

– Nazywam się Bill Douglas – powiedział Bill i wyciągnął dłoń, którą uściśnąłem.

– Roy Fenn. Mój ojciec, Jim Fenn, kiedyś tutaj mieszkał. Był dentystą. Znał go pan?

– Kiedy to było?

– Chyba do siedemdziesiątego drugiego.

– Może coś sobie przypominam – odparł Bill. – Chyba pracował w tym budynku przy Trzeciej, z Iversonem i jakimś innym dentystą. Zgadza się?

– To on. Mój dziadek złowił raz wielkiego halibuta: sto dziesięć czy sto piętnaście kilo. Na pierwszej stronie gazety było nasze zdjęcie, trzy pokolenia stojące obok jednej bardzo dużej ryby.

Bill zachichotał.

– Coś to panu przypomina? – zapytałem.

– Może i tak. – Bill otarł chusteczką kąciki ust. – Może i tak.

– Cóż – powiedziałem. Nie byłem zadowolony. Dziwnie się czułem, że nikt w tym małym miasteczku nas nie pamiętał.

– Mogę popatrzeć? – zapytał Bill.

– Jasne, proszę.

Przeszliśmy do najbliższego zbiornika i patrzyliśmy, jak małe łososie królewskie wskakują do półmetrowego korytka. Nawet kiedy miały pięć czy siedem centymetrów, wyglądały dokładnie tak samo jak te całkiem dorosłe, były idealnymi miniaturowymi replikami, a ja nie mogłem się oprzeć i wyobrażałem sobie, jak te wspaniałe ryby skaczą dwanaście, piętnaście metrów w górę z prędkością, która przeczyła prawu grawitacji. Ich opadanie nie było zawieszane, znikwały w mgnieniu oka. Parami lub w trójkach, lub pojedynczo, drobne błyskawice światła. Jeśli przychodziłem późno i włączałem latarkę, oświetlając ich srebrzystoniebieskie boki i oczy, nawet wtedy skakały.

Bill zanurzył rękę w zbiorniku i ryby zaczęły omijać ją łukiem.

– Trudno uwierzyć, że to króle – powiedział.

Kiedy wyjął rękę, koło wróciło do poprzedniego stanu.

– Przypłynąłem tutaj w wieku dwudziestu dwóch lat. To było w czterdziestym szóstym. Przypłynąłem promem, w czerwonym fordzie pikapie. Nawet kołpaki miał pomalowane na czerwono. – Bill potrząsnął głową. – Byłem wtedy całkiem interesujący. Nosiłem kowbojki.

– Może właśnie tego potrzebuję – powiedziałem. – Kowbojek i czerwonych kołpaków. I wtedy będę jak należy.

Bill wytarł dłonie o dzinsy.

– Do tego, niestety, trzeba jeszcze kilku rzeczy. Musiałbyś zostać pijakiem, nie mieć forsy i poślubić kobietę, którą tutaj poznałeś, głównie dlatego, że się bałeś.

– Bałeś?

– Uhm. – Bill zapiął kurtkę i chodził wokół zbiornika, schylił się, żeby spojrzeć na pompę i wężyk, a potem na skaczące ryby. – Któraś kiedyś skoczyła w złym kierunku?

– Raczej nie – odparłem i się uśmiechnąłem, choć już kilka razy zadawano mi to pytanie. Chciałem dowiedzieć się więcej o jego żonie. – Może wpadlibyście na kolację, pan i żona?

– Słucham?

– Przepraszam, to zabrzmiało jakoś niespodziewanie. Muszę teraz wracać do pracy, ale pomyślałem, że może przyszlibyście do mnie na kolację, jeśli macie ochotę.

– To miła propozycja – powiedział Bill. – Dam ci nasz numer telefonu i możesz porozmawiać z moją żoną.

Mój ojciec cierpiał na bezsenność. Kiedyś opowiedział mi o eksperymencie, w trakcie którego tysiące komarów w wielkim zbiorniku wystawiono o różnych porach na błyski jaskrawego światła. Dla wielu z nich jedna kiepska noc oznaczała zwichrowanie na resztę ich krótkiego życia. Robiły się mniej skupione, obijały się o szklane ściany zbiornika, chybotwały albo zwisały pod dziwnymi kątami i już nigdy nie spały normalnie, kto jednak w ogóle zastanawiał się nad tym, czy komary śpią? Ojciec opowiadał tę historię, jakby go tłumaczyła. Jedna kiepska noc czy może uważał się za wizjonera? Albo po prostu czuł się dziwnie. Oczywiście jedynym realnym wyjaśnieniem było to, że uznał tę historyjkę za zabawną, tak jak inne swoje historyjki. Wszystko, co zostawił mi ojciec, zniknęło. Patrzyłem na okruchy, a one zmieniały światło, aż nieprzejrzystość stała się przezroczysta i widziałem tylko rozproszenie nieokreślonej ziemi gdzieś dalej, zamęt, który obiecywał, ale nic nie dawał.

Czasami chodziłem na wzgórze, żeby odwiedzić dom, w którym mieszkałem jako dziecko. W górę zboczem między dwoma wzniesieniami, niewielki budynek, który kiedyś z dwóch stron był otoczony lasem, a teraz wokół niego stało dwanaście olbrzymów – dwu- lub trzypiętrowych ciemnych drewnianych domów z witrażowymi oknami i altanami. Widok na kanał i góry z tyłu zasłaniały teraz tanie budynki mieszkalne. Domu nie malowano od dwudziestu pięciu lat, odkąd wyjechałem, nie naprawiano też płotu. Zielona farba, którą nakładałem z ojcem i matką, zlazła, odsłaniając różową pod spodem i białą pod spodem, i w końcu drewno pod spodem. Na dachu było widać papę, metalowe zewnętrzne drzwi i skrzynka pocztowa na ulicy wisały pod dziwnymi kątami, choć każde pod innym, bruk na podjeździe stał się

mapą małych wysepek, a siatka ogrodzenia zwisała – tam gdzie w ogóle jeszcze była. Obecni lokatorzy pamiętali moją rodzinę i zaprosili mnie do środka, ale nie było tam żadnych wspomnień, tylko nieznanne plamy od dymu, zwierząt, jedzenia i dzieci, puszki i ubrania porzucane po podłodze. Wiśnia rosnąca za domem, którą zapamiętałem jako bardzo wysoką, bo na nią wchodziłem, chowałem się w jej koronie i spadałem z niej, teraz miała może trzy, trzy i pół metra, była mała i zwyczajna. Wysoki płot sięgał mi do pasa. Okazało się, że wspomnienia są zdecydowanie bogatsze niż ich źródło – cofanie się w czasie tylko wyobcowuje człowieka z pamięci. A ponieważ pamięć to często wszystko, na czym opiera się życie albo człowiek, powrót do domu może to odebrać.

Rozmawiając z Glorią przez telefon, nie podałem swojego nazwiska. Zastanawiałem się, czy wiedziała, a tylko nie dała po sobie nic poznać. Wymiana zdań była uprzejma i krótka, niczego się tak naprawdę nie dowiedziałem oprócz tego, że Gloria ma bostoński akcent, nie ten głośny bostoński dialekt, ale bardziej arystokratyczny, elegancki, choć nie musiało to nic znaczyć. Po raz setny zastanawiałem się, po co w ogóle to wszystko robię, po co przyjechałem do Ketchikan. Na początku, po chwilowym pojawieniu się wrażenia przynależności, czułem już tylko, że tu nie pasuję. Rozwód rodziców i samobójstwo mojego ojca zdawały się istnieć w jakimś innym świecie.

Tamtego wieczoru rozglądałem się po moim domu lekko oszalały, przyglądałem się drewnu, a nawet pęknięciom w linoleum. Część górskiego zbocza przystosowano do zaludnienia. Wysadzono skałę. Drewno było stare i chyba nigdy porządnie nie wyschło, ja jednak miałem pewność, że pozostanie wieczne. Plamy na ścianach również, wściekle zielone linoleum, czajnik z białymi, czerwonymi i innymi formacjami osadu, nawet okna wykrzywające to, na co się patrzyło – wszystko to oprze się zużyciu, zostanie tak długo, jak ten dom będzie się nazywał domem, i dłużej.

Późno wieczorem chodziłem. Otworzyłem kłódkę na bramie do wylęgarni, wślizgnąłem się do środka. Wyjąłem sieć setki młodych łososi, wrzuciłem ich garście do kieszeni, szedłem przy krawędzi klifu nad drogą, po gołych skałach między roślinami, i wyciągałem jedną rybę po drugiej na otwartą dłoń. Miniaturowe łososie skakały, każdy we własnym tempie, ogony błyskały w noc, blask srebra, osiemnaście metrów skręcania się, a potem niesłyszalny plask o chodnik poniżej. Potem czekanie. Na wodę, na jakąś nową zasadę, nową możliwość, która zmieni chodnik w niechodnik, powietrze w niepowietrze, upadek w nieupadek.

Robiłem to każdej rybie, czekając cierpliwie, aż wyskoczy, przez cały czas mamrocząc bluzgi: „Idź się utop, koleś. Spadaj do wody, niech cię ryby zeżrą”.

Patrzyłem, jak znika ostatnia, nasłuchiwałem cichego plaśnięcia, nic nie usłyszałem. Mgła była pomarańczowa w świetle latarni. Powietrze zimne. Zdjąłem kurtkę, koszulę, złożyłem je, położyłem na jakimś pieńku. Zdjąłem buty, spodnie, bieliznę, zegarek i ponownie włożyłem buty. Zawiązałem sznurówki na podwójny węzeł. Zamierzałem biec przez las, aż będę wyczerpany i zasnę, może nawet przedzierając się przez paprocie i spróchniałe drewno, teraz niewidoczne pod fałszywą drugą podłogą lasu deszczowego, doznam jakiegoś rodzaju wizji. Zacząłem biec. Niedługo jednak poczułem się tylko zmęczony, zatrzymałem się i powoli wróciłem. Zdałem sobie sprawę, że już

nie wierzę w takie rzeczy. Działy w liceum, kilka razy nawet w college'u, ale teraz nie przynosiły żadnego rezultatu. Włożyłem więc ubranie, zszedłem, mijając gruz i drut, beton i zarośla, i stanąłem nad rozpląszczonymi łososiami, miażdżąc każdego po kolei butem.

Następnego dnia w pracy mój szef, młody biolog, którego oczy nigdy nie patrzyły równo, nie byłem więc pewien, czy mnie widzi, czy nie, poprosił, żebym napisał list do „Ketchikan Daily News” i rozwiesił ulotki z prośbą o informacje, które mogłyby pomóc w ujęciu sprawcy. Zasugerowałem nagrodę – kolację dla dwóch osób w Grocie Rybaka – ale szef nie uznał tego za zabawne.

– Chyba nie zrozumiałeś – powiedział, drapiąc się w jeden z baczków. – Jeśli ten dupek to powtórzy i go nie złapiemy, to i ja, i ty stracimy robotę.

– Dobra – odparłem. – Kto jak nie ja? Jasne. Przygotuję list i ulotki przed końcem dnia.

Napisałem krótki tekst do gazety, wspominając, że złodziej prawdopodobnie przyszedł nocą, poprosiłem o czujność, zasugerowałem, że takie przestępstwa zagrażają nam wszystkim, i przekazałem oświadczenie gazecie. Zrobiłem ulotki z powiększonym zdjęciem ławicy małych łososi i z drugim, pokazującym coś, co wyglądało jak pawie oczka, trudnym do rozpoznania, ale niepokojącym. Pod spodem drukowanymi literami napisałem „Poszukiwane”, a poniżej przedstawiłem szczegóły przestępstwa i numery telefonów kontaktowych. Napisałem, że wyłowiono je nocą i zabrano w nieznanym celu. Zapytałem także: „Czy na pewno znasz swoją okolicę?”.

Bill i Gloria przyjechali monzą, a ja szeroko otworzyłem chybotliwe drzwi. W środku starałem się urządzić jak najprzytulniej, mimo że to z Głorią mój ojciec zdradzał matkę. Upiekłem bataty i zapaliłem świece, włączyłem tę spokojniejszą z dwóch dostępnych stacji radiowych, zrobiłem świeżego halibuta w cieście piwnym. Bardzo chciałem się dobrze bawić i żeby Bill i Gloria też się dobrze bawili.

Gloria była wyższa od Billa. I młodsza – jakoś po pięćdziesiątce. Włosy wciąż głównie blond.

– Cześć – powiedziała. – Miło cię poznać.

Wymamrotałem coś nieokreślonego, a potem przeszedłem do tego, co naprawdę chciałem wiedzieć.

– Nie jesteś stąd, prawda? Pochodzisz ze Wschodniego Wybrzeża, prawda? Gdzieś z Nowej Anglii?

– Z Bostonu – odparła.

– Z Bostonu – powtórzyłem. – No tak. Przygotowałem kolację. Macie ochotę na coś do picia?

– Heja – powiedział Bill i uściśnął mi dłoń. Przy żonie był bardziej skrępowany.

– Piwo? – zapytałem.

– Pewnie.

Nie mogłem uwierzyć, że to recepcjonistka, z którą sypiał mój ojciec. Zawsze wyobrażałem ją sobie z szerokim uśmiechem na czerwonych uszmińkowanych ustach, z głośnym, irytującym głosem, głupawą. Tak oczywiście myślało dziecko, zbudowałem sobie taki obraz na podstawie ataków mojej matki na ojca, bardziej wrażenia niż treści,

ale on się utrzymywał. Nawet rozmowa przez telefon nic nie zmieniła. Było mi wstyd.

– Robi się zimno – powiedział Bill z kanapy. – Wygląda na to, że w tym roku zima będzie wcześniej.

– Tak – odparłem. – Słyszałem w radiu. Pogoda i spadek liczby turystów w tym roku to jedyne, o czym mówią.

– Ale to prawda – powiedziała Gloria. – Wszyscy na tym cierpią. W bibliotece musieliśmy skrócić godziny, zredukować personel i ograniczyć usługi albo całkiem z nich zrezygnować. Na przykład nie można już do nas dzwonić z pytaniami. A w przyszłym roku będą następne cięcia.

– Pracujesz w bibliotece? – zapytałem bez sensu, bo i tak poznałem już odpowiedź, kiedy próbowałem namierzyć Głorię zaraz po przyjeździe do Ketchikan.

– Tak.

– W Lake County w Kalifornii, gdzie wciąż żyje moja babka – powiedziałem, żeby się nie zdradzić – nie mają teraz nawet biblioteki publicznej. Ani jednego oddziału w całym hrabstwie. Wszystkie zamknęli. Kilka szkół podstawowych również.

Dołączyłem do Glorii i Billa w małym salonie z jadalnią przylegającym do kuchni. Stół stał wzdłuż jednej ze ścian, kanapa przy drugiej. Usiadłem na krześle, którego oparcie dotykało stołu.

– Sam nie wiem – mówił Bill. – Nie uważam, żebyśmy musieli wszystkim dawać jałmużnę. Wiem, że mojej żonie ten pogląd się nie podoba, ale muszę powiedzieć, że jeśli w tym kraju komuś się ma udać, to się uda, i tyle.

Gloria przysunęła się bliżej męża na kanapie i wzięła jego dłonie w swoje.

– Skarbie, jeśli się da, to wołałabym dzisiaj wieczorem nie rozmawiać o Amwayu. Wolę posłuchać, jakie plany ma Roy.

– O – rzuciłem tylko. Trudno było słuchać jej głosu. – Nie ma sprawy. Nie mam żadnych specjalnych planów. – Nie miałem pojęcia, jak zachować się na konwersacyjnym polu minowym Billa. I wiedziałem, że będę musiał teraz powiedzieć coś głupiego, żeby załagodzić sprawę. – Mój wuj sprzedawał dla Amwaya.

– To naprawdę nie jest taka zła firma – oznajmił Bill.

– Tak – odparłem. – Kiedyś słuchałem ich taśm, kiedy chodziłem z wujem polować na gęsi w Modoc. Wujek i jego kumpel Wielki Al. Zamykali okna i dużo krzyczeli (wuj pochodził z Nebraski), i co chwila Wielki Al odwracał się do mnie, wystawiał palec i... Wiecie co, chyba nie powinienem kończyć tej historii. Przepraszam.

– Ależ nie, nie – powiedziała Gloria.

– Może lepiej poczekać na inną okazję – odparłem.

– W porządku – rzucił Bill.

Wbiłem wzrok w linoleum.

– No to chyba siądziemy do stołu – oznajmiłem. – Przyniosę halibuta i bataty.

– Bataty? – zapytała Gloria. – Brzmi cudownie.

– Tak. Dostałem je w sklepie.

To był koszmar, gadałem jak idiota. Ale z jakiegoś powodu nagle zacząłem się trząść i nie potrafiłem myśleć logicznie. Wyjąłem blachę z halibutem z piekarnika, gdzie się podgrzewał, szczypcami przeniosłem kawałki na talerz i podałem bataty. Położyłem na nich miniaturowe pianki, nie dlatego, że uważałem to za eleganckie, bo takie nie jest, ale dlatego, że jedząc je tak kiedyś, czułem się szczęśliwy – nieczęste i proste

uczucie, które próbowałem przedłużyć. Tak podawała je moja matka, kiedy byłem dzieckiem. Tutaj wyglądały dość dziwnie.

– Przepraszam za te pianki – powiedziałem, przynosząc talerze. – Dopadła mnie dzisiaj nostalgia.

– Lubię pianki – powiedział Bill.

– Sami piekliśmy je w zeszłym tygodniu – dodała Gloria. – Choć zasłoniliśmy rolety, żeby na pewno nikt nie zobaczył.

Zaśmiałem się.

– Niezły pomysł – powiedziałem, ale było mi niedobrze.

Nic nie szło tak, jak chciałem. Gloria wcale się nie denerwowała. Tylko ja. Ta myśl sprawiła, że zacząłem się zastanawiać, czy szukam czegoś w rodzaju zemsty.

– Co cię sprowadziło na Alaskę, Glorio? – zapytałem.

W radiu leciał Miles Davis, nieczęste w Ketchikan. Nic nie było trwałe, na niczym nie można było polegać. Poczułem, że jestem gdzie indziej.

– Halibut jest pyszny, Roy – powiedziała Gloria.

– Tak, naprawdę doskonały – dodał Bill.

– Dzięki – odparłem.

– A odpowiadając na twoje pytanie, przyjechałam do pracy w jednej z przetwórni, latem po drugim roku studiów, i wtedy poznałam Billa przez znajomą, która przyjechała ze mną.

– No, no! – powiedziałem. – Przyjechałaś na lato i wciąż tutaj jesteś.

– Tak.

Dałem jej chwilę, żeby mogła zjeść. Zdjąłem kilka pianek z moich ziemniaków, oszczędzając je na koniec. Kiedy podniosłem wzrok, Gloria patrzyła wprost na mnie. Wiedziała, kim jestem, nie miałem wątpliwości.

– Kiedy byłem mały, chciałem zostać ichtiologiem – powiedziałem, żeby cokolwiek mówić. – A teraz czyszczę zbiorniki w wylęgarni i niczego się nie uczę. Mam dyplom, ale nie przyda mi się do tego, co chciałbym robić. – Podniosłem pięści w boksterskim geście. – Mogłem zostać mistrzem – zawyłem. Zawsze się wygłupiałem, gdy nie wiedziałem, co robić.

Gloria się zaśmiała. Bill również, choć zdawał się dezorientowany.

– Nigdy nie jest za późno – zapewniła Gloria.

– Podasz mi halibuta, Glorio? – poprosił Bill.

Widziałem małe łososie wyskakujące jeden po drugim w powietrze, ich oczy w srebrze inkrustowanym błękitem, wielkie, niemrugające.

– Jezu – powiedziałem.

– Co? – zapytała Gloria. – Co się stało?

– Przepraszam. Zdawało mi się, że widzę coś za oknem. Wiecie, że to prawdziwe szkło, które wszystko zniekształca?

– Poważnie? – zapytała Gloria i razem z Billem wstali, żeby popatrzeć.

– Na dworze jest ciemno – odezwał się Bill. – Widzisz tam coś?

– Wyjdźcie na zewnątrz – zaproponowałem. – Przejdę się po salonie i będziecie mnie widzieć.

– No dobra – odparł Bill. – Tylko żadnych wygłupów.

Gloria się zaśmiała.

– No jasne – powiedziałem.

Drzwi się zatrzasnęły, a ja stanąłem na środku podłogi, jakbym to robił po raz pierwszy. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, jak zazwyczaj chodzę. Moje kroki zdawały się zbyt małe, a linoleum wydawało piszczące dźwięki. Światło w środku było za jasne. Na ścianach żadnych dekoracji. Trochę pomachałem rękami dla lepszego efektu, nadałem policzki, kiwałem głową w przód i w tył; zastanawiałem się, co to wszystko znaczy. Zastanawiałem się, jak szybko mogę zakończyć tę kolację, żeby nie wyjść na źle wychowanego.

Bill i Gloria śmiali się, kiedy wrócili do środka.

– Rzeczywiście żadnych wygłupów – powiedziała Gloria.

– To dopiero był pokaz – mówił Bill. – Jakbym oglądał siebie w krzywym zwierciadle, tyle że to nie byłem ja.

– Bill – powiedziała Gloria – robisz się poetycki.

– Nic się nie robię – rzucił Bill. – I nie myję okien.

Zaśmiałem się.

– Tych okien na pewno nie – powiedziałem.

Usiadłem i gestem poprosiłem oboje, by zrobili to samo. Przetrawiałem całą tę pustą gadaninę. Dokończyłem halibuta, bataty, chleb, nawet pianki. Wypiłem piwo, potem kolejne. Mówiłem o łodziach rybackich, które kupował mój ojciec, i to był błąd.

– Czy twój ojciec był zawodowym rybakiem? – zapytała Gloria.

– Coś w tym rodzaju – odparłem. – Wykonywał różne prace.

Uderzyło mnie, że Gloria jest bardzo atrakcyjną osobą, że mój ojciec najpierw mógł w niej zobaczyć kogoś w rodzaju przyjaciółki. Być może w mojej matce nigdy tego nie czuł. Być może był w pewnym sensie samotny. Nie chciałem dalej tak myśleć. Moje współczucie dla ojca do tego momentu ograniczało się do traktowania go jak faceta, który wprawdzie sam też cierpiał, ale wszystkim dokoła sprawił ból, którego można było uniknąć. Nie zamierzałem tego współczucia pogłębiać.

– Za to moja matka pracuje teraz jako psycholog szkolny w podstawówce na Kauai – opowiadałem Glorii i Billowi.

Chciałem uciec od własnych myśli, ale też od tej rozmowy. Gadaliśmy o ananasach i trzcinie cukrowej, o bieganiu na golasa cały rok i o tym, że nawet deszcz jest tam ciepły. Potem dodałem, że tutaj, w Ketchikan, też biegałem nocą na golasa, czym oczywiście nie powinienem był się z nimi dzielić.

– Tutaj? – zapytał Bill.

– Co ci przyszło do głowy? – dziwiła się Gloria.

Rozłożyłem ręce, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć.

– Może lepiej nie ruszajmy tego, Glorio – powiedział Bill.

– Cóż – rzuciłem – i tak robi się późno.

Pożegnałem ich więc, podałem płaszcze i tak dalej, ale Gloria wróciła, kiedy Bill grzał silnik monzy.

– Wróciłaś – powiedziałem.

– Wiesz, Roy, dziękuję, że nas zaprosiłeś. Bill pije więcej, niż powinien, ale dziękuję, że nas zaprosiłeś.

Położyła mi dłoń na ramieniu, prosty gest, ale i tak sprawił, że zacząłem myśleć, co mój ojciec czuł pod jej dotykiem.

– W porządku – odparłem. – Samochód chyba się już rozgrzał.

Powinienem być wtedy z nią porozmawiać, powiedzieć, kim jestem, zapytać o ojca i być może dowiedzieć się prawdy, ale nie miałem odwagi. Nie potrafiłem nawet na nią spojrzeć.

– Do widzenia – powiedziała Gloria.

Druga w nocy. Stałem po kolana w kanale niedaleko Ketchikan, zawstydzony. Woda rozbijała się o skały. Nury chowały się gdzieś przy krawędzi drzew i nawoływały. Zmrok, który nigdy nie wydawał się prawdziwą ciemnością, gęstniał we mgle. Wszystkie te głupie obrazy samotności, dobry dowcip.

Mam na sobie kurtkę, pomyślałem, żeby rozluźnić atmosferę. Moja matka byłaby dumna. I wtedy znów się rozpłakałem, znów czułem obrzydzenie i zrobiłem krok głębiej, buty ślizgały się na kamieniach. Było mi bardzo zimno w uda. Reszty nie czułem. Stoję tutaj w wodzie, mówiłem do siebie, próbując pozbyć się uczucia, że być może tragedie, które przez lata sobie wyobrażałem, rozwód i samobójstwo, którym pozwoliłem ukształtować moje życie, były czymś zupełnie innym, a przynajmniej nie tym, co sobie wyobrażałem. Ale wtedy co z tym, kim się stałem?

Mgła w przezroczystych warstwach jak letnia tkanina, ale to mogło być złudzenie. Łososie pode mną, piękne srebrne łososie, ich ciemne ciała ześlizgujące się niewidocznie ze wszystkich stron, szukające ujść strumieni, uważające mnie za co? Dryfujące meduzy, rozgwieżdżone pomarańczowe i czerwone. Skorpeny, które mój ojciec nazywał skorupami i którymi rzucał o burtę łodzi, aż z ich ciał odlatywały kawałki i czasami zostawały tylko głowy. Czerwone strzępiele, spuchnięte i pozbawione koloru, z wybałuszonymi oczami, wyrzucające z otworów gębowych pęknięte pęcherze pławne jak drugie przezroczyste języki. Przyniesione ze świata, w którym ciężar i powietrze były znane inaczej, świata, którego – jak się okazało – nic nie trzymało w miejscu.

[*] E. Bishop, *Okolica przetwórci ryb*, tłum. S. Barańczak, [w:] E. Bishop, *33 wiersze*, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, Kraków 1995, s. 57.

Wyższy błękit

W ostatecznym końcu – który zawsze jest zaskakujący – mój ojciec sfiksował na punkcie zabajone. To wszystko pogłoski, rozumiecie, ale chciałbym myśleć, że kiedy ojciec kupował swój pierwszy miedziany garnek, kiedy stał w lekarskim fartuchu w niewielkim sklepie żelaznym w jedynym centrum handlowym w niemal całkiem opustoszałym alaskańskim miasteczku i niespodziewanie rzucał się w swoje nowe życie, ja stałem przy jego łokciu, wybierając trzepaczkę do piany.

W domu mojego ojca nie było żadnych mebli. Dom był całkiem nowy, wszystko nagie, nie miał nawet adresu. Niewielkie wzgórze niedaleko grani, papierowe brzozy rosnące równo jak świece, zmrok o czwartej po południu 15 marca 1980 roku, zorza polarna w przyjemnych odcieniach zieleni niezauważona, chłopiec i jego ojciec w parkach, z latarką, miedzianą miską, trzepaczką, cukrem kupionym w ostatniej chwili i choć umysł się przed tym broni, z poczuciem domu. Wszystko to prowadzi chłopca i jego ojca, ojca i jego syna, do kuchni, gdzie powietrze nie jest zbyt dobre dla zabajone, być może zbyt suche, więc ojciec zamyka szczelnie okna i drzwi, nalewa wody do zlewu, oddziela kuchnię od reszty domu, podczas gdy chłopiec wypycha kuchenne ścierki we wszystkie szpary, żeby je uszczelnić.

– Potrzebuję fartucha – mówi ojciec. Ale wie, że nie ma żadnego fartucha. To nowy dom. Dopóki chłopiec nie przyjechał, nie było tu nikogo. Gdyby mieli zasłony, zdjęłby jedną z okna nad zlewem i ją wykorzystał. – No dobrze – mówi ojciec, zawiązując sobie w pasie zimową parkę. – To musi wystarczyć. Wyjmijmy wszystko na blat.

Trzy nowe książki kucharskie, trzy jajka, plastikowy oddzielnik żółtek od białek, łyżka stołowa, dwukilowa torba cukru, miarka, marsala, dwie miski, dwa kieliszki sherry, dwie łyżeczki, trzepaczka i miedziany garnek. Lubię myśleć, że chłopiec jest pomocny, że przedmioty są równo ułożone. Ojciec nie ma podwójnego garnka, ale ma metalową miskę do sosu, więc napełnia ją wodą i stawia na kuchence.

– Hm – mówi, odkręcając gaz, zapalarka strzela, ale płomienia brak.

– Czyste zabajone będzie zbyt ciężkie, by jeść je samo – czyta chłopiec na głos. – Ale właśnie takie robimy, prawda?

– Gdzie to przeczytałeś? – pyta ojciec i bierze książkę od syna.

Czyta, unosząc ciemną brew. Okno jest zaciemnione, jedyny dźwięk to strzelanie zapalarki. Chłopiec nie jadł jeszcze kolacji i czuje, że zaraz zacznie narzekać. Im bardziej o tym myśli, tym większą pustkę czuje w żołądku.

– To nie ta, którą czytałem wcześniej – mówi ojciec. – Albo przynajmniej nie cała. Autor Giuliano Bugialli (rany, ale nazwisko) wciąż pisze o drewnianej łyżce, a ja nie mam drewnianej łyżki. „Chwilę przed zagotowaniem”, pisze ten facet, „zabaione”, i pisownia też jest inna, „zabaione powinno być tak gęste, żeby przyklejać się do drewnianej łyżki. To znaczy, że jest gotowe”. – Ojciec oddaje książkę synowi. Z udawanym włoskim akcentem, wymachując ręką w powietrzu, powtarza: – „To

znaczy, że jest gotowe”.

Chłopiec się uśmiecha.

Ojciec otwiera inną książkę kucharską.

– No to lecimy. To proste: „Ubijaj energicznie drucianą trzepaczką, aż sos się spieni”.

– Wykorzystajmy ten – mówi chłopiec, do końca zgodny.

– Dobrze – przytakuje ojciec, spełniając marzenia.

Palnik wciąż klika, ale płomień się nie pojawia. Ojciec przesuwa metalowy rondelk do sosu na blat i podnosi górę kuchenki, żeby się przyjrzeć.

– Nówka sztuka – mówi i próbuje zapalić inny palnik. Wciąż tylko cykanie i słaby syk. – Może rozbijesz jajka i oddziolisz białka, a ja to naprawię – mówi.

– Dobrze – odpowiada chłopiec, zgodnie aż do gorzkiego końca. Ale kiedy patrzy na przepis, widzi, że jest w nim sześć żółtek. A mają tylko trzy jajka. W innym przepisie była mowa o trzech jajkach. Chłopiec walczy z obawą przed unicestwieniem. Czy ośmieli się wytknąć kolejny problem? Czy nie zacznie to wyglądać tak, jakby to on popełniał błędy? Rozbija trzy jajka i oddziela białka do jednej, a żółtka do drugiej miski.

Ojciec zamyka drzwi kuchenki.

– Nie mam pojęcia – mówi. – Nie wiem, jak działa to cholerstwo. – Uśmiecha się do chłopca.

– Może użyjemy zapałki? – proponuje syn.

– Zapałka! – Ojciec wydaje okrzyk triumfu. – Mądry chłopak.

I niespodzianka – w jednej z szuflad przy zlewie rzeczywiście znajdują pudełko zapałek. Chłopiec nabiera śmiałości, może to wada jego charakteru. Ale zapominając na moment o konsekwencjach, mówi ojcu o sześciu jajkach.

– Sześć?

Unicestwienie zbliża się szybko. Chłopiec opiera się plecami o zlew, a ojciec czyta długo ze wszystkich trzech książek. Chłopiec nie jest już głodny. Stracił apetyt i kręci mu się w głowie. Jeśli ojciec postanowi się zabić, chłopiec nie chce brać w tym udziału. Otwiera szafkę pod zlewem i wchodzi do środka.

– Do diabła – mówi ojciec. – Będziemy musieli spróbować z trzema. – Chłopiec słyszy, jak metalowy rondelk do sosu staje na palniku, woda cicho się przelewa, dzwonią cienkie ścianki – coś jak wodny gong, stłumiony szelest. Potem trzask zapałki, eksplozja, powietrze zasysa się z płuc chłopca, a on wyobraża sobie mignięcie palącej się parki, ojca wirującego ogniem w powietrzu.

Chłopiec oczywiście żyje, ale jest tysiące kilometrów dalej. Ojciec nie ma takiego szczęścia. Czerwone światła, ciche drzewa. Ale powinienem zacząć bliżej prawdy.

Kawaler, kiedy przepowiadał moją przyszłość, mieszkał samotnie, odmierzając życie puszkami zupy i mrożonymi goframi z pudełka. Gdyby nie uporczywość nawyków i metalowy rondelk do sosu, nigdy niemyty, używany raz po raz, trzymany w ciepłe na piecu, życie, które znam, mogłoby się nigdy nie zacząć.

Zgarbione stworzenie, ze słabym wzrokiem, uginające się pod ciężarem książek do anatomii, periodontologii, endodoncji i innych nauk stomatologicznych, zaciskające szczęki, zamknięte w przestrzeni jarzeniowego światła i linoleum, marzące tylko o słonecznej dzicy, wędce, strzelbie i człapaniu zniszczonych wędrówkami butów, wzbudziło litość w kobiecie, która nie miała talentów do prowadzenia domu, ale

przynajmniej miała dość rozsądku, żeby czasami jadać na mieście.

– Postawiłam mu jedną kolację w chińskiej knajpie, podałam u siebie jedną filiżankę kawy i miseczkę lodów miętowych z czekoladą i już był mój – opowiadała mi matka.

Stworzenie zaczęło chodzić wyprostowane, straciło bladłość, od czasu do czasu oglądało światło dnia, próbowało jedzenia z wielu krain i marzyło o rzeczach bardziej miękkich i innych niż własne skórzane buty. Stworzenie dostało imię. Nazwano je „Skarbie”.

– Pierwsze dwa lata były dobre. Potem zaczął mnie traktować jak coś oczywistego. Dałam mu życie, a on był tak zadowolony, że zaczął dawać je innym. A dokładniej: recepcjonistce Glorii.

Stworzenie o imieniu Skarbie, które nauczyło się chodzić, patrzeć, próbować i marzyć, szło dalej, widziało więcej, próbowało różności, potem marzyło o tym nieustannie. Stworzeniu powiedziano, żeby przestało chodzić, ale ono chodziło dalej. Napompowało się i unosiło nad miastem, lżejsze od powietrza.

– W dniu, kiedy się z nim rozwiódłam, dałam mu otwieracz do puszek – mówiła moja matka. – Nie wiedział, do czego służy. Powiedziałam, że wkrótce się dowie.

Przebite stworzenie wyładowało jak minestrone, upadek był okropniejszy niż upadek Ikara na twarz. Z paskudztwa wyrosła ręka, która mogła się obracać i obracać, i obracać, i obracać, i obracać.

W późniejszych latach próbowałam poznać tego ojca. Nazywałam go Tato, przynosiłam zakupy do jego domu i – mimo moich wrodzonych zahamowań – nauczyłam się gotować spaghetti. W nadziei na jakąś odpowiedź zadawałam nawet konkretne pytania o życie.

– Kiedy zdałeś sobie sprawę, że popełniłeś błąd? – zapytałam.

– Jaki błąd?

Może bym się poddał, gdyby nie to, że był jedynym moim ojcem na całym świecie, marną pozostałością po wszystkich tych zalotnikach i potencjalnych zalotnikach. Działałam z tym, co miałem.

A miałem to: ponure stworzenie, które łatwo było zranić, które siadało przy stoliku karcianym w lekarskim fartuchu i obiecywało: „Pomogę ci z tym makaronem. Twoja matka nigdy mnie nie rozumiała. To nie jest tak, jak myśli. Mógłbym zrobić sałatę. Chcesz, żebym zrobił sałatę?”.

Ojciec miał głęboko osadzone szaroniebieskie oczy i najróżniejsze bóle oraz dolegliwości. Kiedy zdradzał swoją obecną dziewczynę, rankiem zawsze miewał biegunkę. Wiosną i jesienią cierpiał na alergię. Kiedy myślał o pieniądzach, o wszystkich tych niepewnych, pospiesznych inwestycjach robionych przez lata, zza jego prawego oka wyłaniał się cienki szlak intensywnego bólu, który rozprzestrzeniał się na czoło.

Od czasu do czasu wybudzony na moment ojciec przypominał sobie, że wiodę własne życie, i wyskakiwał z kilkoma pytaniami.

– Jak się miewa ta twoja dziewczyna, przypomnij mi jej imię?

– Zerwaliśmy w sierpniu, tato. Jest listopad.

– Uhm. – Ale szybko się poprawiał: – Pamiętasz traktor?

– Co?

– No wiesz, ten zielony traktor. Wozilem cię na nim, gdy byłeś mały. Pamiętasz coś

takiego?

– Nie, raczej nie.

Potem była wycieczka do centrum handlowego. Ojciec bardzo się nią denerwował. Trzeba było kupić prezent dla jego ówczesnej dziewczyny z okazji urodzin.

– Sam nie wiem – powiedział, co oznaczało kilka rzeczy: brak prezentu oznaczał brak dziewczyny, brak dziewczyny oznaczał kolejne lądowanie w stylu minestrone, kolejne takie lądowanie oznaczało życie pełne winy, wstydu i ogólnej nienawiści do samego siebie u tego, kto był odpowiedzialny – a to oczywiście byłbym ja.

– Chętnie to zrobię – powiedziałem.

W krainie lakieru do włosów i lycry uspokajałem tchórzliwe stworzenie wspomnianiem myśliwskich wycieczek. Opowiadałem dobrze znane historie o spotkaniu oko w oko z jeleniem, który przeskoczył nad moją kulą i zniknął w gęstwinie. Mówiłem o dziku, który zakradł się od tyłu, gdy byłem uzbrojony wyłącznie w lornetkę, który ścigał mnie po stromych skałach, aż niemal upadłem (małe kamienie ześlizgnęły się ze zbocza), któremu uciekłem tylko dzięki temu, że rozciągnąłem się na gałęziach jedyne drzewa, dębu wysokiego ledwie na trzy metry. Ani jeleni, ani dzik oczywiście nigdy nie istniały. Wystrzeliłem wtedy na ślepo. Dzik alchemicznym sposobem zrodził się z nudy, dumy, wyobraźni i wewnętrznego przerażenia.

– Miałeś naprawdę niesamowite przygody – powiedział ojciec, zerkając na tyłek jakiejś licealistki i wywołując we mnie przelotną wątpliwość: w końcu kłamca najłatwiej rozpoznaje innego kłamcę.

Jednak podniosłem ojca na duchu.

– Chodźmy może upolować jakiś naszyjnik – powiedział – albo inną ozdobę.

Przez resztę popołudnia palcami przyzwyczajonymi do spustu broni dotykaliśmy wszystkich rzeczy ze złota i srebra, jakie znaleźliśmy w tamtym centrum. Zgięte nogi ojca zrobiły się żwawsze, język się rozwiązał.

– Mówiłem ci kiedyś, że chciałem być malarzem? – zapytał.

– Ty?

– Pewnie. Byłem jak Bruegel, tylko miałem mniej cierpliwości.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem. A potem zapytałem:

– Co jeszcze?

– Nie rozumiem.

– Co jeszcze powinienem o tobie wiedzieć? Bo wiesz, wiem bardzo mało.

– Dobrze, synu, pozwól, że opowiem ci wszystko.

Oczywiście ojciec nigdy nic mi nie opowiedział, ale patrząc wstecz, widzę, że właśnie tamtego popołudnia byłem z nim najbliżej. Może to były tylko gesty – to, jak ojciec podciągał dżinsy, jak uśmiechał się z przekazem, słuchając gadki sprzedawcy, wdzięczność i miłość, którą, wydawało mi się, widziałem w pewnych nieznaczących ruchach oczu – ale nawet jeśli te znaki istniały tylko w mojej wyobraźni, dawały mi to, czego pragnąłem przez bardzo długi czas.

Patrząc wstecz, widzę również, że tamtego popołudnia w centrum handlowym ojciec osiągnął pewnego rodzaju punkt kulminacyjny. Powiedziałbym nawet, że jeszcze raz wzbił się w powietrze nad miastem. Zadowolony z naszyjnika w trzech kolorach złota, nie podejrzewając nieuniknionego upadku, jakby spirala jego życia na moment się

zatrzymała, wspiął się na gablotę w narożniku sklepu Oshman i – podczas gdy ja odwracałem uwagę sprzedawców, odbijając piłkę do squasha o ścianę w dwuosobowym meczu dla jednego – wpiął się w uprząż lotni zwisającej z sufitu. Miał na sobie żółtą fluorescencyjną wiatrówkę i sportowy kask bez pasków, pokazał dwa kciuki w górę i się uniósł.

Moja matka oczywiście przewidziała całą serię nieuniknionych upadków w pomałżeńskim życiu mojego ojca.

– Niektórzy nigdy się nie nauczą – mówiła. – Gdyby twój ojciec był lemingiem, wspiąłby się z powrotem na klif, żeby z niego znowu spaść.

Być może nie byliśmy nigdy dla ojca wystarczająco dobrzy. A być ojcem nie jest łatwo. To zabrzmi cynicznie, ale ja nie chcę być cyniczny – zdarzało się, że ojciec pokazywał mi bardzo wyraźnie, czym się stanę, a to z pewnością zawsze jest dar, nawet jeśli nie zawsze błogosławieństwo.

W tej chwili ojciec jest małym kawałkiem granitu stojącym niedaleko domu mojej matki, na polu dzikich traw i przypołudników niedaleko morza. Matka lubi mieć go blisko i twierdzi, że ich rozmowy się rozwijają.

– Nie muszę już być zła – mówi. – Teraz mogę go żałować i robić to, co robią stare kobiety pełne wspomnień i tęsknoty. Choć czasami daję temu spokój.

Mały kawałek granitu również mnie odpowiada. Przynoszę mu kwiaty i siedzę z nim jak za dawnych czasów, tyle że teraz nie muszę robić spaghetti. Słucham rozdierających się fal, rozgniatam grube liście przypołudnika między palcami, patrzę na wyższy błękit i czasami, kiedy w górnych prądach udaje mi się dosłyszeć pełnej nadziei natarczywe łopotanie, niemal wyobrażam sobie, że mój ojciec w końcu ożył.

Podziękowania

John L'Heureux bardzo mi pomógł nadać kształt tym opowieściom i nadać kształt mojemu życiu. Ogromnie pomogła mi również Michelle Carter. Tak naprawdę otrzymałem więcej pomocy od wielkich pisarzy, niż mógłby oczekiwać jakikolwiek młody autor. Grace Paley i Adrienne Rich zawdzięczam pierwsze pisarskie stypendium (organizowane przez Laurę Selznick), kiedy byłem jeszcze studentem Uniwersytetu Stanforda. Później w Cornell Stephanie Vaughn i Robert Morgan pomogli mi zrozumieć, jak z opowiadań może powstać książka. Mike Curtis z „The Atlantic” opublikował moje pierwsze opowiadanie, *Ichtiologia*, a Kim Witherspoon wspierała mnie na początku. Kiedy wróciłem na Uniwersytet Stanforda jako stypendysta Wallace Stegner, pomagał mi również Toby Wolff, od dawna mój ulubiony pisarz.

Innymi słowy, miałem szczęście. Jestem wdzięczny Gail Winston i wielu innym ludziom z HarperCollins, a także osobom z Association of Writers and Writing Programs i z UMass Press, że ta książka ukazała się drukiem. To szczególnie miłe, że nagroda nosi nazwisko Grace Paley, ponieważ była ona wspaniałą nauczycielką i niezwykle mnie inspirowała. Wciąż myślę o wszystkim, czego nas nauczyła, również o tym, że „każdy, prawdziwy czy wymyślony, zasługuje na otwarte przeznaczenie życia”.

Mam również dług wobec wielu pisarzy, których nie znam, ale z ich twórczości czerpałem inspirację do tych opowiadań. Przede wszystkim Marilynne Robinson i Elizabeth Bishop, ale także Annie Proulx i Cormaca McCarthy'ego oraz innych.

Chciałbym podziękować Davidowi Forrerowi za jego ciężką pracę i zawsze dobry humor, Stewartowi O'Nanowi, Robertowi Olenowi Butlerowi i Noy Holland za ich wspaniałomyślne wsparcie, a także organizacji National Endowment za otrzymane w 2008 roku stypendium dla pisarzy Creative Writing Fellowship. Uniwersytet San Francisco, gdzie obecnie uczę, również ogromnie mi pomagał.

Pragnę też podziękować mojej rodzinie, ponieważ temat, o którym pisałem – samobójstwo mojego ojca – jest krępujący, a w opowiadaniach jest też prawda. Wydarzenia są fikcyjne, ale często oparte na tym, co się naprawdę wydarzyło. Szczególnie moja macocha, Nettie Rose, pomagała mi przez kilka lat rozmawiać o tym wszystkim. W swoim życiu przeżyła wiele innych śmierci i wydawała mi się wówczas nieustraszona.



Wydawnictwo Pauza powstało jesienią 2017 roku na Saskiej Kępie w Warszawie. Zrodziło się z pasji – do czytania i dobrej prozy zagranicznej. Pauza będzie specjalizować się w literaturze z wyższej półki, która wciąga, pochłania, wywołuje emocje. Czytelnicy znajdą u nas znane i nagradzane książki z całego świata, ale też mocne debiuty literackie. *Legenda o samobójstwie* to pierwsza książka Wydawnictwa Pauza.